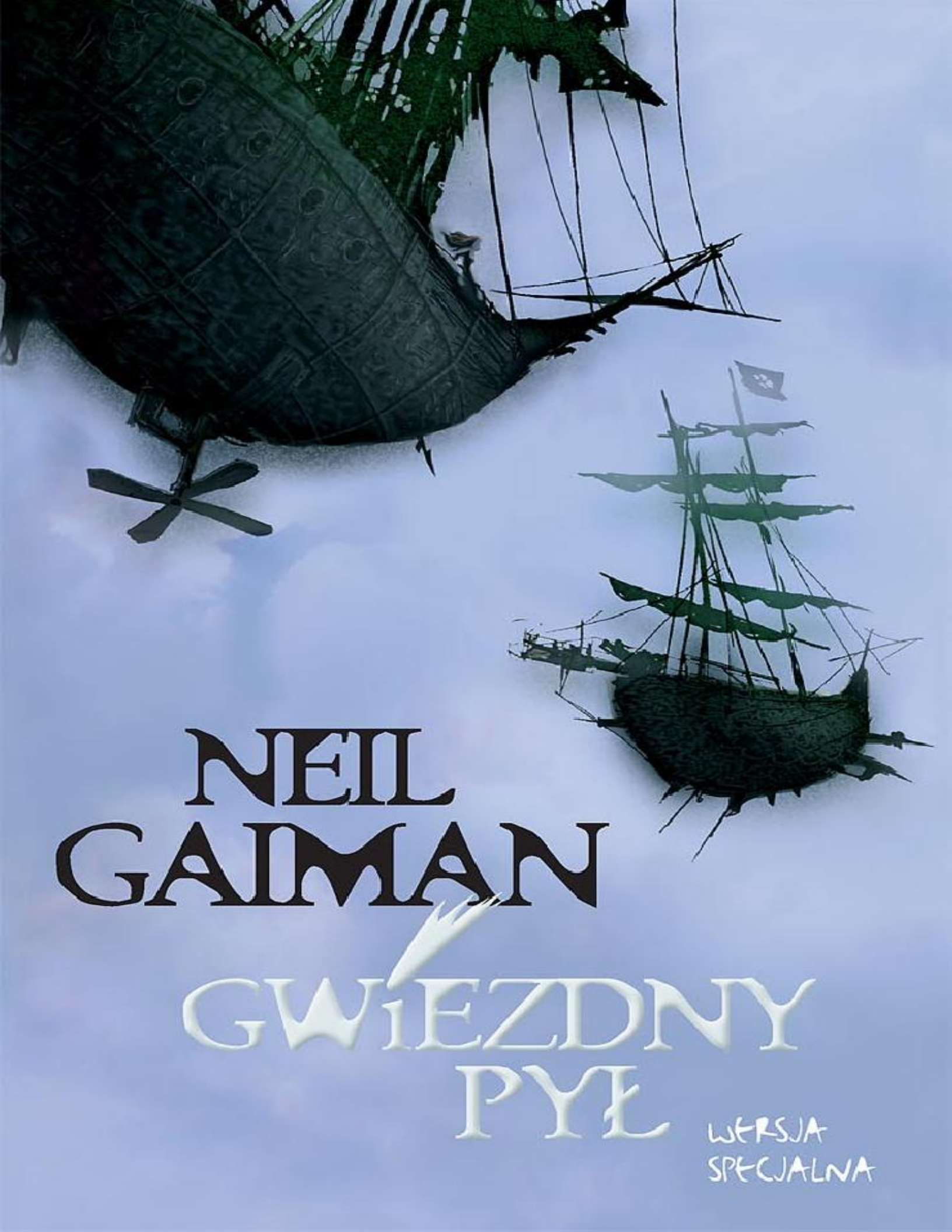

NEIL GAIMAN

GWIEZDNY PYŁ

WERSJA SPECJALNA

Neil Gaiman

GWIEZDNY PYŁ

Przełożyła Paulina Braiter

Wydawnictwo MAG

Warszawa 2012

Tytuł oryginału:
Stardust

Copyright © 2001 by Neil Gaiman
Copyright for the Polish translation © 2007 by Wydawnictwo MAG

Redakcja i korekta:
Urszula Okrzeja

Opracowanie graficzne okładki:
Piotr Chyliński

Projekt typograficzny, skład i łamanie:
Tomek Laisar Fruń

ISBN 978-83-7480-314-4

Wydanie V

Wydawca:
Wydawnictwo MAG
ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa
tel./fax 22 813 47 43
e-mail: kurz@mag.com.pl
http://www.mag.com.pl

Konwersja:

NEXTO
PL

Dedykacja

Dla Gene'a i Rosemary Wolfe

Pieśń

Ten, kto gwiazdę w locie schwyta,
Sprawi dziecko mandragorze,
Wie, skąd diabeł wziął kopyta
Albo czemu gasną zorze,
Umie słuchać Syren śpiewu,
Strzec się zawistników gniewu –
Ten jedyny
Zna krainy,
Gdzie nie znajdzie fałsz gościny.

Jeśli tylko jest w twej mocy
Niewidzialne widzieć dziwy,
Pędź tysiące dni i nocy,
Aż ośnieży cię włos siwy;
Jedź, a powiesz po powrocie,
Że widziałeś cudów krocie,
Ale przecie
Nigdzie w świecie
Nie dowierza się kobiecie.

Jeśli znajdziesz wierną panią,

Daj mi znać, bo rzecz to rzadka,
Lecz ja się nie skuszę na nią,
Choćby była to sąsiadka.
Wierna była, gdyś z nią gadał,
Jeszcze, kiedyś list układał,
Lecz da radę,
Nim przyjadę,
Trzykroć uknuć jakąś zdradę.

John Donne, 1572-1631
(przeł. Stanisław Barańczak)

Rozdział pierwszy

w którym poznajemy wioskę Mur i dowiadujemy się o czymś niezmiernie ciekawym, co zdarza się tam każdego dziewiątego roku

Był sobie kiedyś młody człowiek, który chciał spełnić Pragnienie swego Serca.

I choć niniejsze zdanie, stanowiące początek opowieści, nie jest zbyt nowatorskie (każda bowiem historia o każdym młodym mężczyźnie, który kiedykolwiek żył lub żył będzie, mogłaby rozpocząć się podobnie), to zarówno ów szczególny młody człowiek, jak i to, co go spotkało, było naprawdę niezwykłe, mimo że nawet on do końca nie dowiedział się jak bardzo.

Opowieść ta, podobnie jak wiele innych, bierze swój początek w Murze.

Miasteczko Mur stoi do dziś, już od sześciuset lat, na wysokiej granitowej skale, pośród niewielkiego lasu. Domy w Murze są stare i kanciaste, wzniesione z szarego kamienia; mają dachy kryte ciemną dachówką i wysokie kominy. Wzniesiono je jeden tuż obok drugiego, wykorzystując każdy skrawek miejsca na skale. Tu i ówdzie ze ściany budynku wyrasta krzak bądź drzewo.

Z Muru wychodzi tylko jedna droga – kręty trakt, wznoszący się stromo pośród drzew, wyłożony po bokach kamykami i głazami. Daleko na południu, gdy wynurza się z puszczy, trakt staje się prawdziwą, wylaną asfaltem szosą. Szosa stopniowo się rozszerza; całymi dniami wypełniają ją sznury samochodów i ciężarówek, pędzących z miasta do miasta. W końcu droga doprowadza nas aż do Londynu, lecz Londyn od Muru dzieli cała noc jazdy.

Mieszkańcy Muru są zamknięci w sobie i mrukliwi. Dzielą się na dwa wyraźne typy: miejscowych – szarych, wysokich i przysadzistych, zupełnie jak granitowa skała, na której wzniesiono ich miasto – oraz pozostałych, którzy od lat osiedlają się tutaj, i ich potomków.

Na zachód od Muru rozciąga się las. Na południu leży zdradzieckie, pozornie spokojne jezioro, zasilane wodami strumieni spływających ze wzgórz na północy. Zbocza wzgórz pokrywają pola i łąki, na których pasą się owce. Na wschodzie także rosną lasy.

Tuż za wschodnią granicą miasta stoi wysoki, szary skalny mur, od którego wzięło ono swą nazwę. Mur ów jest stary, wzniesiony z grubo ciosanych kwadratowych bloków granitu. Wynurza się z lasu, by wkrótce znów zniknąć wśród drzew.

W murze jest tylko jedna wyrwa: liczący sobie około sześciu stóp szerokości otwór nieco na północ od wioski.

Przez wyrwę w murze widać rozległą, zieloną łąkę, za łąką strumień, a za strumieniem drzewa. Od czasu do czasu między drzewami można dojrzeć odległe postaci: czasem wielkie, czasem osobliwe, czasami małe, lśniące istoty, które rozbłyskują, migoczą i znikają. Choć łąka wygląda nader zachęcająco, żaden z mieszkańców wsi nigdy nie wypuścił zwierząt na drugą stronę muru. Nikt też nie próbował uprawiać tamtejszej ziemi.

Zamiast tego od setek, może nawet tysięcy lat, mieszkańcy wystawiali straże po obu stronach otworu i usilnie starali się o nim zapomnieć.

Nawet dziś dniem i nocą dwóch ludzi z miasta stale pełni straż, wymieniając się co osiem godzin. W dłoniach trzymają solidne drewniane pałki, strzegąc czujnie otworu z obu stron.

Ich głównym zadaniem jest niedopuszczanie dzieci z miasteczka do muru i rozciągającej się za nim łąki. Od czasu do czasu muszą też zniechęcić do przejścia samotnego włóczęgę bądź jednego z nielicznych gości odwiedzających miasteczko.

Dzieciom wystarczy pokazać pałkę. W przypadku włóczęgów i gości strażnicy wykazują się większą pomysłowością. Siły używają tylko w ostateczności, gdy opowieści o świeżo wysianej trawie bądź groźnym byku nie wystarczą, by odebrać przybyszowi ochotę do dalszej wycieczki.

Bardzo rzadko się zdarza, by do Muru przybył ktoś, kto wie czego szuka. Tym ludziom czasami pozwala się przejść. Ich oczy mają szczególny wyraz i kto raz go ujrzy, nigdy już nie zapomni.

Z tego, co wiadomo mieszkańcom miasteczka, w całym XX wieku nie doszło do ani jednego udanego przemytu przez mur. Są z tego niezmiernie dumni.

Warty zdejmuje się raz na dziewięć lat, w Święto Majowe, gdy na łące odbywa się jarmark.

*

Opisane tu wydarzenia toczyły się wiele lat temu. Królowa Wiktoria zasiadała wówczas na tronie Anglii, nie była jednak jeszcze spowitą w czerń Windsorską Wdową.

Miała rumiane policzki i lekki krok, a lord Melbourne często musiał łagodnie upominać młodą władczynię, by nie zachowywała się jak trzpiotka. Nie wyszła dotąd za mąż, choć była bardzo zakochana.

Pan Karol Dickens publikował w odcinkach swą powieść *Oliver Twist*; pan Draper zrobił właśnie pierwsze zdjęcie Księżyca, uwieczniając jego blade oblicze na zimnej kartce papieru; pan Morse niedawno ogłosił, że potrafi przesyłać wiadomości po metalowych drutach. Gdyby któremukolwiek z tych ludzi wspomnieć o czarach Magicznego Ludu, zapewne uśmiechnęliby się z pogardą, może z wyjątkiem pana Dickensa, w owym czasie młodego mężczyzny bez brody. On spojrzałby na Was tęsknie.

Tej wiosny na Wyspy Brytyjskie przybyło wielu ludzi. Przyjeżdżali samotnie bądź parami, lądowali w Dover, Londynie i Liverpoolu. Mężczyźni i kobiety o twarzach jasnych jak papier i ciemnych niczym wulkaniczne skały, o skórze barwy cynamonu, przemawiający wieloma językami. Przybywali przez cały kwiecień, podróżując kolejami parowymi, konno, wozami i bryczkami; wielu zjawiło się na piechotę.

W tym czasie Dunstan Thorn miał osiemnaście lat i nie był romantykiem.

Miał orzechowokasztanowe włosy, orzechowe oczy i orzechowe piegi. Był średniego wzrostu, mówił wolno i niewiele. Często się uśmiechał. A kiedy na należących do ojca łąkach snuł sny na jawie, marzył o tym, że opuszcza Mur wraz z jego kapryśnymi wdziękami i udaje się do Londynu, Edynburga bądź Dublina, wielkiego miasta, w którym nic nie zależy od tego, skąd akurat wieje wiatr. Pracował na farmie ojca i nie miał nic własnego poza małą chatką na najdalszym polu, którą podarowali mu rodzice.

Tego kwietnia do Muru zaczęli przybywać goście. Przyjeżdżali na jarmark. Dunstan myślał o nich z głęboką

niechęcią. „Pod Siódmą Sroką”, gospoda pana Bromiosa zwykle stojąca pustką zapełniła się już tydzień wcześniej i obcy przybysze zaczęli szukać noclegu na farmach i w zwykłych domach, płacąc za gościnę dziwnymi monetami, ziołami, korzeniami, a nawet drogimi kamieniami.

W miarę zbliżania się dnia jarmarku w wiosce narastała atmosfera wyczekiwania. Ludzie budzili się coraz wcześniej, odliczali dni i minuty. Strażnicy przy bramie w murze wiercili się niespokojnie. Wśród drzew na skraju łąki krążyły niewyraźne postaci i cienie.

„Pod Siódmą Sroką” Bridget Comfrey, powszechnie uważana za najpiękniejszą posługaczkę w dziejach, drażniła się z Tommym Foresterem, z którym widywano ją zeszłego roku, oraz z rosłym mężczyzną o ciemnych oczach. Mężczyzna miał ze sobą małą, rozszczebiotaną małpkę. Nie mówił zbyt dobrze po angielsku, lecz uśmiechał się promiennie, gdy tylko widział Bridget.

Stali goście w barze musieli znosić nieprzyjemną bliskość obcych.

– To tylko co dziewięć lat – powtarzali.

– Powiadają, że w dawnych czasach urządzano go każdego roku, w letnie przesilenie.

– Spytajcie pana Bromiosa. On będzie wiedział.

Pan Bromios był wysoki, skórę miał oliwkową, a oczy zielone; jego głowę pokrywały drobne czarne loki. Gdy dziewczęta z wioski stawały się kobietami, zaczynały zauważać pana Bromiosa, on jednak nie odpłacał im uwagą. Mówiono, że zjawił się we wsi wiele lat temu. Przybył tu i został, a wino miał smaczne; co do tego zgadzali się wszyscy.

Z przedsionka dochodziły odgłosy głośnej awantury pomiędzy Tommym Foresterem i ciemnookim mężczyzną, który nazywał się Alum Bej.

– Powstrzymajcie ich! Na miłość boską, powstrzymajcie! – krzyknęła Bridget. – Wychodzą na dwór, żeby się o mnie bić!

Wdzięcznie odrzuciła głowę do tyłu. Światło lamp oliwnych zamigotało w jej doskonałych, złotych lokach.

Nikt nie próbował nawet zatrzymać obu mężczyzn, choć kilkanaście osób, miejscowych i przybyszów, wyszło na dwór, by oglądać bójkę.

Tommy Forester zdjął koszulę i uniósł pięści. Przybysz roześmiał się, splunął w trawę, po czym chwycił prawą rękę Tommy'ego i jednym rzutem posłał go na ziemię. Tommy dźwignął się na nogi i runął na obcego. Zdołał zadać tylko jeden szybki cios w policzek tamtego i znów wylądował na ziemi z twarzą w błocie. W piersiach zabrakło mu tchu. Alum Bej usiadł na nim okrakiem, zaśmiał się i powiedział coś po arabsku.

W ten sposób zakończyła się bójka.

Alum Bej zszedł z Tommy'ego Forestera, z dumną miną podszedł do Bridget Comfrey; ukłonił się nisko i błysnął w uśmiechu białymi zębami.

Bridget całkowicie go zignorowała. Podbiegła do Tommy'ego.

– Co on ci zrobił, kochany? – spytała, po czym wytarła mu twarz z błota rąbkiem fartucha i obsypała go czułymi słówkami.

Alum Bej, wraz z widzami, wrócił do gospody i kiedy Tommy Forester znów pojawił się przy barze, tamten wielkodusznie kupił mu butelkę chablis pana Bromiosa. Żaden z mężczyzn nie był pewien, który wygrał, a który przegrał.

Tego wieczoru Dunstan Thorn nie odwiedził gospody „Pod Siódmą Sroką”. Był praktycznym chłopcem, który przez ostatnie sześć miesięcy zalecał się do Daisy

Hempstock, równie praktycznej młodej kobiety. W pogodne wieczory spacerowali razem po wiosce, rozmawiając o teorii płodozmianu, pogodzie i innych praktycznych rzeczach. Podczas tych spacerów, w których nieodmiennie towarzyszyły im matka i młodsza siostra Daisy, maszerujące sześć kroków w tyle, od czasu do czasu spoglądali na siebie czule.

Przy drzwiach domu Hempstocków Dunstan przystawał, kłaniał się i żegnał.

A Daisy Hempstock wchodziła do środka, zdejmowała czepek i mówiła:

– Tak bym chciała, by pan Thorn w końcu się oświadczył. Jestem pewna, że tato nie miałby nic przeciw temu.

– O tak, jestem tego pewna – odpowiedziała tego wieczoru mama Daisy, tak jak to czyniła każdego wieczoru.

Ona także zdjęła czepek i rękawiczki i zaprowadziła córki do salonu, w którym siedział bardzo wysoki dżentelmen o bardzo długiej czarnej brodzie i grzebał w swoich bagażach. Daisy, jej mama i siostra dygnęły przed dżentelmenem (który prawie nie mówił po angielsku i przybył kilka dni wcześniej). Tymczasowy lokator wstał, ukłonił się, po czym powrócił do swej kolekcji drewnianych drobiazgów, przekładając je, sortując i polerując.

*

Kwiecień był chłodny i kapryśny, jak typowa angielska wiosna.

Goście przybywali z południa, wąską drogą wiodącą przez las. Zapełniali zapasowe sypialnie; koczowali w oborach i stodołach. Niektórzy rozbijali kolorowe namioty, inni przyjeżdżali własnymi wozami, ciągniętymi przez wielkie szare konie bądź drobne kudłate kucyki.

W lesie rozkwitły łany dzwonków.

Rankiem dwudziestego dziewiątego kwietnia Dunstan Thorn pełnił wartę przy otworze w murze wraz z Tommym Foresterem. Stali po obu stronach wyrwy. Czekali.

Dunstan już wcześniej wiele razy pełnił wartę, ale dotąd związane z tym obowiązki ograniczały się do stania i od czasu do czasu przepędzania dzieci. Dziś czuł się ważny. Trzymał w dłoni drewnianą pałkę, a gdy kolejni obcy zbliżali się do otworu w murze, Dunstan bądź Tommy mówili:

– Jutro, jutro. Dziś nikt tędy nie przejdzie. Nie, proszę pana.

Wtedy obcy cofali się nieco i spoglądali przez wyrwę na rozciągającą się za nią pogodną łąkę, nieciekawe drzewa i widoczny w dali zupełnie przeciętny las. Niektórzy próbowali zagajać rozmowę, lecz obaj młodzi mężczyźni, dumni ze swej roli, nie odpowiadali. Woleli unosić głowy, ściągać wargi i przybierać dumną minę. Wówczas czuli się ważni.

W porze obiadu Daisy Hempstock przyniosła im niewielką zapiekankę z mięsa i ziemniaków, a Bridget Comfrey po kuflu grzanego piwa. O zmierzchu zjawili się dwaj młodzieńcy z wioski, obaj nieśli latarnie. Zmienili Tommy'ego i Dunstana, którzy wrócili do gospody, gdzie w nagrodę za dobrze spełniony obowiązek pan Bromios poczęstował ich kuflem swego najlepszego piwa – a jego najlepsze piwo było naprawdę doskonałe. W niewiarygodnie zatłoczonej gospodzie czuło się podniecenie. Wokół było pełno przybyszów ze wszystkich narodów świata. Takie przynajmniej wrażenie odniósł Dunstan, dla którego wszystkie miejsca poza otaczającym wioskę Mur lasem, wydawały się równie odległe. Toteż spoglądał na siedzącego przy sąsiednim stole wysokiego mężczyznę w czarnym cylindrze, przybyłego aż z Londynu, z jednakim

podziwem jak na pożywiającego się obok jeszcze wyższego gościa koloru hebanu, w białej jednoczęściowej szacie.

Dunstan wiedział, że niegrzecznie jest się gapić i że jako mieszkaniec Muru ma prawo czuć się lepszy od wszystkich „cudzychziemców". Czuł jednak w powietrzu woń nieznanych przypraw, słyszał głosy mężczyzn i kobiet, przemawiających w setkach języków, toteż gapił się na nich bezwstydnie.

Mężczyzna w czarnym jedwabnym cylindrze zauważył jego zainteresowanie i wezwał do siebie chłopca.

– Lubisz pudding z syropem? – spytał bez żadnych wstępów. – Mutanabbi musiał wyjść, a porcje są tu bardzo duże.

Dunstan przytaknął. Pudding z syropem parował zachęcająco na talerzu.

– Doskonale – rzekł jego nowy znajomy. – Poczęstuj się.

Podał Dunstanowi czysty porcelanowy półmisek i łyżkę. Chłopak nie potrzebował dalszej zachęty. Z apetytem rzucił się na pudding.

– Młodzieńcze – powiedział wysoki dżentelmen w czarnym jedwabnym cylindrze, gdy wspólnymi siłami opróżnili już talerz i miski – wygląda na to, że w gospodzie zabrakło pokojów i że wszystkie łóżka w wiosce zostały już zajęte.

– Czyżby? – spytał bez specjalnego zdziwienia Dunstan.

– Owszem – odparł mężczyzna w cylindrze. – Zastanawiałem się, czy znasz może dom, w którym da się jeszcze znaleźć wolny pokój?

Dunstan wzruszył ramionami.

– Wszystkie pokoje są już zajęte – rzekł. – Pamiętam, że kiedy miałem dziesięć lat, matka i ojciec kazali mi przez tydzień spać na górce w oborze, a mój pokój wynajęli pewnej damie z Orientu, jej rodzinie i sługom. W podzięce

zostawiła mi latawiec, który puszczałem na łące, dopóki pewnego dnia nie zerwał się ze sznurka i nie odleciał w niebo.

– Gdzie teraz mieszkasz? – spytał dżentelmen w cylindrze.

– Mam chatę na skraju ziemi ojca – wyjaśnił Dunstan. – Wcześniej należała do pastucha, który umarł dwa lata temu, w dożynki. Wtedy rodzice podarowali ją mnie.

– Zabierz mnie tam – powiedział mężczyzna w cylindrze i Dunstanowi nie przyszło nawet na myśl, że mógłby odmówić.

Księżyc świecił jasnym blaskiem wysoko na niebie. Zeszli z wioski do lasu. Minęli farmę Thornów (po drodze dżentelmen w cylindrze przestraszył się krowy, która zasnęła na łące i prychnęła przez sen). W końcu dotarli do chaty Dunstana.

W środku było tylko jedno pomieszczenie z kominkiem. Nieznajomy skinął głową.

– Dunstanie Thornie, wynajmę ją od ciebie na następne trzy dni.

– Co za to dostanę?

– Złotego suwerena, srebrną sześciopensówkę, miedziaka i lśniący grosik – oznajmił mężczyzna.

Suweren za dwie noce był bardzo uczciwą zapłatą w czasach, gdy robotnik rolny w dobrym roku zarabiał piętnaście funtów. Mimo to jednak Dunstan się zawahał.

– Jeśli przybywa pan na jarmark – rzekł do mężczyzny – to pewnie handluje pan cudami i dziwami.

Jego towarzysz przytaknął.

– A zatem pragniesz cudów i dziwów?

Ponownie rozejrzał się po jednopokojowej chacie Dunstana. W tym momencie zaczął padać deszcz. Krople

zaszeleściły na strzesze.

– No dobrze – rzekł niecierpliwie wysoki przybysz. – Dostaniesz swój cud, swój dziw. Jutro spełnisz Pragnienie swego Serca. A oto twoje pieniądze.

Zręcznym gestem wyjął monety z ucha Dunstana. Dunstan przytknął je do żelaznego gwoździa tkwiącego w drzwiach, sprawdzając, czy nie są ze złota wróżek. Potem skłonił się nisko i wyszedł na deszcz. Pieniądze ukrył w tobołku z chustki.

W coraz mocniejszym deszczu Dunstan dotarł do obory, wspiął się na górkę z sianem i wkrótce zasnął.

W nocy, pogrążony w półśnie, usłyszał gdzieś w pobliżu donośny grzmot, a potem wczesnym rankiem obudził się nagle, gdy ktoś niezdarnie nadepnął mu na nogę.

– Przepraszam – usłyszał czyjś głos. – To znaczy, proszę mi wy baczyć.

– Kto to? Kto mówi? – spytał Dunstan.

– To tylko ja. Przybyłem na jarmark. Spałem w spróchniałym pniu, ale piorun go przewrócił. Roztrzaskał jak skorupkę jajka i złamał jak gałązkę. Deszcz zaczął padać mi na głowę i zagroził moim bagażom, a są tam rzeczy, które muszą być suche jak pieprz. Toteż chroniłem je podczas podróży, nawet kiedy było mokro jak...

– Jak w wodzie?

– Właśnie – ciągnął ktoś w ciemności. – I zastanawiałem się – dodał – czy mógłbym może zostać tu, pod pańskim dachem. Nie jestem zbyt duży i nie będę panu przeszkadzał.

– Proszę tylko po mnie nie deptać – powiedział Dunstan, wzdychając.

W tym momencie błyskawica rozświetliła wnętrze obory. W jej blasku Dunstan ujrzał coś małego i włochatego w dużym, miękkim kapeluszu. Potem znów zapadła ciemność.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam – znowu usłyszał głos. Gdy się nad tym zastanowić, on także wydawał się dziwnie włochaty.

– Nie przeszkadzasz – odparł Dunstan, bardzo zmęczony.

– To dobrze – rzekł nieznajomy – bo nie chciałbym przeszkadzać.

– Proszę – rzucił błagalnie Dunstan – daj mi spać. Proszę.

Usłyszał jeszcze węszenie, które wkrótce ucichło, zastąpione pochrapywaniem.

Dunstan przekręcił się na drugi bok. Przybysz, kimkolwiek lub czymkolwiek był, pierdnął, podrapał się i znów zaczął chrapać.

Dunstan słuchał kropel deszczu bębniących o dach obory i rozmyślał o Daisy Hempstock. Spacerowali razem, a sześć kroków za nimi maszerował wysoki mężczyzna w cylindrze i małe, włochate stworzenie, którego twarzy Dunstan nie dostrzegał. Wyruszyli, by poszukać Pragnienia Serca.

*

Obudziły go jasne promienia słońca. Obora była pusta. Umył twarz i poszedł do domu.

Tam włożył najlepszą kurtkę, najlepszą koszulę i odświętne spodnie. Nożem oskrobał buty z błota. Wszedł do kuchni, pocałował matkę w policzek i poczęstował się wiejskim chlebem hojnie posmarowanym świeżo ubitym masłem.

Potem zaś, z pieniędzmi ukrytymi w węzełku niedzielnej batystowej chustki, ruszył do Muru i przywitał się ze strażnikami przy bramie.

Przez otwór w murze widział rozbijane barwne namioty, wznoszone stoiska, kolorowe flagi i ludzi krążących tam i z

powrotem.

– Nie wpuszczamy nikogo aż do południa – oznajmił jeden z wartowników.

Dunstan wzruszył ramionami i poszedł do gospody, zastanawiając się, co kupi za swe oszczędności (błyszczącą półkoronówkę i szczęśliwą sześciopensówkę z wywierconą pośrodku dziurką, przez którą przewlókł rzemień) i dodatkowe pieniądze ukryte w chustce. Chwilowo zapomniał, że zeszłego wieczoru przyrzeczono mu coś jeszcze. Gdy wybiło południe, Dunstan ruszył w stronę muru, zdenerwowany, jakby zaraz miał złamać największe możliwe tabu. Nagle zorientował się, że maszeruje obok nieznajomego w czarnym jedwabnym cylindrze, który powitał go skinieniem głowy.

– Ach, mój gospodarz. Jak się dziś miewamy?

– Doskonale – odparł Dunstan.

– Proszę, chodź ze mną – rzekł wysoki mężczyzna. – Pójdźmy razem.

Ruszyli przez łąkę w stronę namiotów.

– Byłeś tu już wcześniej? – spytał wysoki przybysz.

– Tak, na ostatnim jarmarku dziesięć lat temu. Byłem jeszcze chłopcem – przyznał Dunstan.

– Cóż – odparł jego lokator. – Pamiętaj, by zachowywać się grzecznie i nie przyjmować żadnych podarków. Pamiętaj też, że jesteś tam gościem. A teraz dam ci ostatnią część mej zapłaty. Złożyłem bowiem przysięgę, a moje dary są bardzo długowieczne. Dostaniesz go ty, twój pierworodny, jego czy jej pierworodny... To dar, który nie zniknie, dopóki będę żył.

– A cóż to będzie, dobry panie?

– Pragnienie Serca. Nie pamiętasz? – odparł dżentelmen w cylindrze. – Pragnienie twego Serca.

Dunstan ukłonił się. Ramię w ramię maszerowali na jarmark.

– Oczy, oczy! Nowe oczy dla starców – wykrzykiwała drobna kobieta stojąca przed stołem pełnym butelek i słojów z oczami wszelkiej barwy i rodzaju.

– Instrumenty muzyczne z setek różnych krain!

– Blaszane gwizdki! Mosiężne pomruki! Złote chorały!

– Spróbuj swego szczęścia! Tylko u nas! Odpowiedz na zagadkę, a dostaniesz anemon!

– Wiecznotrwała lawenda! Tkanina o zapachu dzwonków!

– Butelkowane sny! Szylinga za butelkę.

– Płaszcze nocy! Płaszcze zmierzchu! Płaszcze zmroku.

– Miecze przeznaczenia! Różdżki czarów! Pierścienie wieczności! Karty łaski! Tylko u mnie! Tylko tutaj!

– Maści i krople! Mikstury i tynktury!

Dunstan przystanął przed kramem pełnym maleńkich kryształowych bibelotów. Zaczął uważnie oglądać miniaturowe zwierzęta, zastanawiając się, czy nie kupić jednego dla Daisy Hempstock. Podniósł kryształowego kota, nie większego niż jego kciuk. Niespodziewanie kot ugryzł go gniewnie i Dunstan wstrząśnięty upuścił zwierzątko, które jednak wyprostowało się w powietrzu i niczym prawdziwy kot wylądowało na czterech łapach. Następnie przeszło na róg kramu i zaczęło się myć. Dunstan odszedł w tłum.

Wokół roiło się od ludzi. Byli tam wszyscy cudzoziemcy, którzy w ciągu ostatnich tygodni przybyli do Muru, a także wielu mieszkańców wioski. Pan Bromios rozbił własny namiot. Sprzedawał w nim wino i ciastka miejscowym, którzy, choć często kusiły ich jadła i napoje oferowane przez lud zza Muru, pamiętali dobrze o przestrogach swych dziadków, którzy z kolei usłyszeli je od swoich dziadków –

że absolutnie, pod żadnym pozorem nie należy jeść jedzenia wróżek ani owoców wróżek, ani pić wody i wina wróżek.

Co dziewięć lat lud spoza Muru i wzgórza rozstawiał na łące swe kramy i przez jeden dzień i noc odbywał się tam magiczny jarmark. Przez ów jeden dzień i jedną noc co dziewięć lat mieszkańcy obu światów handlowali ze sobą.

Wystawiano tu na sprzedaż cuda, dziwy i czary, rzeczy, o których nikomu się nie śniło i których nikt nie potrafił sobie wyobrazić. (Po co komu – zastanawiał się Dunstan – wydmuszki, w których zamknięto burzę?). Podzwaniał w kieszeni zawiniętymi w chustkę monetami, szukając czegoś małego i taniego, co ucieszyłoby Daisy.

Nagle, ponad szmerem i gwarem jarmarku usłyszał delikatne dzwonienie. Ruszył w jego stronę. Minął kram, przy którym pięciu rosłych mężczyzn tańczyło do przeraźliwie ponurej melodii wygrywanej na katarynce przez melancholijnego czarnego niedźwiedzia; na innym łysiejący człowiek w kolorowym kimonie rozbijał porcelanowe talerze i nieustannie zachwalając swój kunszt, wyrzucał szczątki do wypełnionej żarem misy, z której unosił się barwny dym.

Delikatne dzwonienie stawało się coraz głośniejsze.

W końcu Dunstan dotarł do kramu, z którego dobiegało, i ujrzał, że nikt za nim nie stoi. Wszędzie wokół leżały kwiaty: dzwonki i hiacynty, narcyzy i naparstnice, ale też fiołki i lilie, maleńkie szkarłatne dzikie róże, jasne przebiśniegi, błękitne niezapominajki i mnóstwo innych, których Dunstan nie potrafił nawet nazwać. Wszystkie były zrobione ze szkła bądź kryształu; nie umiał stwierdzić – dmuchanego czy rżniętego. Idealnie naśladowały żywe kwiaty. Dzwoniły i brzęczały, niczym odległe szklane dzwoneczki.

– Halo! – zawołał Dunstan.

– I ty witaj pięknie w ten dzień targowy – odparła kramarka, wyskakując z malowanego wozu zaparkowanego tuż za kramem.

Uśmiechnęła się szeroko; w ciemnej twarzy błysnęły białe zęby. Należała do ludu spoza Muru; Dunstan rozpoznał to natychmiast po jej oczach i uszach widocznych pod kręconymi, czarnymi włosami. Oczy miała ciemnofiołkowe, uszy przypominały uszy kota – lekko zakrzywione i pokryte miękkim ciemnym futrem. Była bardzo piękna.

Podniósł jeden z kwiatów.

– Śliczny – rzekł. To był fiołek; gdy tak trzymał go w ręku, kwiat wydawał z siebie odgłos przypominający dźwięk, który słychać, gdy przesunie się delikatnie mokrym palcem po krawędzi szklanego kieliszka. – Ile kosztuje?

Wzruszyła ramionami. Był to śliczny gest.

– Na początku nigdy nie rozmawiamy o cenie – oznajmiła. – Może być znacznie wyższa niż to, co jesteś gotów zapłacić. Wówczas odszedł byś i oboje bylibyśmy biedniejsi. Najpierw porozmawiajmy o towarze.

Dunstan się zawahał. W tym momencie obok kramu przemknął dżentelmen w czarnym jedwabnym cylindrze.

– Proszę – mruknął w stronę Dunstana. – Spłaciłem dług i jesteśmy kwita.

Dunstan potrząsnął głową, jakby próbował ocknąć się z dziwnego snu, i odwrócił się do młodej damy.

– Skąd pochodzą te kwiaty? – spytał.

Uśmiechnęła się tajemniczo.

– Na zboczu góry Calamon wyrasta szklanych kwiatów łan. Powrócić stamtąd trudniej jeszcze niżeli cało dotrzeć tam.

– A do czego właściwe służą? – spytał Dunstan.

– Kwiaty te pełnią głównie funkcję dekoracyjną i rozrywkową. Dają radość. Można je podarować ukochanej osobie, jako znak uczucia, a dźwięk, który z siebie wydają, cieszy słuch. Poza tym przepięknie odbijają światło. – Uniosła dzwoneczek i Dunstan mimo woli pomyślał, że promień słońca załamujący się w fioletowym krysztale nie dorównuje blaskiem i odcieniem barwie jej oczu.

– Rozumiem – rzekł.

– Wykorzystuje się je też w pewnych zaklęciach czarnej i białej magii. Jeśli jesteś, panie, magiem…?

Dunstan pokręcił głową. Nie mógł nie dostrzec, że w młodej kobiecie jest coś niezwykłego.

– Ach tak. Mimo wszystko to prześliczne kwiaty – rzekła i uśmiechnęła się ponownie.

Owym czymś niezwykłym był cienki srebrny łańcuch opasujący jej przegub, zbiegający do kostki i znikający w malowanym wozie.

Dunstan wspomniał coś o nim.

– Łańcuch? Więzi mnie tutaj. Jestem osobistą niewolnicą czarownicy, do której należy kram. Schwytała mnie wiele lat temu, gdy bawiłam się przy wodospadzie, w kraju mojego ojca, wysoko w górach. Zwabiła mnie, przyjmując postać ślicznej żabki, która zawsze wymykała mi się z rąk, dopóki nie opuściłam ziemi ojca. Wtedy powróciła do swej prawdziwej postaci i wsadziła mnie do worka.

– I zawsze będziesz jej niewolnicą?

– Nie zawsze. – Dziewczyna z magicznego ludu uśmiechnęła się. – Odzyskam wolność w dniu, gdy księżyc straci córkę, jeśli wydarzy się to w tygodniu, w którym połączą się dwa poniedziałki. Czekam cierpliwie na ów dzień, a na razie robię to, co mi każe. A także marzę. Czy teraz kupisz ode mnie kwiat, młody panie?

– Nazywam się Dunstan.

– To solidne imię – odparła z drwiącym uśmieszkiem. – Gdzie twe kleszcze, panie Dunstanie? Czy chwycisz nimi diabła za czubek nosa?

– A ty? Jak się nazywasz? – spytał Dunstan, rumieniąc się.

– Nie mam już imienia. Jestem niewolnicą. Odebrano mi imię. Odpowiadam na „hej, ty!” albo na „dziewczyno!”, „głupia dziewko!” i wiele innych złorzeczeń.

Dunstan dostrzegł, jak jedwabista materia szaty ciasno opina postać dziewczyny. Był boleśnie świadom wdzięcznych krzywizn jej ciała i wpatrzonych w niego fiołkowych oczu. Przełknął ślinę.

Wsunął dłoń do kieszeni i wyciągnął chustkę. Nie mógł już patrzeć na tę kobietę. Wysypał pieniądze na ladę.

– Weź dość, bym mógł kupić ten kwiat – rzekł, podnosząc śnieżnobiały przebiśnieg.

– Przy tym kramie nie przyjmujemy pieniędzy. – Odepchnęła monety.

– Nie? Co zatem weźmiesz?

Z każdą chwilą denerwował się coraz bardziej. Pragnął już tylko kupić kwiat dla… dla Daisy, Daisy Hempstock… kupić kwiatek i odejść, bo tak naprawdę w obecności owej młodej damy czuł się coraz bardziej niezręcznie.

– Mogłabym zabrać kolor twoich włosów – odparła. – Albo wszystkie wspomnienia z czasów, nim skończyłeś trzy lata. Mogłabym odebrać ci słuch z lewego ucha – niecały, lecz dość dużo, byś nie mógł zachwycać się muzyką, szmerem rzeki, świstem wiatru.

Dunstan pokręcił głową.

– Albo mógłbyś mnie pocałować. Tylko raz. Tu, w policzek.

– Tę cenę zapłacę chętnie! – rzekł Dunstan i pochylił się nad kramem wśród melodyjnych dźwięków szklanych

kwiatów, by ucałować niewinnie jej miękki policzek. Wówczas poczuł jej zapach, upajający, magiczny. Woń owa wypełniła mu głowę, pierś i umysł.

– Proszę – rzekła, wręczając mu przebiśnieg. Ujął go dłońmi, które nagle wydały mu się wielkie i niezręczne, zupełnie niepodobne do małych, doskonałych rąk magicznej dziewczyny. – Do zobaczenia w nocy, Dunstanie Thorn. Gdy zajdzie księżyc, przyjdź tu i huknij jak sówka. Potrafisz?

Przytaknął i potykając się, odszedł. Nie musiał pytać, skąd znała jego nazwisko. Wzięła je sobie, gdy go pocałowała, wraz z innymi rzeczami, na przykład z jego sercem.

Przebiśnieg dzwonił mu w dłoni.

*

– Ależ, Dunstanie Thorn – powiedziała Daisy Hempstock, gdy spotkał ją obok namiotu pana Bromiosa. Siedziała przy stole wraz ze swą rodziną i rodzicami Dunstana, pożywiając się brązowymi kiełbaskami i pijąc ciemne piwo. – Co się stało?

– Przyniosłem ci prezent – wymamrotał Dunstan, wysuwając przed siebie dłoń z dzwoniącym cicho kwiatkiem, połyskującym w popołudniowym słońcu. Ujęła go, zaskoczona, palcami wciąż lśniącymi od tłuszczu z kiełbasek. W tym momencie wiedziony nagłym odruchem Dunstan nachylił się ku niej i na oczach jej matki, ojca i siostry, na oczach Bridget Comfrey, pana Bromiosa i innych ucałował dziewczynę w policzek.

Nietrudno odgadnąć, jak zareagowała rodzina. Wybuchł harmider, lecz pan Hempstock, który nie na darmo od pięćdziesięciu siedmiu lat żył na granicy Krainy Czarów i Kraju Poza Murem, wykrzyknął:

– Cicho tu! Spójrzcie mu w oczy! Nie widzicie, że biedny chłopak jest oszołomiony i kompletnie ogłupiały? Założę się, że rzucono na niego czary. Hej, Tommy Foresterze, chodź tu! Zabierz młodego Dunstana Thorna do wioski i miej na niego oko. Jeśli chce, może się przespać. Jeśli woli porozmawiać, rozmawiaj z nim...

Tommy wyprowadził Dunstana z jarmarku i poszli do Muru.

– Spokojnie, Daisy – pocieszała dziewczynę matka, gładząc jej włosy. – To tylko lekki elfi urok, nic więcej. Nie trzeba się przejmować. – Z głębi przepastnego dekoltu wyjęła koronkową chusteczkę i osuszyła policzki córki, które nagle zrosiły łzy.

Daisy uniosła wzrok, chwyciła chusteczkę i głośno wydmuchnęła nos. Pani Hempstock dostrzegła zaskoczona, że córka jakby się uśmiechała przez łzy.

– Ale, matko, Dunstan mnie pocałował – powiedziała Daisy Hemp stock, po czym umocowała kryształowy przebiśnieg z przodu czepka, gdzie podzwaniał i błyskał wesoło.

Po dłuższych poszukiwaniach pan Hempstock i ojciec Dunstana znaleźli kram, na którym sprzedawano kryształowe kwiaty. Stała za nim jednak starsza kobieta, której towarzyszył egzotyczny, bardzo piękny ptak, przykuty do żerdzi cienkim srebrnym łańcuszkiem. Nie dowiedzieli się od niej niczego pożytecznego. Gdy bowiem próbowali wypytywać ją, co się stało z Dunstanem, zaczęła zrzędzić, że straciła jeden z najpiękniejszych okazów, oddany za darmo z głupoty. Wspominała też o niewdzięczności i o okropnych nowych czasach, a także o dzisiejszej służbie.

*

W pustej wiosce (kto bowiem przebywałby w wiosce podczas magicznego jarmarku?) Dunstan został zaprowadzony „Pod Siódmą Srokę” i posadzony na drewnianym stołku. Oparł czoło na ręce i zapatrzył się pustym wzrokiem w dal. Od czasu do czasu wzdychał głęboko, dmuchając niczym wiatr.

Z początku Tommy Forester próbował z nim rozmawiać, zagadywać:

– No dalej, stary, pozbieraj się. Co z tobą? Pokaż, że potrafisz się uśmiechnąć. No już. Może coś zjesz albo wypijesz? Nie? Daję słowo, dziwnie wyglądasz, Dunstan, stary druhu...

Gdy jednak przyjaciel nie zaszczycił go odpowiedzią, Tommy zaczął powoli tęsknić za jarmarkiem, gdzie zapewne w tej chwili (potarł obolałą szczękę) urocza Bridget niewątpliwie stała się obiektem zalotów rosłego, dumnego pana w egzotycznym stroju, z małą rozszczebiotaną małpką na ramieniu. Pocieszywszy się zatem w duchu, że przyjaciel będzie bezpieczny w pustej gospodzie, Tommy przeszedł przez wioskę i ruszył w stronę wyrwy w murze.

Kiedy wrócił na jarmark, przekonał się, że panuje tam szalone zamieszanie. Tu popisywały się tresowane szczeniaki, tam żonglerzy, ówdzie tańczące zwierzęta. Odbywała się licytacja koni, a wszędzie wokół oferowano wszelkie możliwe towary, na sprzedaż bądź wymianę.

Później, o zmroku, pojawili się inni ludzie. Obwoływacz zaczął wykrzykiwać wieści, tak jak współczesne gazety krzyczą do nas nagłówkami: „Władca Twierdzy Burz powalony tajemniczą chorobą!”, „Wzgórze Ognia przeniosło się do warowni Deny!”, „Giermek jedynego dziedzica Garamondu został zamieniony w chrząkającego świniaka”. Za monetę obwoływacz wyjaśniał, co znaczą owe słowa.

Słońce zaszło. Na niebie pojawił się wielki wiosenny księżyc. Powiał chłodny wietrzyk. Handlarze wycofali się do

swych namiotów, kusząc gości szeptanymi obietnicami i zachętami uczestniczenia w niezliczonych cudach za bardzo przystępną cenę.

A kiedy księżyc zniżył się nad horyzontem, Dunstan Thorn przeszedł cicho brukowanymi ulicami wioski Mur. Minął wielu wesołych biesiadników – gości i miejscowych – choć jego dostrzegli tylko nieliczni.

Prześlizgnął się przez otwór w murze – a był to gruby mur – i zastanowił się nagle, jak kiedyś jego ojciec, co by się stało, gdyby wspiął się nań i po prostu ruszył naprzód.

A kiedy owej nocy znalazł się na łące, po raz pierwszy w życiu zapragnął pójść przed siebie, przejść przez strumień i zniknąć wśród drzew po drugiej stronie. Myśl ta wprawiła go w nagłe zakłopotanie, niczym przybycie nieproszonych gości. Kiedy jednak dotarł do celu, odepchnął owe myśli, niczym człowiek, który przeprasza gości i odchodzi, mamrocząc coś o tym, że jest z kimś umówiony.

Księżyc zachodził.

Dunstan uniósł dłonie do ust i zahukał. Nikt nie odpowiedział. Niebo nad jego głową było ciemne – może niebieskie, fioletowe, lecz nie czarne. Płonęło na nim więcej gwiazd, niż potrafił ogarnąć umysł Dunstana.

Zahukał ponownie.

– To hukanie – powiedziała mu wprost do ucha – zupełnie nie przypomina sówki. Głos śnieżnej sowy? Może. Może nawet puszczyka. Gdybym zatkała sobie uszy gałązkami, mogłabym uznać, że słyszę puchacza. Ale nie sówkę.

Dunstan wzruszył ramionami i uśmiechnął się głupio. Magiczna dziewczyna usiadła obok niego. Jej bliskość go oszałamiała. Wdychał jej zapach, czuł ją przez pory skóry. Pochyliła się ku niemu.

– Czy sądzisz, że rzuciłam na ciebie czar, piękny Dunstanie?

– Nie wiem.

Zaśmiała się i ów dźwięk przypominał szmer krystalicznego górskiego potoku, spływającego z bulgotem po kamieniach.

– Nie rzuciłam na ciebie zaklęcia, mój śliczny chłopcze. – Położyła się na trawie, patrząc w niebo. – Twoje gwiazdy – rzekła. – Jak wyglądają?

Dunstan położył się obok niej na zimnej łące i popatrzył w górę. Niewątpliwie gwiazdy wyglądały jakoś inaczej. Może miały w sobie dziś więcej barwy, bo lśniły na niebie niczym maleńkie klejnoty; może coś było nie tak z liczbą najmniejszych gwiazd, gwiazdozbiorów. W każdym razie kryło się w nich coś dziwnego i cudownego, ale też...

Leżeli obok siebie, wciąż patrząc w niebo.

– Czego pragniesz w życiu? – spytała magiczna dziewczyna.

– Nie wiem – przyznał. – Chyba ciebie.

– Ja pragnę wolności.

Dunstan ujął w dłoń srebrny łańcuszek, biegnący od jej przegubu do kostki i niknący w trawie. Szarpnął go. Był mocniejszy, niż się wydawał.

– Wykuto go z kociego oddechu, rybich łusek i światła Księżyca, pomieszanych ze srebrem – poinformowała go dziewczyna. – Nie da się go zerwać, dopóki nie wypełnią się warunki zaklęcia.

– Ach tak. – Opuścił rękę.

– Nie powinien mi przeszkadzać, jest przecież bardzo długi, lecz świadomość jego obecności drażni mnie. Tęsknię też za krainą mego ojca. A czarownica nie jest najlepszą panią...

Umilkła. Dunstan przysunął się do niej. Uniósł dłoń ku jej twarzy i dotknął czegoś mokrego i ciepłego.

– Ależ ty płaczesz.

Nie odpowiedziała. Dunstan przyciągnął ją do siebie, niezdarnie ocierając jej twarz wielką dłonią, a potem pochylił się ku zapłakanemu obliczu dziewczyny i nieśmiało, nie wiedząc, czy zważywszy na okoliczności postępuje właściwie, pocałował ją w rozpalone usta.

Po chwili wahania jej wargi rozchyliły się, a język wsunął do jego ust. W tym momencie, pod dziwnymi gwiazdami, Dunstan na zawsze stracił serce.

Całował się już wcześniej z dziewczętami z wioski, ale nigdy nie posunął się dalej.

Jego dłoń odnalazła okryte jedwabną suknią małe piersi i musnęła ich twarde koniuszki. Dziewczyna przywarła do niego mocno, jakby tonęła, i zaczęła mu rozpinać koszulę i spodnie.

Była taka drobna. Bał się, że zrobi jej krzywdę, ale nie zrobił. Wiła się i wierciła pod nim, wierzgając i sapiąc, i prowadząc go dłonią.

Obsypała jego twarz i pierś setkami płonących pocałunków, a potem znalazła się nad nim, dosiadając go, wzdychając i wybuchając śmiechem, spocona i śliska niczym rybka, a on wygiął plecy, wdzierając się w nią. Wypełniała mu głowę, ona i tylko ona. I gdyby znał jej imię, wykrzyknąłby je w głos.

Pod koniec chciał się wycofać, ona jednak zatrzymała go wewnątrz siebie. Oplotła nogami i naparła nań tak mocno, że odniósł wrażenie, że oboje zajmują to samo miejsce we wszechświecie. Zupełnie jakby przez jedną oszałamiającą, niewiarygodną chwilę stali się jednością, dając i przyjmując, podczas gdy gwiazdy gasły na rozjaśnionym łuną przedświtu niebie.

Leżeli obok siebie, milcząc.

Magiczna dziewczyna poprawiła swą jedwabną szatę i znów była starannie ubrana. Dunstan z żalem naciągnął spodnie. Uścisnął mocno jej drobną dłoń. Pot sechł mu na skórze. Chłopak czuł się zmarznięty i samotny.

Teraz, gdy niebo nad nimi szarzało, widział ją. Wokół poruszały się zwierzęta, tupały konie; przebudzone ptaki zaczynały śpiewem witać dzień. Tu i tam, na łące, w namiotach, zaczynały poruszać się cienie.

– Uciekaj już – powiedziała cicho i spojrzała na Dunstana niemal z żalem, oczami fioletowymi niczym cirrusy wysoko na porannym niebie. A potem pocałowała go lekko w usta, wargami o smaku soczystych jeżyn. Wstała i wróciła do wozu zaparkowanego za kramem.

Oszołomiony i samotny Dunstan przeszedł przez jarmark. Czuł się w tej chwili znacznie starszy, niż wskazywałoby na to jego osiemnaście lat.

Wrócił do obory, zdjął buty i zasnął. Gdy się ocknął, słońce stało już wysoko na niebie.

Następnego dnia jarmark dobiegł końca. Dunstan już tam nie poszedł. Cudzoziemcy opuścili wioskę i życie w Murze powróciło do normy. Być może norma ta była nieco mniej normalna niż życie w większości innych wsi (zwłaszcza gdy wiatr wiał z niewłaściwej strony), ale, zważywszy na wszystkie okoliczności, nadal można było ją nazwać normą.

*

Dwa tygodnie po jarmarku Tommy Forester oświadczył się Bridget Comfrey i został przyjęty. Tydzień później pani Hempstock przyszła z wizytą do pani Thorn. Wypiły razem herbatę w salonie.

– Cóż to za radość z chłopcem Foresterów – powiedziała pani Hempstock.

– Owszem – odparła pani Thorn. – Poczęstuj się jeszcze bułeczką, moja droga. Spodziewam się, że twoja Daisy będzie druhną.

– Tak przypuszczam – rzekła pani Hempstock. – Jeśli dożyje tego dnia.

Pani Thorn zaniepokojona uniosła wzrok.

– Nie jest chyba chora, pani Hempstock? Powiedz, że nie.

– W ogóle nie je, pani Thorn. Mizernieje w oczach. Od czasu do czasu wypija łyk wody.

– Ojej.

Pani Hempstock podjęła temat.

– Zeszłego wieczoru odkryłam w końcu, o co chodzi. To wasz Dunstan.

– On chyba nie… – Pani Thorn zakryła dłonią usta.

– Ach nie! – Pani Hempstock pokręciła głową i ściągnęła wargi. – Nic z tych rzeczy. Po prostu ją ignoruje. Nie widziała go od wielu dni. Ubzdurała sobie, że już go nie obchodzi. Całymi dniami trzyma w dłoni przebiśnieg, który od niego dostała, i szlocha.

Pani Thorn odmierzyła kolejną porcję herbaty do imbryka i nalała wrzątku.

– Prawdę mówiąc – przyznała – Thorny i ja także martwimy się o Dunstana. Jest jakiś otępiały. To chyba najlepsze określenie. Nie wypełnia swoich obowiązków. Thorny mówi, że chłopak musi się ustatkować. Gdyby tylko zechciał, Thorny gotów jest zapisać mu całą zachodnią łąkę.

Pani Hempstock powoli skinęła głową.

– Hempstock z pewnością chętnie ujrzałby naszą Daisy znów szczęśliwą. Na pewno zapisałby jej stado naszych

owiec.

Owce Hempstocków słynęły na wiele mil ze swej gęstej wełny i sporej (jak na owce) bystrości. Miały zakrzywione rogi i ostre raciczki. Pani Hempstock i pani Thorn popijały swą herbatę i tak wszystko zostało ustalone.

W czerwcu Dunstan Thorn poślubił Daisy Hempstock. I jeśli nawet pan młody sprawiał wrażenie nieco rozkojarzonego, panna młoda była szczęśliwa i radosna, jak każda młoda żona.

Za ich plecami ojcowie omawiali plany domu, który zbudują nowożeńcom na zachodniej łące. Matki zgodziły się, że Daisy wygląda niezwykle pięknie. Jaka szkoda, że Dunstan nie pozwolił jej ozdobić sukni szklanym przebiśniegiem, który kupił w kwietniu na jarmarku.

I tak właśnie ich zostawimy, w zamieci różanych płatków, szkarłatnych i herbacianych, białych i różowych.

No, może dodamy coś jeszcze.

Nowożeńcy do czasu zbudowania domu zamieszkali w chacie Dunstana. Byli niewątpliwie szczęśliwi, a codzienne zajęcia – hodowla, wypas, strzyżenie i pielęgnacja owiec – powoli sprawiły, że z oczu Dunstana zniknął wyraz zagubienia.

Nadeszła jesień, potem zima. Pod koniec lutego, w porze wylęgu jagniąt, gdy na świecie panował chłód, a mroźny wiatr ze skowytem pędził przez wrzosowiska i pozbawiony liści las, gdy z ołowianego nieba padał nieustannie lodowaty deszcz, o szóstej po południu, kiedy słońce już zaszło i niebo było ciemne, przez otwór w murze przepchnięto wiklinowy koszyk. Z początku strażnicy niczego nie dostrzegli. Ostatecznie patrzyli w złą stronę, było ciemno i mokro, a oni bez przerwy tupali nogami, zerkając ponuro i tęsknie ku światłom wioski.

Potem jednak usłyszeli wysoki, żałosny płacz.

Wówczas opuścili wzrok i ujrzeli stojący u ich stóp koszyk. W koszyku tkwiło zawiniątko, tobołek z nasączonego oliwą jedwabiu i wełnianych kocyków. Z jednej strony wystawała z niego czerwona zapłakana twarzyczka o zaciśniętych małych oczkach i szeroko otwartych ustach, wrzeszczących i głodnych.

Do kocyka zaś przypięto srebrną szpilką skrawek pergaminu, na którym napisano eleganckim, choć nieco archaicznym pismem, następujące słowa: „Tristran Thorn”.

Rozdział drugi

w którym Tristran Thorn osiąga wiek męski i składa pochopną obietnicę

Mijały lata.

Następny magiczny jarmark odbył się zgodnie z planem po drugiej stronie muru. Młody Tristran Thorn, który wówczas liczył sobie osiem lat, nie uczestniczył w nim, bo tuż przedtem wysłano go z wizytą do niezwykle dalekich krewnych we wsi leżącej o dzień jazdy od Muru.

Natomiast jego siostrze Louisie, młodszej o sześć miesięcy, pozwolono pójść na jarmark, co niezmiernie zirytowało chłopca, podobnie jak fakt, że Louisa kupiła tam sobie szklaną kulę wypełnioną iskierkami światła, które migotały i połyskiwały w mroku i łagodnie rozświetlały ciemność ich sypialni na farmie. Tymczasem Tristran przywiózł od swych krewnych jedynie paskudną odrę.

Wkrótce potem ich kotka urodziła troje kociąt. Dwa były czarno-białe, jak ona sama, futro trzeciego połyskiwało błękitem, a jego oczy zmieniały barwę w zależności od nastroju, od zielonozłotych po różowe, szkarłatne i czerwone.

Tego właśnie kociaka podarowano Tristranowi w ramach zadośćuczynienia za nieobecność na jarmarku. Wyrosła z niego błękitna kotka o najmilszym usposobieniu na świecie.

Pewnego wieczoru jednak zaczęła niecierpliwie krążyć po domu, miauczeć gardłowo i błyskać oczami barwy fioletoworóżowej naparstnicy. A kiedy ojciec Tristrana wrócił do domu z pola, kot miauknął donośnie, śmignął za drzwi i zniknął w mroku.

Strażnicy przy murze pilnowali przejścia przed ludźmi, nie przed kotami, i Tristran, który miał wówczas dwanaście lat, nigdy więcej nie zobaczył swojej ulubienicy. Przez jakiś czas był niepocieszony. Którejś nocy w jego sypialni zjawił się ojciec, usiadł na łóżku i powiedział szorstko:

– Po drugiej stronie twoja kotka będzie szczęśliwsza. Jest teraz wśród swoich. Nie martw się, mały.

Matka w ogóle nie poruszała tego tematu, ale też zwykle prawie się do niego nie odzywała. Czasami Tristran, unosząc wzrok, dostrzegał, jak się w niego wpatruje, zupełnie jakby próbowała wydobyć z jego twarzy ukryty sekret.

Natomiast jego siostra Louisa nie dawała mu spokoju, gdy rankiem szli razem do wiejskiej szkółki. Dręczyła go też o inne rzeczy, na przykład kształt jego uszu (prawe ucho mocno przylegało do głowy i było niemal spiczaste, lewe nie) i niemądre rzeczy, jakie zdarzyło mu się powiedzieć. Kiedyś, gdy wracali ze szkoły, zauważył, że małe obłoczki, białe i puchate, wiszące tuż nad horyzontem o zachodzie słońca, to owieczki. Nieważne, że później wyjaśniał, że po prostu przypominały mu owce, że było w nich coś puchatego i owczego. Louisa naśmiewała się, drwiła i szydziła jak mały potwór. Co gorsza, opowiedziała o wszystkim innym dzieciom, namawiając je, by beczały cicho, gdy tylko Tristran będzie przechodził obok nich. Louisa była urodzoną prowodyrką i robiła ze swoim bratem co chciała.

Wiejska szkółka była w istocie bardzo dobrą szkołą. Pod czujnym okiem nauczycielki, pani Cherry, Tristran Thorn

zdobywał wiedzę o ułamkach, o długości i szerokości geograficznej. Umiał poprosić po francusku o pióro ciotki ogrodnika, a nawet o pióro własnej ciotki. Znał imiona wszystkich królów i królowych Anglii, od Wilhelma Zdobywcy, 1066, po Wiktorię, 1837. Nauczył się też pisać i nieźle sobie radził z kaligrafią. W wiosce rzadko zjawiali się podróżni, od czasu do czasu jednak przybywali handlarze sprzedający powieści groszowe, opisujące straszliwe morderstwa, brzemienne w skutki spotkania, złowieszcze czyny i niezwykłe ucieczki. Większość handlarzy przywoziła też nuty, dwa arkusze za pensa. Miejscowe rodziny kupowały je i gromadziły się wokół pianin, śpiewając piosenki takie, jak „Dojrzała wiśnia” i „W ogrodzie mego ojca”.

Mijały dni, tygodnie, lata. Jako czternastolatek, dzięki procesowi osmozy, nieprzyzwoitym żartom, szeptanym sekretom i rubasznym balladom, Tristran dowiedział się, skąd się biorą dzieci. Gdy miał piętnaście lat, zranił się w rękę, spadając z jabłoni przed domem pana Thomasa Forestera, a dokładniej z jabłoni przed oknem sypialni panny Victorii Forester. Ku wielkiemu żalowi Tristrana udało mu się dostrzec jedynie przelotny, podniecający obraz różowego ciała Victorii, która była rówieśnicą jego siostry i bez wątpienia najpiękniejszą dziewczyną w promieniu stu mil. Gdy oboje skończyli siedemnaście lat, Tristran wierzył święcie, że Victoria jest najprawdopodobniej najpiękniejszą dziewczyną na Wyspach Brytyjskich; więcej, w całym Imperium Brytyjskim, może nawet na świecie, a gdyby ktoś próbował mu zaprzeczyć, Tristan był gotów bić się albo po prostu przywalić mu w nos. Jednakże w Murze trudno byłoby znaleźć kogoś, kto nie zgodziłby się z tą opinią. Victoria wielu zawróciła w głowach i, najprawdopodobniej, złamała wiele serc.

Oto jej opis: miała szare oczy swej matki, jej twarz w kształcie serca oraz kręcone, kasztanowe włosy ojca. Usta

dziewczyny były czerwone i doskonałe. Gdy coś mówiła, jej policzki pokrywał uroczy rumieniec. Była blada i absolutnie czarująca. Kiedy skończyła szesnaście lat, pokłóciła się z matką, bo Victoria wbiła sobie do głowy, że zacznie pracować jako posługaczka „Pod Siódmą Sroką”.

– Rozmawiałam z panem Bromiosem – poinformowała matkę – i nie miał nic przeciwko temu.

– Opinia pana Bromiosa zupełnie mnie nie interesuje – odparła jej matka, dawna Bridget Comfrey. – Młodej damie nie przystoi podobne zajęcie.

Cała wioska Mur z zainteresowaniem obserwowała ową próbę sił, zastanawiając się, jaki będzie jej wynik, nikt bowiem nie sprzeciwiał się Bridget Forester. Jej język – tak przynajmniej twierdzili mieszkańcy wioski – potrafiłby opalić farbę na drzwiach stodoły i zetrzeć korę z dębu. Żaden śmiałek nie odważył się sprzeciwić Bridget Forester. Mówiono też, że prędzej ściana ruszy z miejsca, niż Bridget zmieni zdanie.

Lecz Victoria Forester przywykła do tego, że wszyscy jej ustępują. Kiedy inne środki zawodziły, zwracała się do ojca, który zawsze zgadzał się na jej żądania. Tym razem jednak czekała ją niespodzianka, bo ojciec zgodził się z matką, twierdząc, że praca w barze „Pod Siódmą Sroką” to coś, czego nie powinna robić dobrze wychowana młoda panna. Po tych słowach Thomas Forester zacisnął zęby, kończąc wszelką dyskusję.

*

Wszyscy chłopcy w wiosce kochali się w Victorii Forester. Również wielu ustatkowanych dżentelmenów, żonatych i zaczynających siwieć, odprowadzało ją wzrokiem, gdy szła ulicą. Przez moment zdawało im się

wówczas, że znów są chłopcami w wiośnie życia, pełnymi energii i nadziei.

– Mówią, że wśród twych wielbicieli jest także pan Monday – powiedziała do Victorii Forester Louisa Thorn pewnego majowego popołudnia w jabłoniowym sadzie.

Pięć dziewcząt siedziało na gałęziach najstarszej jabłoni i wokół niej. Szeroki pień był bardzo wygodnym oparciem i siedziskiem; majowy wietrzyk strącał z drzewa różowe kwiaty, które opadały jak śnieg na ich włosy i sukienki. Przez liście przesączało się popołudniowe słońce, zielone i srebrzyste.

– Pan Monday – odparła z pogardą Victoria Forester – ma czterdzieści pięć lat i ani dnia mniej. – Skrzywiła się, demonstrując wszem wobec, jak stary wydaje się czterdziestopięciolatek, gdy samemu ma się zaledwie lat siedemnaście.

– Poza tym – wtrąciła Cecilia Hempstock, kuzynka Louisy – był już raz żonaty. Nie chciałabym poślubić kogoś, kto miał już żonę – dodała. – Zupełnie jakby ktoś inny oswoił mojego własnego kucyka.

– Osobiście uważam, że to jedyna dobra strona poślubienia wdowca – oznajmiła Amelia Robinson. – Ktoś wcześniej pozbawił go już złych nawyków, oswoił, jeśli chcesz użyć tego określenia. Poza tym z pewnością zaspokoił już swą żądzę. Dobrze byłoby uniknąć tych wszystkich krępujących rzeczy.

Wśród kwiatów jabłoni rozległy się ciche, pospiesznie stłumione chichoty.

– Mimo wszystko jednak – powiedziała z wahaniem Lucy Pippin – miło byłoby zamieszkać w dużym domu, mieć własną bryczkę i czwórkę koni, móc wyjeżdżać w sezonie do Londynu, do wód w Bath i zażywać kąpieli w Brighton, nawet jeśli pan Monday ma rzeczywiście czterdzieści pięć lat.

Pozostałe dziewczęta zapiszczały, ciskając w nią garściami kwiatów jabłoni. I żadna z nich nie piszczała głośniej i nie rzucała więcej kwiecia niż Victoria Forester.

*

W wieku siedemnastu lat Tristran Thorn, zaledwie sześć miesięcy starszy od Victorii, znalazł się w połowie drogi pomiędzy byciem chłopcem i mężczyzną, i w obu tych rolach czuł się równie źle. Można było odnieść wrażenie, że składa się głównie z łokci i jabłka Adama. Włosy koloru mokrej strzechy sterczały mu na głowie pod dziwacznymi kątami, jak to u siedemnastolatka, nieważne, jak często je ulizywał i czesał.

Był bardzo nieśmiały, co, jak to bywa u bardzo nieśmiałych ludzi, nadrabiał zbyt głośnym zachowaniem w najgorszych momentach. Zwykle Tristran był zadowolony ze swego życia – przynajmniej tak zadowolony, jak to możliwe w przypadku siedemnastolatka, który dopiero zaczynał żyć – a kiedy marzył w polu bądź za ladą w wiejskim sklepie Mondaya i Browna, wyobrażał sobie, że wsiada do pociągu i jedzie do Londynu albo Liverpoolu, a stamtąd parowcem pokonuje szary Atlantyk i ląduje w Ameryce, gdzie zbija majątek pośród dzikusów.

Czasami jednak wiatr zmieniał kierunek i wiał zza muru, niosąc zapach mięty, tymianku i czerwonych porzeczek. Wówczas w płomieniach palenisk całej wioski pojawiały się dziwne kolory. Gdy wiał taki wiatr, nawet najprostsze rzeczy – od zapałek po przeźrocza – przestawały działać.

I w owych chwilach marzenia Tristrana Thorna wypełniały niezwykłe, przesycone poczuciem winy fantazje, dziwaczne i mgliste sny o wędrówkach przez lasy i ratowaniu zamkniętych w pałacach księżniczek, o

rycerzach, trollach i syrenach. Kiedy ogarniał go podobny nastrój, chłopak wymykał się z domu, kładł na trawie i patrzył w gwiazdy.

Niewielu z nas miało szczęście oglądać gwiazdy tak jak w tamtych czasach – nasze miasta zbyt mocno świecą w ciemnościach – lecz gwiazdy widziane z wioski Mur lśniły na niebie niczym odrębne światy bądź idee, niezliczone jak drzewa w lesie i liście na drzewie. Tristran wpatrywał się w ciemne niebo, dopóki jego głowy nie opuściły wszystkie myśli. Wówczas wracał do łóżka i spał jak zabity.

Był niezgrabnym nastolatkiem o wielkim ukrytym potencjale, baryłką prochu, czekającą, aż ktoś lub coś podpali lont. Ponieważ jednak nikt tego nie uczynił, w wolne dni i wieczorami pomagał ojcu na farmie, a w dzień pracował dla pana Browna jako sprzedawca w sklepie.

Sklep Mondaya i Browna był jedyną taką placówką we wsi. Choć część towarów mieli u siebie w magazynach, większość interesów prowadzili za pomocą list: mieszkańcy wręczali panu Brownowi listy tego, co potrzebują, od wekowanych mięs po lekarstwa dla owiec, do noży do ryb, a nawet dachówek. Sprzedawca u Mondaya i Browna zbierał zamówienia, sporządzając jedną długą listę, a potem pan Monday brał ją, wsiadał na platformę zaprzężoną w dwa wielkie pociągowe konie i wyruszał do najbliższego miasta. Po kilku dniach wracał z platformą wyładowaną najróżniejszymi towarami.

Pewnego zimnego, wietrznego październikowego dnia, takiego kiedy wydaje się, że lada moment lunie deszcz, późnym popołudniem do Mondaya i Browna wmaszerowała Victoria Forester, niosąc listę skreśloną wyraźnym pismem matki. Nacisnęła dzwonek na ladzie, wzywając sprzedawcę.

Z lekkim zawodem spojrzała na Tristrana Thorna, który wynurzył się z pomieszczenia na zapleczu.

– Dzień dobry, panno Forester.

Uśmiechnęła się i wręczyła Tristranowi listę.

Oto jak wyglądała:

1/2 funta sago
10 puszek sardynek
1 butelka sosu grzybowego
5 funtów ryżu
1 puszka złotego syropu
2 funty porzeczek
Butelka koszenili
1 funt brązowego cukru
1 pudełko najlepszego kakao „Rowntrees” za szylinga
Puszka pasty do polerowania „Oakey” za trzy pensy
Brunszwicka czerń za sześć pensów
Paczka żelatyny „Swinbourne'a”
Butelka pasty do mebli
1 trzepaczka
Sitko za dziewięć pensów.

Tristran przeczytał to wszystko, szukając czegoś, co pozwoliłoby zagaić rozmowę.

Nagle usłyszał własny głos:

– Wygląda na to, panno Forester, że wszyscy lubicie pudding ryżowy.

Gdy tylko to powiedział, zrozumiał, że nie dokonał właściwego wyboru. Victoria ściągnęła swe idealne wargi i zamrugała szarymi oczami.

– Owszem, Tristranie, lubimy pudding ryżowy. – Uśmiechnęła się do niego. – Matka twierdzi, że

odpowiednia ilość puddingu ryżowego uodparnia człowieka na chłody, przeziębienia i inne jesienne choroby.

– Moja matka – wyznał Tristran – zawsze wolała pudding z tapioki. Większość towarów możemy dostarczyć jutro rano, resztę po powrocie pana Mondaya, na początku przyszłego tygodnia.

Nagły powiew wiatru potrząsnął okiennicami w wiosce i zakręcił kurkami na dachach tak mocno, że nie umiały już odróżnić północy od zachodu i południa od wschodu.

Ogień na palenisku u Mondaya i Browna zasyczał i rozbłysnął zielenią i szkarłatem, rozsiewając wokół srebrzyste iskry podobne do tych, które można uzyskać, wrzucając do kominka garść opiłków żelaza.

Wiatr wiał ze Wschodu, z Krainy Czarów i Tristran Thorn odnalazł nagle w sobie odwagę, o którą wcześniej się nie podejrzewał.

– Za kilka minut kończę pracę, panno Forester. Może mógłbym odprowadzić panią do domu? To dla mnie prawie po drodze.

Czekał ze ściśniętym sercem, podczas gdy szare oczy Victorii Forester spoglądały na niego z rozbawieniem. Miał wrażenie, że upłynęło co najmniej sto lat, nim w końcu odparła:

– Oczywiście.

Tristran pobiegł do salonu i poinformował pana Browna, że idzie do domu, a pan Brown odchrząknął z udaną irytacją, mówiąc, że kiedy on był młody, nie tylko musiał zostawać co dzień w sklepie do późnego wieczora i zamykać, ale także sypiał na podłodze za ladą, przykryty jedynie płaszczem. Tristran zgodził się, że jest prawdziwym szczęściarzem, życzył panu Brownowi dobrej nocy, zdjął z wieszaka płaszcz i nowy melonik, po czym wyszedł na brukowaną ulicę, gdzie czekała na niego Victoria Forester.

Wokół nich wczesny jesienny zmrok ustąpił miejsca ciemnemu wieczorowi. Tristran czuł w powietrzu odległą woń zimy, połączenie nocnych mgieł, mroźnej ciemności i ostrego zapachu gnijących liści. Wędrowali krętą dróżką, wiodącą na farmę Foresterów. Na niebie wisiał biały półksiężyc. Nad nimi w ciemności płonęły gwiazdy.

– Victorio – powiedział po dłuższej chwili Tristran.

– Tak, Tristranie? – spytała Victoria, wyraźnie zaprzątnięta własnymi myślami.

– Gdybym cię teraz pocałował, czy uznałabyś to za impertynencję?

– Tak – odparła bez ogródek zimnym tonem. – Za wielką impertynencję.

– Aha – rzekł Tristran.

W milczeniu wspięli się na pagórek Dyties. Gdy dotarli na szczyt, odwrócili się i ujrzeli pod sobą wioskę Mur, rozświetloną blaskiem ustawionych w oknach świec i lamp. Żółte, ciepłe płomyki mrugały zapraszająco. W górze lśniły tysiące gwiazd, migoczących i połyskujących na ciemnym niebie, lodowatych, odległych i liczniejszych, niż zdołałby ogarnąć umysł.

Tristran wyciągnął rękę i ujął drobną dłoń Victorii. Nie wyrwała jej.

– Widziałeś? – spytała Victoria, patrząc w dal.

– Niczego nie widziałem – rzekł. – Patrzyłem na ciebie.

Victoria uśmiechnęła się w blasku księżyca.

– Jesteś najpiękniejszą kobietą na świecie – wyrzucił z siebie nagle Tristran.

– Daj spokój – prychnęła Victoria, jej głos jednak zabrzmiał ciepło.

– Co widziałaś?

– Spadającą gwiazdę. To dość częste o tej porze roku.

– Vicki – rzekł Tristran – pocałujesz mnie?

– Nie – odparła.

– Kiedy byliśmy młodzi, pocałowałaś mnie pod dębem w twoje piętnaste urodziny i za oborą twojego ojca w ostatnie Święto Majowe.

– Byłam wtedy kim innym – powiedziała. – Dziś cię nie pocałuję, Tristranie Thornie.

– Nie chcesz mnie pocałować – rzekł Tristran – ale może zgodzisz się zostać moją żoną?

Na wzgórzu zapanowała cisza, zakłócana tylko szmerem październikowego wiatru, a potem zakłóciło ją coś jeszcze. To najpiękniejsza dziewczyna na Wyspach Brytyjskich wybuchnęła uroczym śmiechem.

– Czy wyjdę za ciebie? – powtórzyła z niedowierzaniem. – Czemu miałabym ciebie poślubić, Tristranie Thornie? Co mógłbyś mi dać?

– Dać? Dla ciebie wyruszyłbym do Indii i przywiózł ci kły słonia, perły wielkie jak twój kciuk i rubiny wielkości jajek strzyżyka. Pojadę do Afryki i przywiozę ci diamenty wielkości kul do krykieta. Odnajdę źródła Nilu i nazwę je twoim imieniem. Wyruszę do Ameryki, do San Francisco, na złotonośne pola, i nie wrócę, dopóki nie zdobędę tyle złota, ile ważysz. Wówczas przywiozę je tutaj i złożę u twoich stóp. Jeśli powiesz choć słowo, pojadę na najdalszą Północ. Zabiję potężne polarne niedźwiedzie i podaruję ci ich skóry.

– Szło ci całkiem nieźle, dopóki nie zacząłeś mówić o zabijaniu niedźwiedzi polarnych. Ale tak czy inaczej, mały subiekcie i parobku, nie pocałuję cię ani za ciebie nie wyjdę.

Oczy Tristrana zabłysły w promieniach księżyca.

– Dla ciebie wyruszę do Chin i przywiozę ci wielką dżonkę zdobytą od króla piratów, wyładowaną nefrytem, jedwabiem i opium – kontynuował Tristran. – Popłynę do

Australii na drugi koniec świata i przywiozę ci... mmm... – Gorączkowo przetrząsał w pamięci fragmenty przygodowych powieści, próbując przypomnieć sobie, czy którykolwiek z ich bohaterów odwiedził kiedyś Australię. – Kangura – rzekł w końcu. – I opale – dodał. Co do opali był prawie pewien.

Victoria Forester uścisnęła mu dłonie.

– Co bym zrobiła z kangurem? – spytała. – Powinniśmy już ruszać. W przeciwnym razie moi rodzice zaczną się zastanawiać, co mnie zatrzymało, i dojdą do całkowicie nieuprawnionych wniosków, albowiem nie pocałowałam cię, Tristranie Thornie.

– Pocałuj mnie! – błagał. – Za twój pocałunek zrobiłbym wszystko. Wspiąłbym się na każdą górę, pokonał każdą rzekę, przebył każdą pustynię.

Machnął ręką, wskazując leżącą w dole wioskę Mur, a potem nocne niebo nad ich głowami. Na wschodzie, nisko nad horyzontem, jedna z gwiazd z konstelacji Oriona rozbłysła, zamigotała i spadła.

– Za pocałunek i obietnicę twej ręki – oznajmił ze śmiertelną powagą Tristran – przyniosę ci gwiazdę, która właśnie spadła.

Zaczynał marznąć. Stopniowo pojmował, że nie dostanie pocałunku. To odkrycie go zdumiało. Mężni bohaterowie powieści przygodowych i horrorów za grosik nigdy nie mieli problemów ze zdobywaniem pocałunków.

– Ruszaj zatem. Jeśli ci się uda, zrobię to – odparła Victoria. – Jeśli przyniesiesz mi tę gwiazdę, tę która spadła przed chwilą, nie żadną inną, wówczas cię pocałuję i kto wie, co jeszcze zrobię. Proszę. Teraz nie musisz już wyruszać do Australii, do Afryki ani do odległych Chin.

– Co takiego? – rzekł Tristran.

A Victoria wybuchnęła śmiechem, cofnęła rękę i ruszyła wzdłuż zbocza w stronę farmy ojca.

Tristran podbiegł do niej.

– Mówiłaś poważnie? – spytał.

– Tak samo poważnie, jak ty, kiedy opowiadałeś mi bajki o rubinach, złocie i opium – odparła. – Co to w ogóle jest opium?

– Coś w miksturze na kaszel – wyjaśnił Tristran.

– Nie brzmi szczególnie romantycznie – zauważyła dziewczyna. – A zresztą, czy nie powinieneś już ruszać w drogę, by odnaleźć moją gwiazdę? Spadła na wschodzie, o tam. – Znów się zaśmiała. – Niemądry chłopak. Potrafisz tylko dopilnować, abyśmy dostali wszystkie składniki ryżowego puddingu.

– A jeśli przyniosę ci gwiazdę? – spytał Tristran. – To co mi dasz? Pocałunek? Swoją rękę?

– Wszystko, czego zapragniesz – odparła rozbawiona Victoria.

– Przyrzekasz? – spytał Tristran.

Pokonywali już ostatnią ścieżkę biegnącą na farmę Foresterów. W oknach płonęły lampy, żółte i pomarańczowe.

– Oczywiście – rzekła z uśmiechem.

Ścieżka wiodąca do domu Foresterów nie była brukowana. Kopyta koni, krów i owiec, łapy psów i nogi ludzi udeptały ją w lepkie błoto. Tristran Thorn padł w nie na kolana, nie zważając na stan swego płaszcza i wełnianych spodni.

– Doskonale – powiedział.

W tym momencie wiatr znowu powiał ze wschodu.

– Pożegnam cię tu, moja pani – oznajmił Tristran Thorn – bo mam do załatwienia ważną sprawę na Wschodzie.

Wstał, nie myśląc o zabłoconych nogawkach i płaszczu, i ukłonił się, zdejmując melonik.

Victoria Forester wybuchnęła śmiechem, patrząc na chudego subiekta. I śmiała się głośno, długo i uroczo, a jej śmiech odprowadzał go, gdy zbiegał w dół zbocza.

*

Resztę drogi do domu Tristran Thorn pokonał biegiem. Kolczaste łodygi wczepiały mu się w ubranie, gałąź strąciła z głowy melonik.

Wreszcie, zdyszany i obdarty, wpadł do kuchni domu na zachodnich łąkach.

– Spójrz tylko na siebie! – wykrzyknęła matka. – Na mą duszę. Coś podobnego!

Tristran jedynie uśmiechnął się do niej.

– Tristranie? – zagadnął ojciec, który w wieku trzydziestu pięciu lat wciąż był średniego wzrostu i wciąż miał piegi, choć w jego orzechowych kędziorach pojawiło się sporo srebrzystych nitek. – Matka powiedziała coś do ciebie. Nie słyszałeś?

– Bardzo przepraszam, ojcze, matko – powiedział Tristran – ale dziś wieczór opuszczę wioskę. Jakiś czas mnie nie będzie.

– Co za głupoty! – prychnęła Daisy Thorn. – Nigdy nie słyszałam podobnych bzdur.

Dunstan jednak dostrzegł w oczach syna dziwny wyraz.

– Ja z nim porozmawiam – rzekł do żony.

Spojrzała na niego ostro, po czym skinęła głową.

– Dobrze, ale kto pozszywa płaszcz chłopaka? Tylko to chciałabym wiedzieć.

Uniosła głowę i wymaszerowała z kuchni.

Ogień w piecu syczał, rozbłyskując srebrem, zielenią i fioletem.

– Dokąd się wybierasz? – spytał Dunstan.

– Na Wschód – odparł Tristran.

– Wschód.

Ojciec skinął głową. Istniały dwa różne wschody – można było jechać na wschód do następnego hrabstwa przez las, i na Wschód, na drugą stronę muru. Dunstan bez pytania wiedział, który z nich ma na myśli syn.

– A wrócisz? – spytał.

Tristran uśmiechnął się szeroko.

– Oczywiście.

– No cóż – rzekł ojciec – zatem wszystko w porządku. – Podrapał się po nosie. – Czy myślałeś o tym, jak się dostać na drugą stronę?

Tristran pokręcił głową.

– Na pewno znajdę jakiś sposób – rzekł. – Jeśli trzeba, pobiję wartowników.

Ojciec pociągnął nosem.

– Nie zrobisz niczego takiego. Jak by ci się podobało, gdybym to ja pełnił straż? Albo ty? Nie chcę, by komukolwiek coś się stało. – Ponownie podrapał się po nosie. – Idź, spakuj manatki i pocałuj matkę na pożegnanie. Odprowadzę cię do wioski.

Tristran spakował potrzebne rzeczy. Matka przyniosła mu sześć czerwonych, dojrzałych jabłek, bochenek chleba i gomółkę sera, które włożył do torby. Pani Thorn nie patrzyła na Tristrana. Pocałował ją w policzek i pożegnał. Potem razem z ojcem ruszył do wioski.

Kiedy Tristran skończył szesnaście lat, po raz pierwszy stanął na straży przy murze. Udzielono mu tylko jednej

instrukcji: obowiązkiem wartowników jest nie wypuścić nikogo na drugą stronę muru. Mogą do tego użyć wszelkich możliwych środków. Jeśli nie uda się temu zapobiec, strażnicy muszą zaalarmować mieszkańców wioski.

Idąc, zastanawiał się, co planuje ojciec. Może we dwóch uda im się pokonać strażników? Może ojciec odwróci ich uwagę, pozwalając, by Tristran przemknął się przez otwór... może...?

Nim przeszli przez wioskę i dotarli do otworu w murze, Tristran wyobraził sobie wszelkie możliwe ewentualności, poza tą, która zaszła naprawdę.

Tego wieczoru straż przy murze pełnili: Harold Crutchbeck i pan Bromios. Harold Crutchbeck był synem młynarza, rosłym, młodym mężczyzną, kilka lat starszym od Tristrana. Włosy pana Bromiosa były czarne i kręcone, oczy zielone, zęby białe; otaczała go woń winogron i gronowego soku, słodu i chmielu.

Dunstan Thorn podszedł do pana Bromiosa i zatrzymał się przed nim. Kilka razy tupnął nogą na rozgrzewkę.

– Dobry wieczór, panie Bromios. Dobry wieczór, Haroldzie – rzekł Dunstan.

– Dobry wieczór, panie Thorn – odparł Crutchbeck.

– Dobry wieczór, Dunstanie – dodał pan Bromios. – Mam nadzieję, że dobrze się miewasz.

Dunstan przyznał, że owszem. Chwilę rozmawiali o pogodzie i zgodzili się, że nie wróży nic dobrego farmerom, a sądząc po ilości jagód cisu i ostrokrzewu, czeka ich długa, ciężka zima.

Słuchając ich rozmowy, Tristran aż kipiał z frustracji i zdenerwowania. Gryzł się jednak w język i milczał.

Wreszcie jego ojciec rzekł:

– Panie Bromios, Haroldzie. Obaj chyba znacie mojego syna, Tristrana.

Tristran nerwowo ukłonił się, uchylając melonika.

A potem ojciec powiedział coś, czego chłopak nie zrozumiał.

– Przypuszczam, że wiecie, skąd się wziął?

Pan Bromios bez słowa kiwnął głową.

Harold Crutchbeck odparł, że słyszał pogłoski, choć nigdy nie wierzył w połowę tego, co usłyszał.

– To prawda – oznajmił Dunstan. – I nadszedł czas, aby tam wrócił.

– Spadła gwiazda… – zaczął wyjaśniać Tristran, lecz ojciec uciszył go jednym gestem.

Pan Bromios potarł podbródek i przeczesał dłonią gęste, czarne loki.

– Doskonale – rzekł.

Odwrócił się i powiedział coś cicho do Harolda.

Tristran nie usłyszał ani słowa.

Ojciec wcisnął mu do ręki coś zimnego.

– Ruszaj w drogę, chłopcze. Idź i przynieś swą gwiazdę. Niech Bóg i wszyscy Jego aniołowie towarzyszą ci w drodze.

A pan Bromios i Harold Crutchbeck – strażnicy u wrót – odsunęli się, by go przepuścić.

Tristran przeszedł przez otwór w kamiennym murze i znalazł się na łące po drugiej stronie.

Odwróciwszy głowę, ujrzał trzech stojących w otworze mężczyzn, zastanawiając się, czemu pozwolili mu przejść.

A potem, wymachując trzymaną w jednym ręku torbą i ściskając w drugiej dłoni przedmiot, który dał mu ojciec, Tristran Thorn ruszył pod górę łagodnym zboczem w stronę lasu.

*

Gdy tak szedł, chłód nocy wydał się Tristranowi nagle lżejszy, a kiedy znalazł się wśród drzew na szczycie wzgórza, ze zdumieniem uświadomił sobie, że pomiędzy wierzchołkami widzi świecący jasno księżyc. Zdumiało go to, bo księżyc zaszedł godzinę wcześniej, a poza tym zamiast widzianego już tego wieczoru, wąskiego, srebrnego półksiężyca ujrzał nad sobą złocistą tarczę w pełni, żółtą i ogromną.

Zimny przedmiot w jego dłoni zabrzęczał lekko, wydając krystaliczny dźwięk, niczym dzwon maleńkiej szklanej katedry. Tristran otworzył dłoń i uniósł ją do światła.

Ujrzał zrobiony ze szkła przebiśnieg.

Ciepły wiatr musnął mu twarz. Niósł ze sobą woń mięty, liści, porzeczek i czerwonych dojrzałych śliwek, i w tym momencie Tristran Thorn pojął ogromną wagę swej niedawnej decyzji. Wybierał się w głąb Krainy Czarów, w poszukiwaniu gwiazdy, która spadła, nie mając pojęcia, jak ją znaleźć i jak zachować przy tym zdrowie i życie. Obejrzał się i wydało mu się, że wciąż dostrzega światła wioski Mur, migoczące i mrugające niczym obraz w rozedrganym od gorąca powietrzu, nadal ciepłe i zachęcające.

Wiedział, że jeśli zawróci, nikt nie będzie miał mu tego za złe – ani ojciec, ani matka, ani nawet Victoria Forester, która zapewne jedynie uśmiechnie się następnym razem, gdy go ujrzy. Znów nazwie go subiekcikiem i doda, że gwiazdy, kiedy już spadną, zwykle okazują się trudne do znalezienia.

Zawahał się. Pomyślał o ustach Victorii, jej szarych oczach, jej śmiechu. Wyprostował plecy, wsunął szklany przebiśnieg w najwyższą dziurkę rozpiętego płaszcza i, wiedząc zbyt mało, by się bać, będąc zbyt młodym, by czuć podziw, Tristran Thorn przeszedł za pola, które znamy...

...do Krainy Czarów.

Rozdział trzeci

w którym poznajemy kilka innych osób, część z nich żywych, głęboko zainteresowanych losem spadającej gwiazdy

Cytadela Burz została wykuta w skałach tworzących szczyt góry Huon przez Pierwszego Władcę Cytadeli Burz, który żył na przełomie Pierwszej i Drugiej Ery. Kolejni władcy Cytadeli Burz rozbudowywali i ulepszali twierdzę, ryjąc nowe tunele, i obecnie pierwotny wierzchołek góry wbijał się w niebo niczym misternie rzeźbiony kieł potężnej, szarej, granitowej bestii. Sama cytadela tkwiła wysoko na niebie, w miejscu gdzie gromadzą się burzowe chmury, nim opadną w dół, zsyłając na ziemię deszcz, pioruny i zniszczenie.

Osiemdziesiąty Pierwszy Władca Cytadeli Burz umierał. Leżał w swej komnacie, wykutej w najwyższym wierzchołku niczym dziura w zepsutym zębie. W krainach poza polami, które znamy, wciąż jeszcze istnieje śmierć.

Wezwał do swego łoża śmierci dzieci i te przybyły, żywe i umarłe, drżące z zimna w lodowatych granitowych salach. Wszyscy zebrali się wokół jego łóżka, czekając z szacunkiem – żywi po prawej stronie, martwi po lewej.

Czterech jego synów nie żyło – Secundus, Kwintus, Kwartus i Sekstus. Stali teraz bez ruchu – szare postaci, milczące i niematerialne. Trzej pozostali wciąż żyli – Primus, Tertius i Septimus. Czekali zakłopotani po prawej stronie komnaty, przestępując z nogi na nogę, drapiąc się po nosach i policzkach, jakby zawstydzeni milczeniem i opanowaniem swych martwych braci. W ogóle nie patrzyli w ich stronę, udając, jak najlepiej umieli, że w lodowatej sypialni oprócz nich i ojca nie ma nikogo innego. Przez wielkie dziury okien w granitowej ścianie wpadały do środka powiewy zimnego wiatru. Może rzeczywiście nie widzieli swych martwych braci, a może starali się ignorować ich obecność, bo sami ich zabili (każdy po jednym, oprócz Septimusa, który zamordował zarówno Kwintusa, jak i Sekstusa: pierwszego otruł, dosypując trucizny do pikantnej potrawy z węgorzy, przy drugim postawił na szlachetną prostotę i po prostu zepchnął go z urwiska, gdy pewnej nocy podziwiali szalejącą w dole burzę). Być może lękali się swego poczucia winy, duchów bądź kary – ich ojciec tego nie wiedział.

W głębi ducha Osiemdziesiąty Pierwszy Władca liczył na to, że do czasu, gdy nadejdzie koniec, sześciu z siedmiu młodych paniczów zginie, pozostawiając tylko jednego żywego, i on właśnie zostanie Osiemdziesiątym Drugim Władcą Cytadeli Burz i Panem Najwyższych Turni. Ostatecznie kilkaset lat wcześniej on także w ten właśnie sposób zdobył swój tytuł.

Lecz dzisiejsza młodzież była słaba i wydelikacona. Brakło jej energii, wigoru i zapału, który pamiętał z czasów, gdy sam był młody...

Ktoś coś mówił. Władca z trudem skupił na nim uwagę.

– Ojcze – powtórzył Primus głębokim, donośnym głosem. – Jesteśmy tu wszyscy. Jakie są twoje życzenia?

Starzec spojrzał na niego. Z upiornym świstem zaczerpnął haust rozrzedzonego, mroźnego powietrza, a potem odparł wyniosłym tonem, twardym jak sam granit:

– Umieram. Wkrótce nadejdzie mój kres, a wtedy zaniesiecie moje szczątki w głąb góry do Sali Przodków i umieścicie je – mnie – w osiemdziesiątej pierwszej niszy, czyli pierwszej wolnej. Tam mnie zostawicie. Jeśli tego nie zrobicie, spadnie na was klątwa i wieża Cytadeli runie.

Trzej żyjący synowie milczeli. Wśród martwych natomiast rozległ się cichy szmer – być może wyraz żalu, że ich własne szczątki zostały rozdziobane przez orły, porwane przez bystre rzeki i wodospady, zaniesione wartkim nurtem aż do morza, by nigdy już nie spocząć w Sali Przodków.

– A teraz sprawa sukcesji. – Głos władcy wyrywał się ze świstem z jego ust, niczym powietrze wyciskane z zepsutych miechów.

Żyjący synowie unieśli głowy. Primus, najstarszy (gęsta kasztanowa broda, w której pojawiały się już pierwsze siwe włosy, orli nos, szare oczy) patrzył wyczekująco; Tertius (broda złocistoruda, oczy jasnobrązowe) czujnie; Septimus (czarna młodzieńcza broda, wysoki, podobny do kruka) czekał z nieprzeniknioną miną, bo nigdy nie okazywał uczuć.

– Primusie, podejdź do okna.

Primus kilkoma krokami pokonał odległość dzielącą go od otworu w skalnej ścianie i wyjrzał na zewnątrz.

– Co widzisz?

– Nic, panie. Widzę wieczorne niebo nad nami i chmury pod nami.

Starzec zadrżał pod okrywającą go skórą górskiego niedźwiedzia.

– Tertiusie, podejdź do okna. Co widzisz?

– Nic, ojcze. To samo co Primus. Nad nami wisi wieczorne niebo barwy sińca, pod nami kłębią się szare, gęste chmury.

Stary człowiek wywrócił oczami niczym szalony drapieżny ptak.

– Septimusie, teraz ty. Okno.

Septimus podszedł do okna i stanął obok, choć nie za blisko dwóch starszych braci.

– A ty, co widzisz?

Wyjrzał na zewnątrz. Ostry powiew wiatru uderzył go w twarz i sprawił, że do piekących oczu napłynęły łzy. Na fioletowym niebie zamigotała słabo gwiazda.

– Widzę gwiazdę, ojcze.

– Ach! – wychrypiał Osiemdziesiąty Pierwszy Władca. – Zanieście mnie do okna.

Czterej martwi synowie patrzyli ze smutkiem, jak trzech pozostałych przy życiu dźwiga ostrożnie ojca. Starzec stanął przy oknie, czy raczej niemal stanął, opierając się ciężko na szerokich ramionach swych potomków, i spojrzał w ołowiane niebo.

Jego palce, kruche i wykrzywione, chwyciły topaz wiszący na szyi na srebrnym łańcuchu. Pod dotykiem starca łańcuch pękł łatwo niczym pajęczyna. Władca uniósł klejnot. Końce zerwanego łańcucha zakołysały się lekko. Martwi panicze z Cytadeli Burz zaszeptali do siebie głosami duchów, przypominającymi odgłos padającego śniegu: ów topaz bowiem był Mocą Burzy. Ten, kto go nosił, stawał się władcą Cytadeli Burz, jeśli tylko pochodził z rodu władców. Któremu z żyjących synów wręczy klejnot Osiemdziesiąty Pierwszy Władca Cytadeli Burz?

Żyjący synowie milczeli. Patrzyli jednak jak przedtem: wyczekująco, czujnie i obojętnie (choć była to złudna obojętność, obojętność skały, na której szczyt nie można się

wspiąć; niestety, odkrywamy to dopiero w połowie drogi, gdy nie da się już zejść).

I wtedy starzec odsunął się od synów. Przez moment stał sam, wysoki, wyprostowany. Na jedno uderzenie serca znów stał się władcą Cytadeli Burz, który pokonał Północne Gobliny w bitwie pod Najwyższą Turnią, który z trzema żonami spłodził ośmioro dzieci – w tym siedmiu chłopców – i nim jeszcze skończył dwadzieścia lat, zabił w walce swych czterech braci, choć najstarszy z nich był odeń niemal pięć razy starszy i słynął wszem wobec ze swej siły i odwagi. Ten właśnie człowiek uniósł topaz i wymówił cztery słowa w od dawna martwym języku. Słowa te zawisły w powietrzu niczym uderzenia wielkiego gongu z brązu.

A potem cisnął kamień w powietrze. Żyjący bracia wstrzymali oddech, gdy klejnot wzleciał nad chmury. Po sekundzie wydawało się, że zacznie spadać. On jednak wbrew wszelkiej logice wznosił się dalej.

Teraz na niebie lśniły już tylko gwiazdy.

– Temu, który odnajdzie kamień kryjący w sobie Moc Burzy, pozostawiam me błogosławieństwo i władzę nad Cytadelą oraz jej dominiami – oznajmił Osiemdziesiąty Pierwszy Władca. Jego głos z każdym słowem tracił moc. Znów stał się ochrypłym szeptem bardzo starego człowieka, poświstującym niczym wiatr w opuszczonym domu.

Bracia, żywi i martwi, nie spuszczali wzroku z kamienia. Klejnot wzleciał w niebo. Wkrótce zniknął im z oczu.

– Czy zatem mamy schwytać orły i osiodłać je, by zaniosły nas w niebiosa? – spytał ze zdumieniem i irytacją Tertius.

Ojciec nie odpowiedział. Ostatnie zorze dnia zgasły. Nad ich głowami świeciły niezliczone jasne gwiazdy.

Jedna spadła.

Tertiusowi, choć nie miał pewności, wydało się, że była to pierwsza wieczorna gwiazda, ta o której wspomniał jego brat Septimus.

Gwiazda, ciągnąc za sobą smugę światła, runęła z nocnego nieba i zniknęła gdzieś na południe i zachód od nich.

– Tam – szepnął Osiemdziesiąty Pierwszy Władca i runął na kamienną posadzkę komnaty. Nie oddychał.

Primus podrapał się po brodzie, patrząc na zwłoki ojca.

– Mam wielką ochotę – rzekł – wyrzucić tego starego łotra przez okno. Co to za idiotyzmy?

– Lepiej nie – odparł Tertius. – Nie chcemy, by Cytadela runęła. Nie chcemy też, by spadła na nas klątwa. Lepiej po prostu umieśćmy go w Sali Przodków.

Primus podniósł ciało ojca i złożył je na przykrytym futrami łożu.

– Powiadommy ludzi, że umarł – rzekł.

Czterech martwych braci zgromadziło się przy oknie wokół Septimusa.

– Jak sądzisz, o czym teraz myśli? – spytał Sekstusa Kwintus.

– Zastanawia się, gdzie spadł kamień i jak dotrzeć do niego przed pozostałymi – odparł Sekstus, wspominając swój upadek w przepaść i otchłań śmierci.

– Taką mam przynajmniej nadzieję – dodał były Osiemdziesiąty Pierwszy Władca Cytadeli Burz, zwracając się do swych czterech martwych synów.

Lecz trzej jeszcze żyjący synowie niczego nie usłyszeli.

*

Nie da się udzielić prostej odpowiedzi na pytanie: „Jak duża jest Krai na Czarów?”. Kraina Czarów nie jest bowiem jednym państwem, dzielnicą czy dominium. Mapy Krainy Czarów są bardzo niedokładne i nie należy im ufać.

Często mówimy o królach i królowych Krainy Czarów, tak jak o królach i królowych Anglii. Lecz Kraina Czarów jest większa niż Anglia, większa niż nasz świat (jako że od początku świata każda kraina, która znikała z mapy dzięki wysiłkom badaczy i śmiałków wyruszających w drogę, by udowodnić, że nie istnieje, trafiała do Krainy Czarów. Toteż w chwili, gdy to piszemy, stała się ona naprawdę ogromna i mieści w sobie wszelkie możliwe terytoria). Tu naprawdę żyją smoki, a także gryfy, wiwerny, hipogryfy, bazyliszki i hydry. Są tu też zwykłe zwierzęta. Koty – czułe i wyniosłe. Psy – szlachetne i tchórzliwe. Wilki, lisy, orły i niedźwiedzie.

Pośrodku lasu, tak gęstego i rozległego, że prawie można go nazwać puszczą, stał mały domek, zbudowany ze słomy, drewna i szarej gliny. Wyglądał niezwykle odpychająco. Przed domem wisiała klatka, w której siedział mały żółty ptak. Nie śpiewał, lecz przycupnął w milczeniu, strosząc wyblakłe pióra. Do środka prowadziły drzwi, z których obłaziła niegdyś biała farba.

Wewnątrz było tylko jedno pomieszczenie. Z powały zwisały wędzone mięsa i kiełbasy, a także zeschnięty zewłok krokodyla. Na wielkim kominku płonął torf, dymiąc obficie. Dym sączył się wąską strużką z komina. Z boku stały trzy okryte kocami łóżka – jedno wielkie i stare, dwa pozostałe małe i niziutkie.

W drugim kącie obok dużej, pustej drewnianej klatki leżały sprzęty kuchenne. W ścianach tkwiły okna zbyt brudne, by dało się przez nie wyjrzeć, a wszystko pokrywała gruba warstwa tłustego kurzu.

Jedyną czystą rzeczą w tym domu było oparte o ścianę zwierciadło z czarnego szkła, wysokości rosłego mężczyzny,

szerokie niczym kościelne wrota.

Dom należał do trzech starych kobiet. Na zmianę sypiały na wielkim łożu, przyrządzały obiady i zastawiały wnyki na drobne zwierzęta, a także czerpały wodę z głębokiej studni na tyłach.

Rzadko się odzywały.

W domku przebywały też trzy inne kobiety. Były szczupłe, ciemnoskóre i stale rozbawione. Sala, w której mieszkały, wielokrotnie przewyższała rozmiarami domek, posadzkę miała z onyksu, a podtrzymujące powałę kolumny z obsydianu. Tuż za nimi otwierał się dziedziniec pod nocnym niebem, na którym lśniły gwiazdy. Pośrodku dziedzińca wzniesiono fontannę – posąg syreny w ekstatycznej pozie. Z jej szeroko otwartych ust tryskała czarna woda, zbierająca się w wielkiej misie w dole. Na pofalowanej powierzchni tańczyły gwiazdy.

Trzy kobiety i ich dom tkwiły w czarnym zwierciadle.

Trzy staruszki były trzema Lilim – władczyniami czarownic. Samotnie mieszkały w lesie.

Kobiety w zwierciadle także były Lilim. Czy jednak miały stać się następczyniami staruszek, czy też były ich cieniami; czy prawdziwy był tylko domek w lesie, czy też gdzieś daleko Lilim naprawdę mieszkały w czarnej sali przy dziedzińcu, pod gwiazdami, z fontanną w kształcie syreny, nie wiedział tego nikt poza samymi Lilim, i nikt tego nie odgadnie.

Owego dnia jedna z wiedźm wynurzyła się z lasu, niosąc w dłoni gronostaja. Futro na szyi zwierzątka było splamione jaskrawą czerwienią.

Położyła go na zakurzonej desce i ujęła w dłoń ostry nóż. Nacięła skórę wokół nóg i szyi zwierzęcia, a potem brudną ręką ściągnęła ją, jakby rozbierała dziecko z piżamy, i rzuciła krwawy zewłok na kloc drewna.

– Wnętrzności? – spytała trzęsącym się głosem.

Najniższa i najstarsza z kobiet, o najbardziej splątanych włosach, kołysząca się w fotelu na biegunach, uniosła głowę.

– Czemu nie.

Pierwsza staruszka podniosła gronostaja, chwytając za głowę, i rozcięła go od szyi po ogon. Wnętrzności wypadły na deskę: czerwone, fioletowe i śliwkowe; mokre jelita i organy połyskujące niczym klejnoty na zakurzonym drewnie.

– Chodźcie tu, szybko! – wrzasnęła kobieta. Potem łagodnie poruszyła nożem flaki gronostaja i ponownie wrzasnęła.

Wiedźma w fotelu dźwignęła się na nogi (w zwierciadle ciemnoskóra kobieta przeciągnęła się i wstała z kanapy). Ostania staruszka, wracająca z wygódki, pospiesznie dołączyła do pozostałych.

– Co? Co się stało?

W lustrze pojawiła się trzecia młoda kobieta (piersi miała małe i sterczące, oczy ciemne).

– Spójrzcie. – Pierwsza staruszka wskazała coś nożem.

Ich mętnoszare ze starości oczy zmrużyły się, gdy cała trójka przyglądała się wnętrznościom na desce.

– Wreszcie – powiedziała jedna z nich.

– Najwyższy czas – dodała druga.

– Zatem która z nas ją znajdzie? – spytała trzecia.

Trzy kobiety zamknęły oczy. Trzy ręce zanurzyły się we wnętrznościach gronostaja.

Pomarszczona dłoń rozchyliła się.

– Ja mam nerkę.

– Ja wątrobę.

Trzecia dłoń należała do najstarszej z Lilim.

– Ja mam serce – powiedziała tryumfalnie.

– Jak będziesz podróżować?

– Naszym starym rydwanem. Wprzęgnę do niego to, co spotkam na rozstajach.

– Będziesz potrzebowała parę lat.

Najstarsza starucha przytaknęła.

Najmłodsza, ta która przyszła z wygódki, pokuśtykała wolno do wysokiej, zniszczonej komody i nachyliła się. Z najniższej szuflady wyjęła pordzewiałą żelazną szkatułę i przyniosła siostrom. Okręcono ją kiedyś trzema kawałkami starego sznurka, każdym zawiązanym na inny węzeł. Wiedźmy kolejno rozwiązały swoje węzły, po czym najmłodsza uniosła pokrywę.

Na dnie szkatułki coś zalśniło złociście.

– Niewiele zostało – westchnęła najmłodsza z Lilim, która była stara już wtedy, gdy otaczający je las spoczywał jeszcze na dnie morza.

– Zatem dobrze, że w końcu znalazłyśmy nową, nieprawdaż? – spytała cierpko najstarsza i zakrzywiając palce, wsunęła dłoń do szkatułki.

Coś złocistego próbowało umknąć jej palcom, ona jednak chwyciła to, skręcające się i migoczące. Wsunęła to coś do ust.

(Trzy kobiety w lustrze patrzyły w milczeniu).

U podstaw świata coś zadrżało i zadygotało.

(Teraz dwie kobiety wyglądały z czarnego zwierciadła).

W domku dwie staruszki patrzyły z zazdrością i nadzieją na wysoką, piękną kobietę o czarnych włosach, ciemnych oczach i bardzo czerwonych ustach.

– Daję słowo – rzekła. – Strasznie tu brudno.

Podeszła do łoża. Obok niego stała wielka drewniana skrzynia, okryta spłowiałym gobelinem. Kobieta odsunęła gobelin i otwarła skrzynię, po czym zaczęła grzebać w środku.

– No, jest – rzekła, wyciągając szkarłatną suknię. Rzuciła ją na łóżko i uwolniła się ze szmat i łachmanów, które nosiła jako staruszka.

Obie siostry obserwowały głodnym wzrokiem jej nagie ciało.

– Gdy wrócę z jej sercem, wystarczy lat dla nas wszystkich – oznajmiła, mierząc niechętnym spojrzeniem porośnięte szczeciną podbródki i zapadnięte oczy sióstr. Wsunęła na przegub szkarłatną bransoletę w kształcie małego węża pożerającego własny ogon.

– Gwiazda – powiedziała jedna z jej sióstr.

– Gwiazda – powtórzyła druga.

– Właśnie – odparła królowa czarownic, nakładając na głowę srebrną obręcz. – Pierwsza od dwustu lat. A ja zdobędę ją dla nas.

Ciemnoczerwonym językiem oblizała szkarłatne usta.

– Spadająca gwiazda – rzekła.

*

Na polanie przy stawie panowała noc. Niebo pokrywały niezliczone iskierki gwiazd.

Pośród liści wiązów, w paprociach i gałęziach leszczyny połyskiwały świetliki, migoczące niczym światła niezwykłego, odległego miasta. We wpadającym do stawu strumyku zanurkowała z pluskiem wydra. Rodzina gronostajów dreptała statecznie do wody, by zaspokoić pragnienie. Polna mysz znalazła laskowy orzech i zaczęła

wgryzać się w jego twardą skorupkę ostrymi, stale rosnącymi przednimi zębami – nie dlatego, że dręczył ją głód, lecz ponieważ w istocie była zaczarowanym księciem, który nie mógł odzyskać swej poprzedniej postaci, dopóki nie ugryzł Orzecha Mądrości. Jednakże w podnieceniu mysz zapomniała o zachowaniu ostrożności. Tylko cień, na moment przesłoniwszy księżyc, ostrzegł ją przed wielką szarą sową, która błyskawicznie spadła na mysz, porwała ją ostrymi szponami i wzleciała w noc.

Mysz upuściła orzech, który spadł do strumienia i został wkrótce chwycony przez łososia. Sowa natomiast połknęła mysz. Po chwili z jej dzioba sterczał tylko kawałek ogona niczym kawałek sznurowadła. Coś zaszeleściło i chrząknęło w krzakach. Borsuk – pomyślała sowa (także zaczarowana, mogła odzyskać swą postać, gdyby upolowała mysz, która wcześniej zjadła Orzech Mądrości) – albo może mały niedźwiedź.

Liście szeleściły. Woda szemrała. A potem polanę wypełnił nagle spadający z nieba blask, czyste białe światło, jaśniejące z każdą chwilą. Sowa ujrzała jego odbicie w stawie – płonącą, oślepiająca istotę z czystego światła, tak jasną, że zerwała się z miejsca i uciekła do innej części lasu. Dzikie zwierzęta rozglądały się przerażone.

Z początku światło na niebie było nie większe niż księżyc. Potem zaczęło rosnąć, nieskończenie rosnąć. Zagajnik zadrżał i zadygotał. Zwierzęta wstrzymały oddech, świetliki rozbłysły jaśniej niż kiedykolwiek wcześniej, przekonane, że w końcu znalazły swoją miłość. Jednak bez skutku…

A potem…

Rozległ się trzask, głośny jak wystrzał, i światło wypełniające polanę zgasło.

Czy raczej prawie zgasło. Pośrodku krzaków leszczyny pulsował lekki blask, jakby zaświecił tam maleńki obłok

gwiazd.

Po chwili na polanie rozległ się głos. Wysoki, wyraźny, kobiecy głos, który powiedział: „Auu!”, po czym bardzo cicho dodał: „Kurwa”, i znów głośno: „Auu!”.

Później zamilkł i na polanie zapadła cisza.

Rozdział czwarty

Czy można dojść tam w blasku świeczki?

Z każdym krokiem Tristran zostawiał za sobą październik. Miał wrażenie, że wkracza do krainy lata. Przez las wiodła ścieżka, po jednej stronie ograniczona wysokim żywopłotem. Na niebie lśniły gwiazdy. Księżyc w pełni błyszczał złocistym blaskiem barwy dojrzałej kukurydzy. W jego promieniach Tristran widział kwitnące w żywopłocie dzikie róże.

Zaczynał robić się senny. Przez jakiś czas walczył z tym, potem zdjął płaszcz, położył na ziemi torbę – dużą skórzaną torbę, którą za dwadzieścia lat powszechnie zaczną nazywać gladstonką – oparł na niej głowę i okrył się płaszczem.

Patrzył w gwiazdy i nagle wydało mu się, że widzi tancerzy, wdzięcznych i wytwornych, wykonujących taniec niemal niepojęty w swej złożoności. Wyobraził sobie też, że dostrzega twarze gwiazd – były blade, łagodnie uśmiechnięte, jakby ich właściciele zbyt wiele czasu spędzali ponad światem, obserwując krzątaninę, radość i ból ludzi w dole, i nie mogli powstrzymać rozbawienia, gdy kolejny maleńki człowiek zaczyna wierzyć, iż jest środkiem wszechświata. A przecież wierzy w to każdy.

Potem zaś Tristran zrozumiał, że śni, i wszedł do swej sypialni, w której jednocześnie mieściła się sala szkolna wioski Mur. Pani Cherry postukała w tablicę, nakazując uczniom milczenie. Tristran spuścił wzrok, patrząc na tabliczkę, by się dowiedzieć, o czym będzie dzisiejsza lekcja, nie mógł jednak odczytać własnych słów, a potem pani Cherry, tak bardzo przypominająca jego matkę, że Tristran zdumiał się, że nigdy wcześniej nie pojął, że są tą samą osobą, wywołała go, by wymienił głośno daty panowania wszystkich królów i królowych Anglii...

– Przepraszam – usłyszał cichy, włochaty głos w swym uchu – ale czy zechciałbyś śnić nieco ciszej? Twoje sny przelewają się do moich. A jeśli czegoś naprawdę nie lubię, to właśnie dat. Wilhelm Bywca, 1066. Tylko tyle pamiętam, a i jego zamieniłbym na tańczącą mysz.

– Mmm? – spytał Tristran.

– Proszę ciszej – dodał głos – jeśli łaska.

– Przepraszam – powiedział Tristran i odtąd śnił już tylko ciemność.

*

– Śniadanie – powiedział ktoś przy jego uchu. – To piczarki smażone na maśle z dzikim czosnkiem.

Tristran otworzył oczy. Przez różany żywopłot przeświecały promienie słońca, zalewając trawę złocistozielonym blaskiem. W pobliżu coś niebiańsko pachniało.

Tuż przed nim stanęła blaszana miska.

– Skromny posiłek – rzekł ten sam ktoś. – Wiejski, ni mniej, ni więcej. Nic, co zjadłby szlachcic, lecz tacy jak my lubią dobre piczarki.

Tristran zamrugał. Sięgnął do miski i wyciągnął duży grzyb; uniósł go dwoma palcami, ugryzł ostrożnie i poczuł, jak usta zalewa ciepły sok. Był to najsmaczniejszy posiłek, jaki kiedykolwiek jadł. Kiedy przełknął pierwszy kęs, powiedział to głośno.

– To miłe z twojej strony – odparła drobna postać, siedząca po drugiej stronie niewielkiego ognia, potrzaskującego i dymiącego w porannym powietrzu. – Bardzo miłe, o tak, ale i ty, i ja wiemy, że to tylko smażona polna piczarka. Nic szczególnego.

– Jest ich może więcej? – spytał Tristran, uświadamiając sobie nagle, jak bardzo jest głodny. Czasami tak właśnie działa na człowieka kęs jedzenia.

– To dopiero wytworne maniery – oznajmiła mała postać w wielkim, miękkim kapeluszu i obszernym, miękkim płaszczu. – „Czy jest ich więcej?”. Mówi, jakby chodziło o sadzone przepiórcze jaja, wędzone mięso gazeli i trufle, nie zwykłą piczarkę, smakującą jak coś, co nie żyje od tygodnia i czego nie tknąłby nawet kot. Maniery, ot co.

– Naprawdę, ale to naprawdę, chętnie zjadłbym jeszcze jedną pieczarkę – rzekł Tristran – jeśli to nie kłopot.

Drobny człowieczek – jeśli rzeczywiście był człowiekiem, w co Tristran mocno wątpił – westchnął żałośnie, wsunął nóż do stojącego na ogniu skwierczącego rondla i wrzucił do miski Tristrana dwie duże pieczarki.

Tristran podmuchał na nie, po czym wziął obie palcami i zjadł.

– Spójrzcie tylko – rzekł mały, włochaty osobnik. W jego głosie dźwięczała dziwna, ponura duma. – Chłopak je piczarki, jakby mu smakowały, a nie stawały w ustach niczym piołun, trociny czy ruta.

Tristran oblizał palce i raz jeszcze zapewnił swego dobroczyńcę, że przyrządził najlepsze pieczarki, jakie on, Tristran, miał kiedykolwiek zaszczyt jeść.

– Teraz tak mówisz – powiedział melancholijnie jego gospodarz – lecz za godzinę zmienisz zdanie. Bez wątpienia będą zalegać ci w żołądku, tak jak rybak zaległ w łożu syreny, co nie spodobało się jego żonie. Ich kłótnię słychać było od Garamondu po Cytadelę Burz. Co za język. Od samego słuchania posiniały mi uszy. – Mała włochata osobistość westchnęła głęboko. – A skoro już mowa o twoich wnętrznościach, to muszę opróżnić moje, tam za drzewem. Zechcesz uczynić mi ten zaszczyt i przypilnować w tym czasie mojego worka? Będę wdzięczny.

– Oczywiście – odparł uprzejmie Tristran.

Włochaty człowieczek zniknął za pniem dębu. Tristran usłyszał kilka stęknięć, a potem jego nowy przyjaciel znów się pojawił.

– No proszę. Znałem jegomościa w Paflagonii, który co rano, kiedy tylko wstał, połykał żywego węża. Twierdził, że dzięki temu ma pewność, iż przez cały dzień nie spotka go nic gorszego. Oczywiście, zanim go powiesili, zmusili do zjedzenia całej miski włochatych stonóg, więc może przeliczył się w swych rachubach.

Tristran przeprosił nieznajomego. Wysikał się pod drzewem, obok małej kupki odchodów, bez wątpienia niepochodzących od istoty ludzkiej. Wyglądały jak bobki sarny bądź królika.

– Nazywam się Tristran Thorn – oświadczył, wracając do ogniska.

Jego towarzysz pozbierał już rzeczy po śniadaniu – ognisko, rondle i resztę – i schował w swym worku.

Teraz zdjął kapelusz, przycisnął go do piersi i uniósł wzrok, patrząc na Tristrana.

– Jestem zachwycony – rzekł. Poklepał worek, na którego boku wypisano: ZACHWYCONY, ZAUROCZONY, ZAKLĘTY I ZAGUBIONY. – Kiedyś byłem zagubiony, ale wiesz, jak to jest.

Po tych słowach ruszył w drogę. Tristran pomaszerował za nim.

– Hej, posłuchaj! – zawołał. – Mógłbyś nieco zwolnić?

Albowiem mimo wielkiego wora (który Tristranowi skojarzył się z chrześcijańskim brzemieniem w *Wyprawie pielgrzyma*, książce, której fragmenty pani Cherry czytała im każdego poniedziałkowego ranka, mówiąc, że choć została napisana przez partacza, to nadal pozostaje wspaniałym dziełem) ów mały człowieczek – Zachwycony? Czy tak się nazywał? – oddalał się od niego szybko niczym wbiegająca na drzewo wiewiórka.

Nieznajomy zawrócił i pospieszył ku niemu.

– Coś się stało?

– Nie mogę dotrzymać ci kroku – wyznał Tristran. – Maszerujesz okrutnie szybko.

Mały, włochaty człowieczek zwolnił.

– Bardzo przepraszam – rzekł do Tristrana, który, potykając się, ruszył za nim. – Od tak dawna podróżuję sam, że przywykłem ustalać własne tempo.

Szli obok siebie w zielonozłocistym blasku słońca, prześwitującym przez młode listki. Tristran pamiętał to światło, jakże typowe dla wiosny. Zastanawiał się, czy zostawili lato za sobą równie daleko jak październik. Od czasu do czasu wspominał coś o barwnym mignięciu na drzewie i w krzakach. A wówczas jego włochaty kompan mówił:

– Zimorodek. Kiedyś nazywano go Panem Rzeki. Ładny ptak. – Albo: – Purpurowy koliber. Spija nektar z kwiatów. Zawisa w powietrzu. – Albo: – Szczygieł. Nie pozwala zbliżyć się do siebie. Nawet nie próbuj go ścigać ani drażnić, bo przysporzy ci to tylko kłopotu.

Usiedli na brzegu strumienia, by zjeść drugie śniadanie. Tristran wyjął z torby chleb, czerwone dojrzałe jabłka i

gomółkę sera – twardego, ostrego i kruchego – które dała mu matka. A choć człowieczek z początku przyglądał im się podejrzliwie, z apetytem pochłonął swą porcję, zlizując z palców okruchy chleba i sera, i z głośnym chrupnięciem wgryzł się w jabłko. Potem napełnił kociołek wodą ze strumienia i zagotował wodę na herbatę.

– Może opowiesz mi, co cię tu sprowadza? – spytał, gdy znów usiedli na ziemi, popijając gorący napój.

Tristran zastanawiał się długą chwilę.

– Pochodzę z wioski Mur, w której mieszka młoda panna, Victoria Forester, niemająca sobie równych na całym świecie, i to jej właśnie, wyłącznie jej, oddałem swoje serce. Jej twarz...

– Niczego jej nie brakuje? – spytał jego towarzysz. – Oczu? Nosa? Zębów? Wszystko w normie?

– Oczywiście.

– Możesz zatem opuścić tę część historii. Wierzę ci na słowo. Jaką zatem szaleńczą głupotę kazała ci zrobić twoja młoda dama?

Urażony Tristran odstawił drewniany kubek z herbatą i wstał.

– Co – spytał tonem, który – nie wątpił – zabrzmiał wyniośle i wzgardliwie – pozwala ci sądzić, że moja ukochana wysłała mnie z jakąś głupią misją?

Mały człowieczek przyglądał mu się oczyma niczym dżetowe paciorki.

– Bo tylko to mogło sprawić, że chłopak taki jak ty do tego stopnia stracił rozum, by przekroczyć granicę Krainy Czarów. Jedyni ludzie, którzy przybywają tu z waszych krain, to minstrele, kochankowie i szaleńcy. Na moje oko nie wyglądasz na minstrela. Jesteś też – wybacz me słowa, chłopcze, ale to prawda – tak zwyczajny, że

zwyczajniejszym już być nie można. Zatem to musi być miłość.

– Ponieważ – oznajmił Tristran – każdy kochanek jest w głębi serca szaleńcem, a w umyśle minstrelem.

– Naprawdę? – rzekł z powątpiewaniem człowieczek. – Nigdy tego nie zauważyłem. W grę wchodzi więc młoda dama. Czy przysłała cię tu, byś zdobył majątek? Kiedyś było to bardzo popularne. Młodzieńcy wałęsali się wszędzie wokół, szukając skarbów, których zgromadzenie zabrało jakiemuś biednemu smokowi czy ogrowi setki lat.

– Nie. Nie chodzi o majątek, lecz o obietnicę, którą jej złożyłem. Ja... rozmawialiśmy, obiecywałem jej różne rzeczy, a potem zobaczyliśmy spadającą gwiazdę i przyrzekłem, że ją jej przyniosę. A gwiazda spadła... – Machnął ręką w stronę łańcucha gór, w kierunku, gdzie wschodziło słońce. – Gdzieś tam.

Włochaty człowieczek podrapał się po brodzie – a może po pysku? Równie dobrze mógł to być pysk.

– Wiesz, co bym zrobił na twoim miejscu?

– Nie. – Tristran poczuł nagły przypływ nadziei. – Co takiego?

Jego towarzysz wytarł nos.

– Powiedziałbym jej, żeby wepchnęła swą piękną twarz do chlewika, i poszukałbym innej dziewczyny, która pocałowałaby mnie, nie prosząc o Bóg wie co. Z pewnością jakąś byś znalazł. W waszych krainach nie można rzucić kamieniem, bo na pewno się w jakąś trafi.

– Nie ma żadnych innych dziewczyn – rzekł Tristran pewnym siebie tonem.

Człowieczek pociągnął nosem. Spakowali rzeczy i ruszyli w dalszą drogę.

– Mówiłeś poważnie? – spytał karzeł. – O spadającej gwieździe?

– Tak.

– Na twoim miejscu nie wspominałbym o tym. Są tacy, których nieprzyzwoicie zainteresowałaby podobna informacja. Lepiej siedź cicho. Ale nie kłam.

– Co więc mam mówić?

– No, cóż – rzekł mały człowieczek – na przykład, jeśli spytają cię, skąd przybywasz, możesz powiedzieć: „Stamtąd” i wskazać za siebie. A kiedy będą chcieli wiedzieć, dokąd zmierzasz, powiesz: „Tam”…

– Rozumiem – mruknął Tristran.

Ścieżka, którą wędrowali, stawała się coraz mniej wyraźna. Chłodny powiew uniósł włosy Tristrana. Chłopak zadrżał. Ścieżka wiodła do szarego lasu, pełnego cienkich, białych brzóz.

– Sądzisz, że to daleko? – spytał Tristran. – Do gwiazdy?

– Ile stąd mil do Babilonu? – zapytał retorycznie jego towarzysz. – Gdy ostatni raz tędy szedłem, tego lasu jeszcze nie było.

– Ile stąd mil do Babilonu? – wyrecytował do siebie Tristran, maszerując przez szary las.

Sześć razy dziesięć, nie wiesz o tym?

Czy można dojść tam, nim zgaśnie świeczka?

Nie tylko tam, ale i z powrotem.

Jeśliś więc szybki, przyjacielu,

Nim zgaśnie świeczka, dojdziesz do celu.[1]

– O to mi właśnie chodziło – powiedział włochaty człowieczek, kołysząc głową, jakby myślami przebywał gdzie indziej albo się czymś denerwował.

– To tylko wierszyk dla dzieci – odparł Tristran.

– Tylko wierszyk...? Do licha, po tej stronie muru mieszkają tacy, którzy oddaliby siedem lat ciężkiej pracy za to jedno krótkie zaklęcie, a wy recytujecie je dzieciom obok „koci, koci, łapci” i „luli, luli, laj”. Bez cienia namysłu... Zimno ci, chłopcze?

– Skoro o tym wspominasz, to owszem, odrobinę.

– Rozejrzyj się. Widzisz ścieżkę?

Tristran zamrugał ze zdumienia. Szary las wchłaniał bez śladu światło, barwy i odległości. Dotąd wydawało mu się, że wędrują ścieżką, kiedy jednak teraz spróbował ją zobaczyć, ta zamigotała i zniknęła niczym złudzenie optyczne. To drzewo i tamto, i jeszcze inne wskazywały położenie ścieżki, tyle że jej tam nie było. Jedynie półmrok, zmierzch i białe drzewa.

– No to wpadliśmy. – Człowieczek westchnął cicho.

– Nie powinniśmy uciekać? – Tristran zdjął melonik i uniósł go przed siebie.

Jego towarzysz potrząsnął głową.

– Nie ma po co – odparł. – Weszliśmy wprost w pułapkę i wciąż w niej będziemy, nawet jeśli spróbujemy ucieczki.

Podszedł do najbliższego drzewa, wysokiego i białego, o podobnym do brzozy pniu, i kopnął je mocno. Na jego głowę posypały się suche liście, a potem coś białego zleciało z gałęzi i z upiornym szelestem uderzyło w ziemię.

Tristran podszedł bliżej i przekonał się, że to szkielet ptaka: czysty, biały i suchy.

Człowieczek zadrżał.

– Roszada to jakieś wyjście – poinformował Tristrana – lecz nie ma nikogo, z kim mógłbym się wymienić, kto poradziłby sobie lepiej niż my. Sądząc po tym – trącił włochatą stopą drobny szkielet – lot też nie pomoże w ucieczce, a tacy jak ty nie potrafią ryć prawdziwych nor. Co

prawda, nie wspominam o tym dlatego, żeby w tym przypadku na coś się przydały...

– Może powinniśmy się uzbroić? – podsunął Tristran.

– Uzbroić?

– Zanim po nas przyjdą.

– Zanim przyjdą? Ależ oni już tu są, młotku. To drzewa. Jesteśmy w złylesie.

– W złylesie?

– To moja wina. Powinienem był bardziej uważać, gdzie idziemy. Teraz nigdy nie zdobędziesz swojej gwiazdy, a ja moich towarów. Któregoś dnia inny nieszczęśnik zabłądzi w lesie i znajdzie nasze czyściuchne szkilety. To koniec.

Tristran rozejrzał się wokół. W półmroku zdawało się, że otaczający ich las stał się gęstszy, choć nic się nie poruszało. Może jego towarzysz oszalał albo coś sobie wyobraził?

Coś ukłuło go w lewą dłoń. Klepnął ją, spodziewając się, że zobaczy owada. Gdy jednak spuścił wzrok, ujrzał jasnożółty liść, który z lekkim szmerem opadł na ziemię. Na grzbiecie dłoni pojawiła się rosnąca kropla krwi. Drzewa szumiały wokół nich.

– Czy możemy cokolwiek zrobić? – spytał.

– Nic nie przychodzi mi do głowy. Gdybyśmy tylko wiedzieli, gdzie jest prawdziwa ścieżka... Nawet złylas nie potrafi zniszczyć prawdziwej ścieżki. Umie tylko ją ukryć. Odciągnąć nas... – Człowieczek wzruszył ramionami i westchnął.

Tristran uniósł rękę i potarł czoło.

– Ja... ja wiem, gdzie jest ścieżka – rzekł, wskazując kierunek. – Tam.

Czarne oczka jego towarzysza rozbłysły.

– Jesteś pewien?

– Tak, proszę pana. Za tymi drzewami i trochę w prawo. Tam jest ścieżka.

– Skąd wiesz? – spytał tamten.

– Wiem – odparł Tristran.

– To świetnie. Chodź.

Włochaty człowieczek chwycił swój wór i ruszył biegiem, dostatecznie wolno, by Tristran ze skórzaną torbą, obijającą się o kolana, mógł dotrzymać mu kroku. Dyszał ciężko. Serce waliło mu w piersi.

– Nie! Nie tędy! W lewo! – krzyknął. Gałęzie i ciernie szarpały mu ubranie. Obaj biegli w milczeniu.

Drzewa sprawiały wrażenie, że się przesuwają, tworząc mur. Na głowy biegnących spadały tumany liści. Gdy dotykały skóry Tristrana, kłuły boleśnie, rozcinając ciało i ubranie. Biegł po zboczu wzgórza, wolną ręką opędzając się od liści i uderzając torbą atakujące gałęzie. Nagle ciszę zakłóciło czyjeś zawodzenie. To był włochaty człowieczek. Zatrzymał się i odrzucając w tył głowę, zaczął wyć wprost w niebo.

– Weź się w garść! – rzucił Tristran. – Jesteśmy już prawie na miejscu.

Chwycił wolną rękę włochatego towarzysza swą własną, znacznie większą dłonią, i pociągnął go naprzód.

I nagle znaleźli się na prawdziwej ścieżce, wstędze zielonej murawy, biegnącej przez szary las.

– Jesteśmy tu bezpieczni? – spytał Tristran, dysząc i rozglądając się z lękiem.

– Owszem, dopóki trzymamy się ścieżki – odparł włochaty człowieczek.

Złożył na ziemi swój wór i usiadł na trawie, przyglądając się otaczającym ich drzewom.

Białe gałęzie kołysały się, choć nie wiał nawet najlżejszy wiatr. Tristranowi wydawało się, że wygrażają im gniewnie.

Jego towarzysz zaczął dygotać. Włochate palce gładziły i przeczesywały zieloną trawę. W końcu uniósł wzrok i spojrzał na Tristrana.

– Wątpię, byś miał przy sobie butelczynę czegoś mocniejszego? Albo może garniec gorącej, słodkiej herbaty?

– Nie – rzekł Tristran. – Obawiam się, że nie.

Człowieczek pociągnął nosem i zaczął majstrować przy kłódce swego wielkiego wora.

– Odwróć się – polecił. – I nie podglądaj.

Tristran posłuchał.

Usłyszał, jak tamten grzebie wśród rzeczy. Potem szczęknęła kłódka. A po chwili włochaty człowieczek się odezwał:

– Możesz już się odwrócić, jeśli chcesz.

Towarzysz Tristrana trzymał w dłoni emaliowaną butelkę i bez powodzenia usiłował wyciągnąć korek.

– Przepraszam, może mógłbym ci pomóc? – Tristran miał nadzieję, że jego sugestia nie urazi towarzysza. Nie powinien był się martwić. Człowieczek praktycznie wcisnął mu flaszkę do ręki.

– Proszę – rzekł. – Twoje palce lepiej się do tego nadają.

Tristran pociągnął korek, który wyszedł gładko. W powietrzu rozeszła się upajająca woń, przypominająca miód zmieszany z dymem drzewnym i goździkami. Oddał butelkę właścicielowi.

– To zbrodnia pić tak wspaniały i rzadki trunek wprost z butelki – oznajmił tamten.

Odwiązał od pasa mały, drewniany kubek i trzęsącymi się rękami nalał do niego odrobinę bursztynowego płynu.

Powąchał go, potem pociągnął łyk i uśmiechnął się, ukazując małe, ostre zęby.

– Tak lepiej.

Podał kubek Tristranowi.

– Pij powoli – pouczył go. – Ta butelka jest warta królewskiej zapłaty. Kosztowała mnie dwa duże błękitne diamenty, mechanicznego ptaka, który umiał śpiewać, i smoczą łuskę.

Tristran upił łyk. Trunek rozgrzał całe ciało. Poczuł się nagle, jakby głowę wypełniły mu maleńkie bąbelki.

– Dobre, co?

Tristran przytaknął.

– Obawiam się, że zbyt dobre dla takich jak ty i ja. No cóż, podnosi na duchu w tarapatach, a bez wątpienia w takich się właśnie przed chwilą znaleźliśmy. Wyjdźmy z tego lasu – dodał włochaty człowieczek. – Ale którędy?

– Tędy. – Tristran wskazał na lewo.

Jego towarzysz zatkał korkiem butelkę i wsunął ją do kieszeni. Zarzucił na plecy wór i obaj ruszyli razem zieloną ścieżką przez szary las.

Po kilku godzinach białe drzewa zaczęły rzednąć. Wkrótce zostawili za sobą złylas. Szli teraz szczytem długiego wzniesienia pomiędzy dwoma niskimi, kamiennymi murkami. Kiedy Tristran się obejrzał, nie dostrzegł ani śladu lasu. Za ich plecami rozciągały się fioletowe, pagórkowate wrzosowiska.

– Możemy już się zatrzymać – oznajmił jego towarzysz. – Musimy porozmawiać o kilku sprawach. Usiądź.

Odłożył swój ogromny wór i wdrapał się na niego. Patrzył teraz z góry na Tristrana, który przycupnął na kamieniu obok drogi.

– Jest coś, czego do końca nie rozumiem. Powiedz mi, skąd pochodzisz?

– Z Muru – odrzekł Tristran. – Mówiłem już.

– Kim są twoi rodzice?

– Mój ojciec nazywa się Dunstan Thorn. Moja matka to Daisy Thorn.

– Mmm. Dunstan Thorn... Mmm. Spotkałem kiedyś twojego ojca. Przenocował mnie. Niezły gość, choć nieco marudny, gdy przerwać mu drzemkę. – Podrapał się po brodzie. – To jednak nie wyjaśnia... Czy w twojej rodzinie ktoś potrafi robić coś niezwykłego?

– Moja siostra Louisa umie ruszać uszami.

Włochaty człowieczek lekceważąco zastrzygł własnymi dużymi, porośniętymi włosami uszami.

– Nie. To nie to – rzekł. – Myślałem raczej o babce – słynnej czarodziejce, wuju – wybitnym magu, albo o kilku wróżkach ukrytych wśród gałęzi waszego drzewa genealogicznego.

– Nic mi o tym nie wiadomo – przyznał Tristran.

Jego towarzysz zmienił temat.

– Gdzie leży wioska Mur? – spytał. Tristran wskazał ręką. – Gdzie są Wzgórza Wątpliwe? – Tristran pokazał ponownie bez cienia wahania. – A Katawarskie Wyspy? – Tristran wskazał na południowy zachód. Dopóki człowieczek nie wymienił ich nazw, w ogóle nie wiedział, że istnieje coś takiego jak Wzgórza Wątpliwe czy Katawarskie Wyspy, jednakże znał ich położenie równie dobrze, jak położenie własnej lewej stopy czy nosa.

– Hmm. No tak. Czy wiesz, gdzie przebywa teraz Jego Przeogromność Piżmowaty Jagniot?

Tristran pokręcił głową.

– A gdzie jest Prześwietlista Cytadela Jego Przeogromności Piżmowatego Jagniota?

Tristran wskazał bez wahania.

– Co powiesz na Paryż? Ten we Francji?

Tristran zastanawiał się przez moment.

– No, skoro Mur znajduje się tam, to Paryż leży chyba w tych samych stronach, nieprawdaż?

– Pomyślmy... – Mały, włochaty człowieczek mówił bardziej do siebie niż do Tristrana. – Potrafisz znajdować miejsca w Krainie Czarów, ale nie w swoim świecie, oprócz Muru, który leży na granicy. Nie umiesz znajdować ludzi, ale... Powiedz mi, chłopcze, wiesz, gdzie znaleźć twoją gwiazdę?

Tristran błyskawicznie pokazał kierunek.

– Tam.

– Hmmm. To dobrze, ale nadal niczego nie wyjaśnia. Głodnyś?

– Odrobinę. I mam podarte ubranie. – Tristran pomacał spodnie i płaszcz, podziurawione i poszarpane w miejscach, gdzie chwytały go ciernie i gałęzie i kaleczyły liście. – Spójrz na moje buty.

– Co masz w torbie?

Tristran otworzył swą gladstonkę.

– Jabłka, ser, pół bochna chleba i słoik pasty rybnej. Scyzoryk. Mam też zmianę bielizny, kilka par wełnianych skarpet. Chyba powinienem był zabrać zapasowe ubranie.

– Pastę rybną zatrzymaj – powiedział towarzysz podróży i błyskawicznie rozdzielił pozostały prowiant na dwie równe porcje.

– Oddałeś mi przysługę – powiedział, chrupiąc soczyste jabłko. – A ja nie zapominam przysług. Najpierw zajmiemy się twoim ubraniem, a potem wyślemy cię do gwiazdy. Tak?

– To okropnie miłe z twojej strony. – Tristran nerwowo odkroił plasterek sera i położył na skórce od chleba.

– Dobra – rzekł włochaty człowieczek. – Poszukajmy dla ciebie koca.

*

O świcie skalnym traktem z gór zjechali trzej panowie z Cytadeli Burz. Siedzieli w powozie ciągniętym przez sześć karych koni, których głowy ozdobiono czarnymi pióropuszami. Powóz został świeżo pomalowany na czarno, a wszyscy trzej mieli na sobie żałobne stroje.

W przypadku Primusa strój ów przypominał długi czarny habit mnicha. Tertius był ubrany w surowy kostium pogrążonego w żałobie kupca, a Septimus miał na sobie czarną tunikę i nogawice oraz czarny kapelusz z czarnym piórem i nieodparcie kojarzył się z fircykowatym zabójcą wprost z kart popularnej sztuki elżbietańskiej. Panowie Cytadeli Burz patrzyli po sobie – jeden wyczekująco, drugi czujnie, trzeci obojętnie. Milczeli. Gdyby można było zawierać sojusze, Tertius być może sprzymierzyłby się z Primusem przeciw Septimusowi. To jednak nie było możliwe.

Powóz trząsł się i podskakiwał na kamieniach. Raz się zatrzymał, aby trzej panowie mogli opróżnić pęcherze, potem znów ruszył w dół wyboistej drogi. Trzej panicze wspólnie umieścili szczątki swego ojca w Sali Przodków. Zza progu obserwowali ich martwi bracia. Milczeli jednak.

Pod wieczór woźnica zawołał:

– Jesteśmy w Nietędy! – Zatrzymał zaprzęg przed podupadłą gospodą wzniesioną obok czegoś, co przywodziło na myśl ruiny domu olbrzyma.

Trzej panowie z Cytadeli Burz wysiedli i rozprostowali zdrętwiałe nogi. Przez grube szyby gospody spoglądały na nich liczne twarze.

Gospodarz, gnom choleryk o drażliwym usposobieniu, wyjrzał za drzwi.

– Trzeba przewietrzyć pościel i nastawić gulasz barani! – zawołał.

– Ile łóżek przygotować? – spytała ze schodów pokojówka Letycja.

– Trzy – odparł gnom. – Założę się, że każą woźnicy spać z końmi.

– Trzy, akurat – szepnęła posługaczka Tilly do stajennego Laceya. – Przecież każdy widzi, że na drodze stoi siedmiu paniczów.

Kiedy jednak panowie z Cytadeli Burz przekroczyli próg, okazało się, że istotnie jest ich tylko trzech. Od razu oznajmili, że woźnica będzie spał w stajni.

Na obiad podano gulasz z baraniny i chleb, tak gorący i świeży, że parował, gdy przełamywano bochenki. Każdy z panów zamówił też zamkniętą butelkę wina, najlepszego baragunda (żaden z nich bowiem nie zamierzał dzielić się trunkiem z innymi, nie pozwolił też, by nalano mu wina do kielicha). To oburzyło gnoma, który uważał – choć nie wygłaszał tej opinii przy gościach – że winu powinno pozwolić się trochę pooddychać.

Woźnica zjadł miskę gulaszu, wypił dwa dzbanki piwa i poszedł do stajni. Trzej bracia skierowali się do swych pokojów i zaryglowali drzwi.

Gdy Letycja przyniosła Tertiusowi butelkę z gorącą wodą do ogrzania łóżka, ten wsunął jej w rękę srebrną monetę, toteż nie zdziwił się wcale, gdy tuż przed północą usłyszał ciche pukanie do drzwi.

Miała na sobie zwiewną, białą koszulę. Gdy otworzył drzwi, dygnęła i uśmiechnęła się nieśmiało. W dłoni trzymała flaszkę wina.

Zamknął za nią drzwi i poprowadził do łóżka, gdzie, gdy kazał jej już zdjąć koszulę, obejrzał twarz i ciało w blasku świecy, pocałował ją w czoło, usta, piersi, pępek i stopy i zdmuchnął płomień; kochał się z nią bez słowa w srebrnym blasku księżyca.

Po jakimś czasie mruknął głośno i znieruchomiał.

– I jak, kochasiu, dobrze było? – spytała Letycja.

– Tak – odparł czujnie Tertius, jakby jej słowa kryły w sobie jakąś pułapkę. – Całkiem dobrze.

– Chciałbyś spróbować jeszcze raz, nim odejdę?

W odpowiedzi Tertius wskazał między swe nogi. Letycja zachichotała.

– Możemy go postawić w mgnieniu oka.

Wyciągnęła korek ze stojącej dotąd obok łóżka butelki wina, którą ze sobą przyniosła, i podała ją Tertiusowi. On zaś uśmiechnął się do niej, pociągnął łyk trunku i mocno objął Letycję.

– Założę się, że smaczne – rzekła. – A teraz, kochasiu, pozwól, że pokażę ci, co sprawia przyjemność mnie... Hej, co się dzieje?

Przeraziła się, albowiem pan Tertius z Cytadeli Burz zwijał się na łóżku z wybałuszonymi oczami, dysząc ciężko.

– To wino – wykrztusił. – Skąd je wzięłaś?

– Od twojego brata – odparła Letty. – Spotkałam go na schodach. Powiedział, że przywróci pełnię sił i doda wigoru, i że dzięki niemu będzie to noc, której nigdy nie zapomnimy.

– I rzeczywiście była – wydyszał Tertius. Potem zadrżał raz, drugi, trzeci i zesztywniał. Nie oddychał.

Tertius usłyszał krzyk Letycji dobiegający jakby z wielkiej odległości. Tuż obok siebie poczuł obecność jakże znajomych postaci, stojących w cieniu obok ściany.

– Była bardzo piękna – szepnął Secundus.

Letycji wydało się, że słyszy szelest zasłony.

– Septimus jest wyjątkowo zręczny – dodał Kwintus. – Użył tego samego wyciągu z trujących jagód, którym przyprawił moje węgorze.

Letycji zdawało się, że słyszy wiatr łkający w dali pośród skalnych wierzchołków.

Otworzyła drzwi, wpuszczając do środka resztę wyrwanych ze snu domowników. Rozpoczęto poszukiwania, jednakże pan Septimus zniknął bez śladu, wraz z jednym z karych ogierów ze stajni (w której woźnica spał, chrapiąc głośno, i nie dało się go dobudzić).

Gdy pan Primus wstał z łóżka następnego ranka, był w paskudnym nastroju.

Nie pozwolił ukarać Letycji śmiercią, twierdząc, że podobnie jak Tertius stała się tylko ofiarą podstępu Septimusa, rozkazał jednak, by towarzyszyła zwłokom jego brata aż do Cytadeli Burz.

Zostawił w gospodzie konia, na którym polecił zawieźć ciało, oraz sakiewkę srebrnych monet. Wystarczyło ich, by opłacić jednego z mieszkańców Nietędy, który miał jej towarzyszyć – dopilnować, by wilki nie porwały konia ani zwłok brata – i wynagrodzić woźnicę, gdy w końcu się ocknie.

A potem, w powozie ciągniętym przez czwórkę czarnych jak węgiel ogierów pan Primus opuścił wioskę Nietędy w zdecydowanie gorszym humorze niż poprzedniego dnia, gdy tu przybył.

*

Brevis dotarł do rozstajów, ciągnąc za sobą postronek. Do postronka był uwiązany brodaty, rogaty, złośliwy cap, którego Brevis prowadził na targ.

Tego ranka matka położyła przed nim na stole jedną samotną rzodkiewkę i oznajmiła:

– Brevisie, synu, ta rzodkiewka to wszystko, co zdołałam wydobyć dziś z ziemi. Nasze zbiory obumarły. Skończyło się nam jedzenie. Nie mamy do sprzedania nic oprócz capa. Chcę, żebyś go uwiązał, zaprowadził na targ i sprzedał jakiemuś rolnikowi. Za pieniądze, które dostaniesz – a masz wziąć co najmniej florena, zapamiętaj to sobie – kupisz kurę, kukurydzę i rzepy. Dzięki temu może nie umrzemy z głodu.

Brevis schrupał rzodkiewkę, smakującą jak pikantne drewno, i przez resztę ranka ganiał w zagrodzie kozła, zarabiając przy okazji potężnego kuksańca w żebra i ugryzienie w udo. W końcu, z pomocą wędrownego druciarza zdołał pokonać zwierzę i je uwiązać. Pozostawiając matce opatrzenie ran druciarza, pociągnął capa w stronę targu.

Chwilami kozioł zaczynał się szarpać i rwać przed siebie, wlokąc za sobą Brevisa, któremu pozostawało tylko wbić obcasy w zaschnięte błoto. A potem – zwykle nagle, bez ostrzeżenia i, przynajmniej według Brevisa, bez najmniejszego powodu – zwierzak zmieniał zdanie i się zatrzymywał. Wówczas Brevis podnosił się z ziemi i znów zaczynał wlec za sobą capa. W końcu dotarł do rozstajów na skraju lasu – spocony, wygłodniały i posiniaczony, ciągnąc odmawiającego współpracy kozła. Na środku rozstajów stała wysoka kobieta. W jej ciemnych włosach spoczywała na szkarłatnej opasce srebrna obręcz. Suknię miała szkarłatną, podobnie jak usta.

– Jak cię zwą, chłopcze? – spytała głosem głębokim i słodkim niczym brązowy miód.

– Zwą mnie Brevis, proszę pani.

Brevis dostrzegł, że za kobietą stoi coś dziwnego. Był to mały powóz, ale między dyszlami Brevis nie dostrzegł żadnego zwierzęcia. Zastanawiał się, skąd się tu wziął.

– Brevis – mruknęła. – Cóż za śliczne imię. Czy zechcesz sprzedać mi swojego kozła, mój chłopcze Brevisie?

Chłopak zawahał się.

– Matka kazała mi zabrać kozła na targ – oznajmił – i sprzedać go za kurę, kukurydzę i rzepę, a potem przynieść do domu resztę.

– Ile miałeś wziąć za tego kozła? – spytała kobieta w szkarłatnej spódnicy.

– Nie mniej niż florena – odparł.

Uśmiechnęła się i uniosła dłoń. Coś rozbłysło na niej złociście.

– Ja dam ci złotą gwineę – oznajmiła. – Dość, by kupić kojec kur i sto korców rzepy.

Chłopcu opadła szczęka.

– Umowa stoi?

Brevis przytaknął i wyciągnął rękę, w której trzymał sznurek z uwiązanym na końcu capem.

– Proszę. – To wszystko, co zdołał wykrztusić. W jego głowie wirowały wizje nieskończonego bogactwa i niezliczonych stosów rzepy.

Dama ujęła sznurek. Potem dotknęła palcem głowy capa pomiędzy jego żółtymi oczami i wypuściła zaimprowizowaną smycz.

Brevis spodziewał się, że kozioł natychmiast czmychnie w las albo odbiegnie jedną z dróg. Zwierzę jednak pozostało na miejscu, jak wmurowane.

Chłopak wyciągnął rękę po złotą gwineę.

I wtedy kobieta spojrzała na niego, przyglądając mu się uważnie, od zabłoconych stóp po mokre od potu krótko ostrzyżone włosy na czubku głowy, i ponownie się uśmiechnęła.

– Wiesz – rzekła – myślę, że parka będzie wyglądała lepiej niż jeden. Co ty na to?

Brevis nie miał pojęcia, o czym mówiła kobieta, i otworzył usta, by jej to powiedzieć. W tym momencie jednak wyciągnęła palec, dotknęła grzbietu jego nosa pomiędzy oczami i odkrył, że nie może już mówić.

Pstryknęła palcami. Brevis i cap posłusznie stanęli pomiędzy dyszlami wózka. Brevisa zdumiało odkrycie, że chodzi teraz na czworakach i jest nie wyższy niż stojące obok zwierzę.

Czarownica strzeliła z bata i powozik potoczył się błotnistą drogą, ciągnięty przez parę identycznych rogatych białych capów.

*

Włochaty człowieczek zabrał podarte spodnie, płaszcz i kamizelkę Tristrana i, pozostawiając go owiniętego w koc, pomaszerował do wioski, przycupniętej w dolince pomiędzy trzema porośniętymi wrzosem wzgórzami.

Tristran siedział posłusznie pod kocem w miłym wieczornym cieple.

W krzaku głogu za jego plecami rozbłysły światełka. Z początku wydało mu się, że widzi świetliki albo robaczki świętojańskie. Gdy jednak przyjrzał się uważniej, przekonał się, że to maleńcy ludzie; maciupeńkie, migoczące postaci przeskakiwały z gałęzi na gałąź.

Chrząknął. Spojrzało na niego kilkanaście maleńkich oczu. Część niezwykłych istot zniknęła, inne wycofały się wysoko w głąb krzaku głogu, jednakże garstka śmiałków podleciała ku niemu.

Zaczęli się śmiać wysokimi, melodyjnymi głosikami, wskazując na Tristrana, jego zniszczone buty i koc, bieliznę i melonik. Tristran oblał się ciemnym rumieńcem i szczelniej owinął kocem.

Jeden z maleńkich ludzików zaczął śpiewać:

Hocyku pocyku
Młodzieniec w kocyku
W nadziei promyku
Za gwiazdą gna.

Deterministycznie
Przez Czarów Kraje mknie,
Zrzuć koc więc, wędrowcze
I pokaż, ktoś zacz.

Drugi mu zawtórował:

Tristran Thorn Tristran Cierń
Nie wie, po co zrodził się.
Przysiągł był miłości swej,
Że odnajdzie gwiazdy cień.
Siedzi smutny, nie wie, że
Ukochana wzgardzi wnet
Tą miłością, zdradzi ją.
Wistran

Bistran

Tristran

Thorn.

– Odejdźcie, niemądre istoty. – Twarz Tristrana płonęła. Nie mając pod ręką niczego innego, rzucił w stworki melonikiem.

I kiedy włochaty człowieczek wrócił z wioski Uciecha (czemu ją tak ochrzczono, nikt nie potrafił rzec, była bowiem ponurym, niegościnnym miejscem, i to od niepamiętnych czasów), zastał Tristrana siedzącego z gniewną miną obok krzaku głogu, owiniętego w koc i opłakującego utratę kapelusza.

– Mówili okrutne rzeczy o mojej miłości – rzekł Tristran. – O pannie Victorii Forester. Jak oni śmieli!

– Mały ludek nie lęka się niczego – odparł przyjaciel – i często gada bzdury, ale mówi też mnóstwo mądrych rzeczy. Słuchasz ich na swe własne ryzyko, lecz na swe własne ryzyko także puszczasz ich słowa mimo uszu.

– Mówili, że ukochana wzgardzi mą miłością.

– Naprawdę? – Włochaty człowieczek układał na trawie przyniesione rzeczy.

Nawet w blasku księżyca Tristran dostrzegł, że nowe ubranie w żaden sposób nie przypomina tego, które zdjął z siebie wcześniej.

W wiosce Mur mężczyźni ubierali się w brązy, szarości i czernie. Nawet najczerwieńsza chusta noszona przez najbardziej rumianego farmera wkrótce blakła w promieniach słońca, przybierając bardziej męski kolor. Ponownie spojrzał na szkarłatne, żółte i rdzawe ubranie, bardziej przypominające kostium wędrownego aktorzyny czy zawartość kufra dla lalek jego kuzynki Joanny.

– A moje ubranie?

– To jest teraz twoje ubranie – odparł z dumą jego towarzysz. – Zamieniłem je. Te rzeczy są znacznie lepsze, widzisz? Niełatwo je podrzeć, nie są też poszarpane. A poza tym nie będziesz się wyróżniał w tłumie. Tu nosi się właśnie takie stroje.

Tristran przez moment rozważał, czy nie powinien dopełnić swej misji owinięty tylko w koc niczym dziki Aborygen wprost z kartek podręcznika. Potem zdjął buty, odrzucił koc i z pomocą włochatego człowieczka („Nie, nie, chłopcze, to na to. Na mą duszę, czego was dziś uczą?”) wkrótce przywdział swój nowy, piękny strój.

Nowe buty okazały się wygodniejsze niż stare.

Niewątpliwie był to bardzo piękny strój. I choć, jak twierdzi przysłowie, nie szata zdobi człowieka i nie pióra ptaka, czasami mogą one jednak dodać nieco smaczku, a Tristran Thorn w szkarłatach i kanarkowej żółci nie był już tym samym człowiekiem co Tristran Thorn w płaszczu, niedzielnym ubraniu i meloniku. Jego krok nabrał sprężystości, ruchy stały się bardziej zamaszyste. Podbródek, miast opadać, unosił się zawadiacko. W oczach pojawił się błysk, którego, gdy nosił jeszcze melonik, nigdy byście nie dostrzegli.

Do czasu, gdy zjedli posiłek, który jego towarzysz przyniósł z Uciechy – wędzonego pstrąga, miskę świeżego groszku, kilka ciasteczek z rodzynkami i butelkę słabego piwa – Tristran czuł się już zupełnie swobodnie w swym nowym przyodziewku.

– A teraz do rzeczy – rzekł włochaty człowieczek. – Tam w złylesie ocaliłeś mi życie, chłopcze, a nim jeszcze przyszedłeś na świat, twój ojciec uczynił mi przysługę. Nikt nie powie, że jestem niewdzięcznikiem, który nie spłaca długu.

Tristran zaczął mamrotać coś pod nosem o tym, że przyjaciel zrobił już dla niego wystarczająco dużo, lecz

człowieczek puścił te słowa mimo uszu.

– Rozmyślałem tedy nieco. Wiesz, gdzie jest twoja gwiazda, prawda?

Tristran wskazał bez wahania ku ciemnemu horyzontowi.

– A jak daleko jest do niej? Wiesz i to?

Do tej pory Tristran w ogóle o tym nie myślał. Teraz jednak rzekł, zaskakując sam siebie:

– Człowiek mógłby wędrować, zatrzymując się jeno na nocleg przez czas, gdy Księżyc pół tuzina razy rósłby i malał nad jego głową, poprzez zdradzieckie góry i ogniste pustynie, nim dotarłby do miejsca, w którym spadła gwiazda.

Zupełnie nie brzmiało to jak jego własne słowa. Wzdrygnął się ze zdumienia.

– Tak jak sądziłem – powiedział człowieczek. Podszedł do swego wora i nachylił się nad nim, tak by Tristran nie zobaczył, jak się go otwiera. – I nie ty jeden będziesz jej szukał. Pamiętasz, co ci mówiłem?

– O tym, że powinienem zakopywać własną kupę?

– Nie to.

– Że nie należy zdradzać mojego imienia ani celu podróży?

– To też nie.

– Zatem co?

– Ile stąd mil do Babilonu? – wyrecytował tamten.

– A tak, to.

– Czy można dojść tam w blasku świeczki? Nie tylko tam, ale i z powrotem. Tyle że tu chodzi o wosk świecy. I większość świeczek nie nadaje się do tego. Długo szukałem tej właściwej.

Wyciągnął z wora ogarek świeczki wielkości dzikiego jabłka i wręczył go Tristranowi.

Tristran przyjrzał się ogarkowi, nie dostrzegł w nim jednak niczego nadzwyczajnego. Świeca była zrobiona z wosku, nie z łoju, i prawie całkiem wypalona. Knot miała czarny i zwęglony.

– Co mam z nią zrobić? – spytał.

– Wszystko w swoim czasie – odparł włochaty człowieczek i znów sięgnął do wora. – Weź jeszcze to. Będziesz go potrzebował.

Przedmiot zalśnił w blasku księżyca. Tristran wziął go do ręki. Dar towarzysza okazał się cienkim srebrnym łańcuszkiem z obu stron zakończonym pętlą, w dotyku zimnym i śliskim.

– Co to?

– Jak zwykle, koci oddech, rybie łuski, promień Księżyca odbity w młyńskim stawie, przetopione i przekute przez krasnale. Przyda ci się, żeby sprowadzić tu gwiazdę.

– Naprawdę?

– O tak.

Tristran zważył łańcuszek w ręce. Miał wrażenie, że trzyma żywą rtęć.

– Ale gdzie go schowam? To przeklęte ubranie nie ma kieszeni.

– Owiń się nim w pasie do czasu, gdy będziesz go potrzebował. O tak, doskonale. A poza tym w tunice masz kieszeń. Tutaj, widzisz?

Tristran znalazł ukrytą kieszeń. Tuż nad nią wymacał małą dziurkę od guzika. Umieścił w niej przebiśnieg, szklany kwiat, który podarował mu na szczęście ojciec, kiedy Tristran odchodził z Muru. Zastanawiał się, czy prezent rzeczywiście przyniósł mu szczęście, czy może raczej pecha?

Potem wstał, ściskając w dłoni swą skórzaną torbę.

– Do rzeczy – powiedział jego towarzysz. – Oto, co musisz zrobić. Weź świecę w prawą dłoń. Zapalę ci ją. A potem idź do gwiazdy. Używając łańcuszka, przyprowadź ją tutaj. W świecy nie zostało już wiele knota, więc musisz się pospieszyć i maszerować szybko. Zaczniesz zwlekać, to pożałujesz. „Jeśliś więc szybki, przyjacielu, nim zgaśnie świeczka, dojdziesz do celu”. Rozumiesz?

– Ja… chyba tak – odparł Tristran.

Czekał w milczeniu. Włochaty człowieczek przesunął dłonią nad świecą, która zapaliła się płomieniem żółtym u góry i niebieskim na dole. Powiał wiatr, lecz płomyk nawet nie zadrżał.

Tristran wziął świecę i ruszył naprzód. Blask płomyka oświetlał świat, każde drzewo, krzak, źdźbło trawy.

Po następnym kroku znalazł się na brzegu jeziora. Płomyk odbijał się jasno w wodzie. A potem Tristan wędrował wśród gór, między samotnymi turniami, a blask świeczki migotał w oczach istot żyjących pośród śniegów na szczytach. Później maszerował w chmurach, które, choć nie do końca materialne, utrzymywały jego ciężar, a potem, ściskając w dłoni świecę, znalazł się pod ziemią i płomyk zalśnił na powierzchni wilgotnych ścian jaskini. Wreszcie znów był w górach, a później na drodze wiodącej przez dziką puszczę. Kątem oka dostrzegł rydwan ciągnięty przez dwa kozły, którym powoziła kobieta w czerwonej sukni, przypominająca, z tego co dostrzegł, Boadiceę z obrazka w książce do historii. Kolejny krok zaniósł go na zieloną polanę. Tristran słyszał w pobliżu srebrzysty śmiech strumyka, szmer wody płynącej po kamieniach.

Postąpił kolejny krok, lecz nadal był na polanie. Wokół rosły wysokie paprocie, wiązy i mnóstwo naparstnic. Księżyc już zaszedł. Tristran uniósł świecę, szukając

upadłej gwiazdy – może kamienia czy klejnotu. Niczego jednak nie dostrzegł.

Usłyszał coś jednak mimo szmeru strumienia. Gwałtowne przełykanie śliny, pociąganie nosem, dźwięk wydawany przez kogoś, kto usilnie stara się nie rozpłakać.

– Halo! – zawołał Tristran.

Głos ucichł, lecz Tristran był pewien, że dostrzega światło pod leszczyną, i ruszył ku niemu.

– Przepraszam – rzekł z nadzieją, że uspokoi tajemniczą osobę pod leszczyną. Modlił się, by nie był to znów mały ludek, który ukradł mu kapelusz. – Szukam gwiazdy.

W odpowiedzi, spod krzewu pofrunęła ku niemu bryła mokrej ziemi, trafiając go w policzek. Poczuł lekki ból. Grudki ziemi posypały mu się za kołnierz i pod ubranie.

– Nie zrobię ci krzywdy – powiedział głośno.

Tym razem, widząc nadlatującą grudę ziemi, odskoczył i pocisk trafił w pień wiązu za jego plecami. Ruszył naprzód.

– Idź sobie – usłyszał czyjś głos, zduszony i ochrypły, jakby jego właścicielka dopiero co przestała płakać. – Idź sobie i zostaw mnie samą.

Leżała w dziwnej pozie pod leszczyną i patrzyła na Tristrana z nieskrywaną wrogością. Uniosła groźnie kolejną bryłę ziemi, nie rzuciła nią jednak.

Oczy miała czerwone i zapuchnięte, włosy tak jasne, że niemal białe, a suknię z błękitnego jedwabiu, połyskującego w blasku świecy. Cała lśniła.

– Proszę, nie rzucaj już we mnie błotem – rzekł błagalnie Tristran. – Posłuchaj, nie chcę ci przeszkadzać. Tylko wiem, że gdzieś w pobliżu jest gwiazda, która spadła, i muszę ją stąd zabrać, zanim zgaśnie świeczka.

– Złamałam nogę – oznajmiła młoda kobieta.

– Oczywiście bardzo mi przykro – rzekł Tristran. – Ale gwiazda...

– Złamałam nogę – powtórzyła ze smutkiem – kiedy spadłam.

To rzekłszy, cisnęła w niego kawałem ziemi. Gdy jej ręka poruszyła się, posypał się z niej lśniący pył.

Bryła błota uderzyła Tristrana prosto w pierś.

– Idź sobie – wyszlochała dziewczyna, ukrywając twarz w dłoniach. – Idź sobie i zostaw mnie!

– Ty jesteś gwiazdą – zrozumiał nagle Tristran.

– A ty jesteś głupkiem – odparła z goryczą – matołkiem, baranim łbem, kretynem i pajacem.

– Tak – mruknął Tristran. – Chyba tak.

Odwinął z pasa koniec srebrnego łańcuszka i zarzucił go na smukły przegub dziewczyny. Poczuł, jak pętla zaciska się wokół jej ręki.

Spojrzała na niego z goryczą.

– Co ty wyrabiasz? – spytała głosem pełnym nieopisanego oburzenia i nienawiści.

– Zabieram cię ze sobą do domu – odparł Tristran. – Złożyłem przysięgę.

W tym momencie ogarek zakrztusił się gwałtownie. Resztka knota unosiła się w kałuży stopionego wosku. Przez moment ułamek świecy rozbłysł jasno, oświetlając polanę i dziewczynę, oraz nierozerwalny łańcuszek łączący ich przeguby.

A potem świeca zgasła.

Tristran patrzył na gwiazdę – dziewczynę – z trudem powstrzymując cisnące się na usta słowa.

Czy można dojść tam w blasku świeczki? – pomyślał. Nie tylko tam, ale i z powrotem. Lecz świeczka zgasła, a od wioski Mur dzieliło go sześć miesięcy ciężkiego marszu.

– Chcę tylko, żebyś wiedział – powiedziała lodowato dziewczyna – że kimkolwiek jesteś i cokolwiek zamierzasz ze mną zrobić, w żaden sposób ci tego nie ułatwię i nie udzielę żadnej pomocy. Uczynię też wszystko, by twoje plany spełzły na niczym. – A potem dodała: – Idiota.

– Mmm – odparł Tristran. – Możesz iść?

– Nie – powiedziała. – Mam złamaną nogę. Jesteś nie tylko głupi, ale i głuchy?

– Czy wy w ogóle sypiacie? – spytał.

– Oczywiście, ale nie nocą. Nocą świecimy.

– Cóż – rzekł – ja zamierzam się przespać. Nic innego nie przychodzi mi do głowy. Mam za sobą ciężki dzień. Może ty także powinnaś się zdrzemnąć? Czeka nas długa droga.

Niebo nad nimi zaczynało jaśnieć. Tristran złożył głowę na skórzanej torbie, starając się ignorować wyzwiska i obelgi, jakimi obrzucała go dziewczyna w niebieskiej sukni na drugim końcu łańcuszka. Zastanawiał się, jak zareaguje włochaty człowieczek, gdy on, Tristran, nie wróci.

Myślał też o tym, co może robić w tej chwili Victoria Forester, i uznał, że prawdopodobnie śpi w swym łóżku, w sypialni w domu ojca.

Zastanawiał się, czy sześciomiesięczna podróż to daleka droga i co będą jedli w jej trakcie.

Zastanawiał się, co jadają gwiazdy… a potem zasnął.

– Ptasi móżdżek, błazen, głuptak – powiedziała gwiazda.

Później westchnęła i spróbowała ułożyć się jak najwygodniej w tych okolicznościach. Noga bolała ją, słabiej, lecz bez przerwy. Szarpnęła opasujący przegub łańcuszek, był on jednak ciasny i mocny i nie mogła ani zsunąć go z siebie, ani zerwać.

– Tępy, obmierzły baran – mruknęła. A potem i ona zasnęła.

Rozdział piąty

w którym sporo walczy się o koronę

W jasnym świetle poranka dziewczyna wydawała się bardziej ludzka, mniej eteryczna. Od chwili, gdy Tristran ocknął się ze snu, nie wymówiła ani słowa.

Tristran wyjął nóż i wystrugał ze złamanej gałęzi kulę w kształcie litery „Y”. Ona tymczasem siedziała pod klonem, wykrzywiała się i posyłała mu wrogie spojrzenia. Zdarł korę z zielonej gałęzi i owinął nią rozwidlenie w literze Y.

Jak dotąd nie zjedli śniadania i Tristran umierał z głodu. Nieustannie burczało mu w brzuchu. Gwiazda nie wspominała, że jest głodna. Z drugiej strony, w ogóle nic nie mówiła. Patrzyła tylko na niego, najpierw z wyrzutem, a potem z nieskrywaną nienawiścią.

Zaciągnął ciasno ostatni zwój kory, po czym podwinął koniec i raz jeszcze szarpnął.

– Naprawdę to nic osobistego – rzekł, zwracając się ni to do dziewczyny, ni to do drzew. W jasnych promieniach słońca prawie nie świeciła, poza miejscami, na które padał najgłębszy cień.

Gwiazda przesunęła bladym palcem tam i z powrotem po łączącym ich srebrnym łańcuszku i nie odpowiedziała.

– Zrobiłem to z miłości – dodał. – Jesteś moją jedyną nadzieją. Ona, to znaczy moja ukochana, nazywa się

Victoria, Victoria Forester. Jest najpiękniejszą, najmądrzejszą, najsłodszą dziewczyną na całym szerokim świecie.

Jego towarzyszka prychnęła wzgardliwie.

– I ta mądra, słodka istota przysłała cię tu, żebyś się nade mną znęcał?

– No, nie do końca. Widzisz, ona obiecała mi cokolwiek zapragnę – czy to rękę, czy pocałunek słodkich ust – jeśli przyniosę jej spadającą gwiazdę, którą ujrzeliśmy przedostatniej nocy. Sądziłem, że gwiazda, która spadła, przypomina raczej diament albo kamień. Z całą pewnością nie spodziewałem się damy.

– A zatem, skoro jednak znalazłeś damę, czy nie mogłeś służyć jej pomocą albo zostawić w spokoju? Czemu wciągasz ją w to wszystko?

– Z miłości – wyjaśnił.

Spojrzała na niego oczami błękitnymi niczym niebo.

– Mam nadzieję, że się nią udławisz – powiedziała z naciskiem.

– Nie udławię się – odparł Tristran z większą radością i pewnością siebie, niż odczuwał w istocie. – Proszę, spróbuj tego.

Podał jej kulę i schylając się, spróbował pomóc wstać. Gdy jego dłonie dotknęły skóry gwiazdy, poczuł lekkie, całkiem przyjemne mrowienie. Dziewczyna wciąż siedziała na ziemi, nawet nie usiłując się podnieść.

– Mówiłam już – rzekła – że uczynię wszystko, co w mojej mocy, by obrócić wniwecz twoje plany i zamiary. – Rozejrzała się po zagajniku. – Jak nieciekawie wygląda za dnia ten świat. Jak nudno.

– Po prostu oprzyj się na mnie całym ciężarem i wesprzyj na kuli – poradził. – Kiedyś będziesz musiała wstać.

Pociągnął łańcuszek i gwiazda z wahaniem zaczęła dźwigać się z ziemi, najpierw opierając się na Tristranie, a potem, jakby jego bliskość budziła w niej wstręt, na kuli.

Nagle zachłysnęła się gwałtownie i runęła na trawę. Jej twarz wykrzywił grymas bólu. Z ust uleciał cichy jęk. Tristran ukląkł obok dziewczyny.

– Co się stało? – spytał.

Błękitne oczy błysnęły. Kręciły się w nich łzy.

– Moja noga. Nie mogę na niej stanąć. Chyba naprawdę jest złamana. – Skóra dziewczyny zbielała niczym chmura.

– Bardzo mi przykro – rzekł bezradnie Tristran. – Mogę ci zrobić łubki. Robiłem je dla owiec. Wszystko będzie dobrze. – Mocno uścisnął jej rękę, a potem podszedł do strumienia, zanurzył w wodzie chustkę i dał ją gwieździe, by otarła czoło.

Rozszczepił nożem kilka kolejnych gałęzi, zdjął kurtkę i koszulę, a następnie podarł na długie pasy, którymi przywiązał patyki do jej nogi, jak najmocniej potrafił. Kiedy to robił, gwiazda milczała, choć gdy zacisnął ciasno ostatni węzeł, wydało mu się, że słyszy cichutki jęk.

– Słowo daję – rzekł – powinniśmy zaprowadzić cię do prawdziwego lekarza. Ja nim, niestety, nie jestem.

– Nie? – odparła sucho. – Zadziwiasz mnie.

Pozwolił jej odpocząć chwilę w słońcu.

– Chyba powinniśmy znów spróbować – powiedział wreszcie i dźwignął ją na nogi.

Powoli opuścili polanę. Gwiazda wspierała się ciężko na kuli i na ramieniu Tristrana, krzywiąc się po każdym kroku, a za każdym razem, gdy się krzywiła bądź wzdrygała, Tristrana ogarniało krępujące poczucie winy. Uspokajał się jednak, wspominając szare oczy Victorii Forester. Wędrowali jelenią ścieżką, wiodącą przez leszczynowy zagajnik. Tristran uznał, że najwłaściwszą rzeczą będzie

nawiązać rozmowę z gwiazdą, toteż pytał, od jak dawna jest gwiazdą, czy to miłe być gwiazdą i czy wszystkie gwiazdy to kobiety? Poinformował ją również, że zawsze sądził, iż gwiazdy to, jak uczyła pani Cherry, ogniste kule płonącego gazu, podobne do słońca, lecz tkwiące znacznie dalej.

Dziewczyna nie zareagowała na wszystkie jego pytania i stwierdzenia.

– Czemu właściwie spadłaś? – spytał. – Potknęłaś się o coś?

Zatrzymała się, odwróciła i spojrzała na niego, jakby z oddali przyglądała się czemuś wyjątkowo ohydnemu.

– Nie potknęłam się – odparła w końcu. – Zostałam uderzona. Tym. – Sięgnęła za dekolt i wyciągnęła duży, żółty kamień wiszący na srebrnym łańcuchu. – Na boku mam siniak, w miejscu gdzie to mnie uderzyło i strąciło z nieba. A teraz muszę to nosić ze sobą.

– Czemu?

Przez moment wydawało się, że odpowie, potem jednak potrząsnęła głową, zacisnęła wargi i umilkła. Po ich prawej stronie szemrał strumień, dotrzymując im kroku. Nad głowami wisiało południowe słońce, a Tristran z każdą chwilą stawał się coraz bardziej głodny. Wyjął z torby piętkę zeschniętego chleba, zwilżył ją w strumieniu i podzielił na pół.

Gwiazda obejrzała z pogardą mokry chleb i nie włożyła go do ust.

– Umrzesz z głodu – ostrzegł Tristran.

Nie odpowiedziała. Jedynie uniosła wyżej głowę.

Ruszyli dalej przez las, maszerując powoli. Wędrowali zboczem wzgórza, jelenią ścieżką, wiodącą przez zwalone pnie i coraz bardziej stromą. Tristran zaczął się obawiać, że kulejąca gwiazda potknie się i runie w dół, pociągając go za sobą.

– Nie ma innej drogi? – spytała po pewnym czasie. – Jakiegoś traktu albo płaskiej polany?

Gdy tylko zadała to pytanie, Tristran pojął, że zna odpowiedź.

– Pół mili stąd w tamtą stronę znajduje się droga – oznajmił, wskazując kierunek. – A tam, za krzakami, polana – dodał, obracając się w drugą stronę.

– Wiedziałeś o tym?

– Tak. Nie. Wiedziałem dopiero, gdy zapytałaś.

– Chodźmy na polanę – powiedziała.

Zaczęli się przeciskać przez gęsty młodniak. Dotarcie na miejsce zajęło im niemal godzinę, lecz gdy się tam znaleźli, ziemia pod ich stopami była płaska i ubita niczym boisko do gry, zupełnie jakby ktoś starannie oczyścił to miejsce, choć Tristran nie potrafił sobie wyobrazić, w jakim celu miałby to czynić.

Pośrodku polany na trawie nieopodal nich leżała ozdobna złota korona, połyskująca w popołudniowym słońcu. W złocie iskrzyły się czerwone i niebieskie kamienie. Rubiny i szafiry, pomyślał Tristran. Miał właśnie podejść do korony, gdy gwiazda dotknęła jego ramienia.

– Zaczekaj. Słyszysz bębny?

Uświadomił sobie, że owszem, słyszy: ciche, pulsujące bębnienie, dochodzące zewsząd wokół nich, z bliska i z daleka; odbijające się echem wśród wzgórz. A potem, między drzewami po drugiej stronie polany, rozległ się donośny trzask i wysoki krzyk. Z lasu wynurzył się wielki, biały koń. Jego boki pokrywała krew i głębokie rany. Wypadł na środek polany, po czym odwrócił się i zniżył głowę, czekając na swego prześladowcę, który skoczył na trawę z rykiem mrożącym krew w żyłach Tristrana. Był to lew, nie przypominał jednak zwierzęcia, które Tristran oglądał kiedyś na jarmarku w sąsiedniej wiosce –

sparszywiałego, bezzębnego, połamanego reumatyzmem stworzenia. Ten lew był ogromny i miał barwę piasku. Wpadł na polanę biegiem, po czym zatrzymał się i ryknął na białego konia.

Koń sprawiał wrażenie przerażonego. Jego grzywa była mokra od potu i krwi, w oczach drzemało szaleństwo. Miał też, jak nagle uświadomił sobie Tristran, długi kościany róg, wyrastający ze środka czoła. Zwierzę wspięło się na tylne nogi, rżąc i parskając. Ostre, niepodkute kopyto trafiło w grzbiet lwa, który wrzasnął niczym sparzony kot i uskoczył w tył. A potem, utrzymując bezpieczną odległość, lew zaczął okrążać czujnego jednorożca. Spojrzenie jego złocistych oczu ani na moment nie odrywało się od skierowanego wprost ku niemu ostrego rogu.

– Powstrzymaj je – szepnęła gwiazda. – Pozabijają się nawzajem.

Lew warknął na jednorożca. Warkot, z początku cichy niczym odgłos dalekiego grzmotu, wzniósł się w ogłuszający ryk, który wstrząsnął drzewami, skałami, doliną i niebem. Potem lew skoczył. Jednorożec rzucił się naprzód i na polanie zakotłowało się od złota, srebra i czerwieni. Lew wskoczył na grzbiet jednorożca, wbijając głęboko szpony w jego boki i wgryzając się w kark, a jednorożec zawodził rozpaczliwie, wierzgał i tarzał się, próbując zrzucić z siebie wielkiego kota; cały czas wymachiwał bezskutecznie rogiem i wierzgał kopytami, usiłując dosięgnąć prześladowcę.

– Proszę, zrób coś! Lew go zabije! – błagała dziewczyna.

Tristran chciał wyjaśnić, że gdyby podszedł do szalejących zwierząt, mógłby liczyć najwyżej na to, że zostanie przebity rogiem, kopnięty, rozszarpany szponami i pożarty. Chciał też dodać, że gdyby nawet przeżył moment podejścia, wciąż nic nie mógłby zrobić. Nie miał przy sobie nawet cebrzyka wody, tradycyjnie służącego w wiosce Mur

do rozdzielania walczących zwierząt. Nim jednak wszystkie te myśli przebiegły przez jego głowę, Tristran stanął już pośrodku polany, na odległość wyciągniętej ręki od walczących bestii. W powietrzu unosiła się woń ciała lwa: ostra, zwierzęca, przerażająca. Tristran był dostatecznie blisko, by dostrzec błagalne spojrzenie jednorożca.

Raz lew i jednorożec o koronę walczyły, pomyślał Tristran, przypominając sobie stary, dziecinny wierszyk.

Lew pognał jednorożca przez miasto z całej siły.
Pobił go raz,
Pobił go dwa,
Swą mocą go poskromił,
Trzy razy go pokonał i
Tak władzę swą obronił.

Powoli podniósł z trawy koronę. Była ciężka i wykonana z metalu miękkiego jak ołów. Podszedł do zwierząt, przemawiając do lwa, tak jak zwykle mówił do złośliwych baranów i zdenerwowanych owiec na polach ojca.

– Już dobrze… spokojnie… masz swoją koronę…

Lew potrząsnął trzymanym w zębach jednorożcem, niczym kot bawiący się wełnianym szalem, i spojrzał na Tristrana z absolutnym zdumieniem.

– Witaj – powiedział Tristran. W grzywie lwa tkwiły liście i rzepy. Chłopak uniósł ciężką koronę i ofiarował ją drapieżcy. – Wygrałeś. Puść jednorożca.

Podszedł krok bliżej, a potem sięgnął drżącymi rękami i złożył koronę na wielkim, płowym łbie.

Lew porzucił nieruchome ciało jednorożca i zaczął przechadzać się dumnie po polanie z wysoko uniesioną głową. Gdy dotarł do skraju lasu, zatrzymał się na kilka

minut, aby wylizać rany czerwonym – bardzo czerwonym – językiem. Potem zaś, pomrukując niby nadchodzące trzęsienie ziemi, zniknął wśród drzew.

Gwiazda pokuśtykała do rannego jednorożca i, mając usztywnioną nogę, niezręcznie usiadła na ziemi. Pogładziła łeb zwierzęcia.

– Biedactwo, moje biedactwo – rzekła. Jednorożec otworzył ciemne oczy i spojrzał na nią, a potem złożył głowę na kolanach dziewczyny i jego powieki znów opadły.

Tego wieczoru Tristran zjadł na kolację resztkę suchego chleba. Gwiazda w ogóle nie jadła. Upierała się, że zostanie przy jednorożcu, a Tristran nie miał serca jej odmówić.

Na polanie panował mrok. Niebo nad ich głowami zapełniło się tysiącami mrugających gwiazd. Towarzysząca mu dziewczyna także lśniła i migotała, jakby otarła się o mleczną drogę. Jednorożec natomiast świecił łagodnie w ciemności niczym skryty za chmurami księżyc. Tristran położył się obok wielkiego zwierzęcia; czuł promieniujące z niego ciepło. Gwiazda leżała po drugiej stronie jednorożca. Zdawało się, że nuci cichutko jakąś pieśń. Tristran żałował, że nie słyszy jej wyraźnie. Dochodzące go fragmenty melodii były niezwykłe i upajające. Śpiewała jednak tak cicho, że prawie w ogóle jej nie słyszał. Jego palce musnęły łączący ich łańcuch, zimny jak śnieg i śliski niczym blask księżyca odbity w wodach młyńskiego stawu, jak migotanie światła na srebrnych łuskach pstrąga, wypływającego o zmierzchu na żer.

Wkrótce zasnął.

*

Królowa czarownic jechała leśną dróżką, smagając batem swoje białe kozły, gdy zaczynały zwalniać kroku. Już

z odległości pół mili dostrzegła mały ogienek płonący przy ścieżce i po kolorze płomieni poznała, że rozpaliła go jedna z jej poddanych; ognie czarownic bowiem przybierają osobliwą barwę. Kiedy zatem dotarła do kolorowego cygańskiego wozu i ogniska, ściągnęła wodze tuż przed starą kobietą o stalowoszarych włosach, która siedziała przy ogniu, pilnując rożna z nabitym nań zającem. Z rozciętego brzucha zwierzęcia ściekał tłuszcz, sycząc i skwiercząc wśród płomieni. Ognisko otaczała woń pieczonego mięsa i płonących drewien.

Na żerdzi obok siedziska woźnicy przycupnął wielobarwny ptak. Gdy ujrzał królową czarownic, nastroszył pióra i krzyknął głośno. Nie mógł jednak uciec, bo z żerdzią łączył go cienki łańcuszek.

– Zanim cokolwiek powiesz – zagadnęła siwowłosa kobieta – powinnam uprzedzić, że jestem tylko biedną kwiaciarką, nieszkodliwą staruszką, która nigdy nie wyrządziła nikomu krzywdy, i widok tak wielkiej i groźnej damy wypełnia me serce lękiem.

– Nie skrzywdzę cię – odparła królowa czarownic.

Starucha przebiegle zmrużyła oczy i zmierzyła wzrokiem kobietę w czerwonej sukni.

– Teraz tak mówisz – rzekła. – Ale skąd mam wiedzieć, że to prawda? Jestem wszak tylko słodziusieńką staruszką, drżącą ze strachu od stóp do czubka głowy. Może planujesz okraść mnie w nocy albo jeszcze gorzej? – Trąciła ognisko patykiem i płomienie wystrzeliły w górę. W nieruchomym wieczornym powietrzu wisiała woń pieczeni.

– Przysięgam – powiedziała pani w szkarłatnej spódnicy – na prawa i zakazy naszej Ligi, do której należymy obie, na potęgę Lilim i na me usta, piersi i panieństwo, że nie żywię wobec ciebie złych zamiarów i potraktuję cię, jakbyś była moim gościem.

– To mi wystarczy, kochaniutka – odparła starucha. Jej twarz rozjaśnił szeroki uśmiech. – Chodź, usiądź. Kolacja będzie gotowa w dwa mgnienia oka.

– Bardzo chętnie – odparła dama w czerwonej sukni.

Kozły, prychając, zaczęły skubać trawę i liście obok rydwanu, spoglądając niechętnie na zaprzężone do wozu muły.

– Ładne capy – zauważyła stara wiedźma. Królowa czarownic skłoniła głowę i uśmiechnęła się skromnie. Blask ognia zamigotał na łuskach małego, szkarłatnego węża wokół jej przegubu.

– Kochaniutka, bez dwóch zdań nie mam już takich oczu jak kiedyś – ciągnęła starucha – ale nie mylę się chyba, sądząc, że jeden z tych pięknych zwierzaków rozpoczął życie, chodząc na dwóch nogach.

– Zdarzają się takie wypadki – przyznała królowa czarownic. – Na przykład twój uroczy ptak.

– Ten ptak niemal dwadzieścia lat temu oddał jeden z najcenniejszych okazów mojej kolekcji jakiemuś nicponiowi i nie da się opisać kłopotów, w jakie mnie wpędził. Teraz zatem cały czas pozostaje ptakiem, chyba że mam dla niej robotę albo potrzebuję do prowadzenia kramu. A jeśli znajdę dobrego, silnego sługę, który nie będzie się bał ciężkiej pracy, zostanie ptakiem na zawsze.

Ptak zaświergotał ze smutkiem na swej żerdzi.

– Nazywają mnie madame Semele – oznajmiła starucha.

Kiedy byłaś smarkulą, zwano cię Brudaską Sal, pomyślała królowa czarownic; nie powiedziała jednak tego głośno.

– Mnie możesz nazywać Morwanneg – oznajmiła zamiast tego.

Był to całkiem niezły żart („Morwanneg” bowiem to inaczej „morska fala”, a jej prawdziwe imię już dawno temu

zniknęło i zatonęło w falach oceanu).

Madame Semele wstała z miejsca i zniknęła w wozie. Po chwili pojawiła się z dwiema malowanymi drewnianymi miskami, dwoma nożami o drewnianych rączkach i z małym słoikiem ziół, wysuszonych i startych na zielony proszek.

– Zamierzałam jeść palcami z talerza ze świeżych liści – oznajmiła, podając miskę damie w szkarłatnej sukni. Na dnie miski, pod warstwą kurzu, można było dostrzec malowany słonecznik. – Ale pomyślałam: Jak często miewam tak świetne towarzystwo? Warto podać wszystko co najlepsze. Głowa czy ogon?

– Wybierz sama – odparła jej towarzyszka.

– Zatem dla ciebie głowa z soczystymi oczami i mózgiem, i chrupiącymi uszami, a ja zadowolę się zadem, pełnym jedynie nieciekawego mięsa. – Mówiąc to, zdjęła z ognia rożen, i posługując się nożami tak szybko, że ich ostrza jedynie zamigotały, podzieliła pieczeń i odkroiła mięso od kości, rozkładając je na dwie równe porcje do misek. Podała swej rozmówczyni słój z ziołami. – Nie mam soli, kochaniutka, ale wystarczy, że posypiesz mięso tym. Odrobina bazylii, trochę górskiego tymianku – mój własny przepis.

Królowa czarownic wzięła swą porcję i nóż i posypała danie szczyptą ziół; nabiła mięso na ostrze i zjadła ze smakiem. Tymczasem jej gospodyni bawiła się swoją kolacją, potem zaczęła starannie dmuchać na mięso. Z brązowej pieczeni unosiła się para.

– I jak? – spytała starucha.

– Nader smakowite – odparła szczerze jej towarzyszka.

– To zioła dodają mu smaku – wyjaśniła wiedźma.

– Czuję bazylię i tymianek, ale jest jeszcze jeden smak, którego nie potrafię określić.

– Ach – westchnęła madame Semele, przeżuwając włókienko mięsa.

– Jest naprawdę niezwykły.

– Istotnie. To zioło rosnące jedynie w Garamondzie, na wyspie pośrodku wielkiego jeziora. Doskonale pasuje do wszelkich mięs i ryb. Smakiem przypomina nieco koper z lekką nutą gałki muszkatołowej; ma kwiaty o pięknym odcieniu pomarańczy. Dobrze robi na wiatry i drżączkę. Jest też łagodnym środkiem nasennym, a do tego ma szczególną właściwość: sprawia, że ten, kto go skosztuje, przez kilka godzin mówi wyłącznie prawdę.

Dama w szkarłatnej spódnicy upuściła miskę.

– Trawa otchłanna? – rzekła. – Ośmieliłaś się nakarmić mnie trawą otchłanną?

– Na to wygląda, kochaniutka – odparła starucha, zanosząc się donośnym chichotem. – A zatem powiedz mi, moja pani Morwanneg, jeśli tak się nazywasz, dokąd to się wybierasz w swym wytwornym rydwanie. I czemu przypominasz mi kogoś, kogo kiedyś znałam. A madame Semele nie zapomina nikogo i niczego.

– Podróżuję, by odnaleźć gwiazdę – powiedziała królowa czarownic – która spadła w wielkiej puszczy po drugiej stronie Góry Brzucha. A kiedy ją znajdę, wezmę swój wielki nóż i wytnę jej serce, gdy będzie jeszcze żyła i gdy jej serce będzie należeć do niej. Albowiem serce żyjącej gwiazdy to panaceum na dolegliwości wieku i czasu. Moje siostry oczekują mego powrotu.

Pani Semele zachichotała jeszcze głośniej i zakołysała się, podpierając się pod boki. Kościste palce wbiły się w ciało.

– Serce gwiazdy, ha, ha. Cóż to dla mnie za zdobycz! Skosztuję kawałek, aby odzyskać młodość, by me siwe włosy znów stały się złociste, a piersi urosły i sterczały jak

kiedyś. Potem zabiorę resztę serca na wielki jarmark w Murze. Haaa!

– Nie zrobisz niczego podobnego – powiedziała tamta bardzo cicho.

– Nie? Jesteś moim gościem, kochanieńka. Złożyłaś przysięgę. Skosztowałaś mojego jedzenia. Wedle praw naszej Ligi w żaden sposób nie możesz mnie skrzywdzić.

– Och, istnieje wiele sposobów, na które mogłabym cię skrzywdzić, Brudasko Sal, ale przypomnę ci jedynie, że ten, kto skosztował trawy otchłannej, przez następne kilka godzin może mówić wyłącznie prawdę. I jeszcze jedno... – Gdy mówiła, w jej słowach migotała odległa błyskawica groźby. W lesie zapadła cisza, jakby każdy liść i każde drzewo słuchały uważnie tego, co miała do powiedzenia. – Oto, co rzeknę: Ukradłaś wiedzę, na którą nie zasłużyłaś. Nie skorzystasz z niej jednak, albowiem nie będziesz mogła dostrzec gwiazdy, wyczuć jej obecności, nie będziesz mogła jej dotknąć, skosztować znaleźć, zabić. Nawet gdyby ktoś inny wyciął jej serce i dał ci je, nie dostrzeżesz go i nie będziesz wiedziała, co miałaś w ręce – rzekła. – To moje słowa. A mówię prawdę. I wiedz jeszcze jedno. Przysięgłam na prawa Ligi, że cię nie skrzywdzę. Gdybym nie złożyła takiej przysięgi, zamieniłabym cię w karalucha i wyrwała wszystkie nogi, po czym zostawiła na żer ptakom, za to, że potraktowałaś mnie tak niegodnie.

Oczy madame Semele otwarły się szeroko. Przerażona, spoglądała ponad płomieniami na nieznajomą.

– Kim ty jesteś? – szepnęła.

– Kiedy widziałaś mnie ostatnio – odparła kobieta w szkarłatnej sukni – władałam ze swymi siostrami Karnacją, nim pochłonęły ją fale.

– Ty??? Ależ ty nie żyjesz! Już od dawna.

– Nie raz już mówiono, że Lilim umarły, ale to zawsze były kłamstwa. Wiewiórka nie znalazła jeszcze żołędzia, z

którego wyrośnie dąb, z którego wyrzeźbią kołyskę dziecka, które zabije mnie, gdy dorośnie.

Kiedy mówiła, w płomieniach pojawiały się srebrzyste błyski.

– A zatem to rzeczywiście ty. I odzyskałaś młodość. – Madame Semele westchnęła. – A teraz ja także znów będę młoda.

Dama w szkarłatnej sukni wstała i rzuciła do ognia miskę ze swą porcją zająca.

– Nic z tego – rzekła. – Nie słyszałaś, co powiedziałam? Gdy tylko odejdę, zapomnisz, że kiedykolwiek mnie widziałaś. Zapomnisz o wszystkim, nawet o mej klątwie, choć jej świadomość będzie cię dręczyć i drażnić niczym swędzenie dawno amputowanej kończyny. Obyś w przyszłości traktowała gości z większą grzecznością i szacunkiem.

I wtedy drewniana miska zajęła się ogniem. Płomienie wystrzeliły w górę, opalając liście dębu nad ich głowami. Madame Semele kijkiem wypchnęła poczerniałą miskę z ognia i zgasiła ją w trawie.

– Co mnie opętało? Czemu wrzuciłam miskę do ogniska?! – wykrzyknęła. – I do tego jeszcze jeden z moich noży, zniszczony i spalony! Co mnie podkusiło?

Nikt nie odpowiedział. Z oddali dobiegał oddalający się rytmiczny stukot, być może tętent racic. Madame Semele potrząsnęła głową, próbując oczyścić umysł z mgiełki snu.

– Starzeję się – powiedziała do wielobarwnego ptaka, przycupniętego na żerdzi obok siedziska dla woźnicy; ptaka, który wszystko widział i niczego nie zapomniał. – O tak, starzeję się i nic nie da się na to poradzić.

Ptak niezgrabnie przestąpił z nogi na nogę.

Ruda wiewiórka po chwili wahania wbiegła w krąg światła. Podniosła żołądź, przytrzymała przez moment w

swych przednich, przypominających ręce, łapkach, jakby odmawiała modlitwę, a potem odbiegła, by zakopać żołądź i zapomnieć o nim.

*

Czarci Prąd to mały port wzniesiony na granitowych skałach, miasto sklepikarzy, cieśli i żaglomistrzów oraz starych żeglarzy, którym brak palców i rąk i którzy otwierają własne tawerny bądź spędzają w nich całe dnie przy szklanicy grogu. Resztki włosów wciąż splatają w nasmołowane warkoczyki, choć ich brody już dawno zbielały. W Czarcim Prądzie nie ma ladacznic, a przynajmniej takich, które się za nie uważają, choć nigdy nie brakowało tu kobiet określających się, jeśli ktoś upiera się przy dokładnej odpowiedzi, jako intensywnie zamężne. Jednego męża mają na tym statku, który przybywa do brzegu co pół roku, drugiego na innym, zjawiającym się w porcie na miesiąc, co dziewięć miesięcy.

W gruncie rzeczy układ ten odpowiada większości ludzi, a jeśli nawet zdarzają się chwile zawodu, gdy jeden z mężczyzn wraca do swej żony i zastaje innego, cóż... wówczas wybucha bójka, a przegrany może zawsze pocieszyć się grogiem. Marynarze są w zasadzie zadowoleni, bo wiedzą, że dzięki temu mają przynajmniej jedną osobę, która zauważy, gdy nie wrócą z morza, i będzie opłakiwać ich stratę. Ich żony zaś zadowalają się świadomością, że mężowie także są wobec nich niewierni. Nie da się bowiem konkurować z morzem o serce mężczyzny. Morze jest dla niego matką i kochanką, a kiedy nadejdzie czas, obmyje jego zwłoki i ukryje wśród koralu, kości i pereł.

Do tego właśnie miasta przybył pewnej nocy pan Primus z Cytadeli Burz; od stóp do głów odziany w czerń, z brodą

gęstą i dostojną niczym bocianie gniazdo na jednym z miejskich kominów. Przyjechał powozem ciągniętym przez cztery kare konie i wynajął pokój w „Marynarskiej Przystani” na ulicy Krzywej. W gospodzie uznano go za dziwaka o osobliwych wymaganiach, gdyż przywiózł ze sobą własny prowiant i napoje i przechowywał je cały czas w zamkniętej drewnianej skrzyni, którą otwierał jedynie po to, by wyjąć jabłko, kawałek sera czy kielich korzennego wina. Mieszkał w najwyższym pokoju „Marynarskiej Przystani”, wysokiego, smukłego budynku wzniesionego na skalnym wzniesieniu ułatwiającym przemyt.

Przekupił kilkunastu miejscowych uliczników, aby donieśli mu, gdy tylko dostrzegą kogokolwiek nowego w mieście, nieważne, czy przybędzie morzem, czy lądem. Mieli zwłaszcza wypatrywać bardzo wysokiego mężczyzny o ciemnych włosach, chudej wygłodniałej twarzy i czarnych oczach.

– Primus niewątpliwie nauczył się ostrożności – powiedział Secundus do swych czterech martwych braci.

– Wiesz co powiadają – odszepnął Kwintus cichym, żałobnym tonem umarłych, który tego dnia przypominał odgłos odległych fal, rozbijających się o skały. – Ten, kogo zmęczy oglądanie się przez ramię w poszukiwaniu Septimusa, musi być także zmęczony życiem.

Każdego ranka Primus rozmawiał z kapitanami statków cumujących w Czarcim Prądzie. Chętnie stawiał grog, ale sam niczego nie jadł ani nie pił. Popołudniami oglądał statki w porcie.

Plotkarze z Czarciego Prądu (a tych tam nie brakuje) szybko odgadli, w czym rzecz: brodaty dżentelmen zamierzał popłynąć na wschód. Wkrótce po mieście rozeszła się kolejna wieść, że wybrał do tego statek „Serce Snu”, dowodzony przez kapitana Yanna, czarny okręt o szkarłatnoczerwonym pokładzie, cieszący się stosunkowo

dobrą reputacją (co oznaczało, że co prawda jego załoga nie stroni od piractwa, ale czyni to daleko od domu) i że podniosą kotwicę, gdy tylko da im znak.

– Dobry panie – powiedział do Primusa jeden z uliczników – w mieście zjawił się jakiś człowiek. Przybył lądem. Zamieszkał u pani Pettier. Jest wysoki i ponury jak kruk. Widziałem go we „Wzburzonym Oceanie”. Stawiał grog wszystkim. Twierdzi, że tęskni za morzem i szuka wolnej koi.

Primus poklepał chłopca po brudnej ręce i wręczył mu monetę. Następnie podjął swe przygotowania. Tego popołudnia ogłoszono, że za trzy dni „Serce Snu” opuści przystań.

W dzień przed odpłynięciem „Serca snu” widziano, jak Primus sprzedawał swój powóz i czwórkę koni właścicielowi stajni na ulicy Strażniczej. Potem skierował kroki ku przystani, rozrzucając po drodze małe monety wśród uliczników. Zamknął się w swej kabinie na pokładzie „ Serca Snu”, rozkazując, by nikt mu nie przeszkadzał, nieważne, jak dobry miałby powód, póki nie znajdą się co najmniej o tydzień drogi od portu.

Tego wieczoru marynarza z załogi „Serca snu” spotkał nieszczęśliwy wypadek. Po pijanemu pośliznął się na mokrym bruku ulicy Dochodowej i złamał nogę. Na szczęście szybko znalazł się zastępca, w osobie żeglarza, z którym razem pili i który przekonał rannego, by zademonstrował mu na śliskich kamieniach wyjątkowo skomplikowany krok marynarskiego tańca. Marynarz ów, wysoki i ciemnowłosy, przypominający nieco kruka, jeszcze tej samej nocy podpisał swe papiery znakiem kółka i o świcie, gdy statek wypłynął z portu w porannej mgle, był już na pokładzie. „Serce snu” pożeglowało na wschód.

Pan Primus z Cytadeli Snów z wysokiego urwiska odprowadzał wzrokiem statek, dopóki ten nie zniknął mu z

oczu. Pogładził świeżo ogolony podbródek. Potem zszedł na ulicę Strażniczą, gdzie zwrócił właścicielowi stajni pieniądze wraz ze sporym naddatkiem, i wyjechał z miasta na zachód czarnym powozem zaprzężonym w cztery kare konie.

*

Rozwiązanie było oczywiste. Ostatecznie jednorożec i tak dreptał za nimi przez cały ranek, od czasu do czasu trącając szerokim czołem ramię gwiazdy. Pokrywające jego boki rany, które poprzedniego dnia rozkwitały czerwienią pod szponami lwa, obecnie pokryły się suchymi, brązowymi strupami.

Gwiazda kuśtykała, kulała i się potykała. Tristran maszerował obok, złączony z nią łańcuchem, przegub z przegubem.

Z jednej strony uważał, że sam pomysł jazdy na jednorożcu ma w sobie coś niemal świętokradczego: nie był to przecież koń i nie podlegał żadnemu ze starożytnych traktatów pomiędzy Ludźmi i Końmi. W jego czarnych oczach kryła się dzikość. Każdy krok kipiał niebezpieczną, nieposkromioną energią. Jednakże z drugiej strony, Tristran odnosił coraz silniejsze wrażenie, choć sam nie wiedział dlaczego, że jednorożca obchodzi los gwiazdy i pragnie jej pomóc. Rzekł zatem:

– Posłuchaj, doskonale pamiętam, że zamierzasz na każdym kroku niweczyć moje plany, ale jeśli jednorożec się zgodzi, może mógłby przez jakiś czas ponieść cię na grzbiecie?

Gwiazda milczała.

– Co ty na to?

Wzruszyła ramionami.

Tristran odwrócił się do jednorożca i spojrzał w jego głębokie, czarne oczy.

– Rozumiesz mnie? – spytał.

Zwierzę nie odpowiedziało. Miał nadzieję, że skinie głową albo może uderzy w ziemię kopytem, jak szkolony koń, którego widział kiedyś na wioskowych błoniach, gdy był młodym chłopcem. Lecz jednorożec jedynie na niego patrzył.

– Poniesiesz tę panią? Proszę!

Zwierzę nie odpowiedziało. Nie skinęło też głową ani nie tupnęło. Zamiast tego podeszło do gwiazdy i uklękło u jej stóp. Tristran pomógł dziewczynie wsiąść na grzbiet jednorożca. Gwiazda chwyciła oburącz splątaną grzywę i usiadła bokiem, unosząc złamaną nogę. Następne kilka godzin podróżowali w ten właśnie sposób.

Tristran maszerował obok nich, niosąc na ramieniu kulę gwiazdy, na której zawiesił torbę. Wkrótce odkrył, że podróżowanie z gwiazdą dosiadającą jednorożca jest równie trudne, jak wcześniejsza wędrówka we dwoje. Wówczas musiał iść wolno, by dotrzymać kroku kulejącej dziewczynie. Teraz spieszył się, by nie zostać w tyle za jednorożcem, bo gdyby tamten zanadto wyrwał do przodu, łańcuch łączący ich oboje ściągnąłby gwiazdę z grzbietu zwierzęcia. Tristranowi burczało w brzuchu. Był boleśnie świadom, jak bardzo jest głodny. Wkrótce oczyma duszy widział siebie samego jako jeden wielki chodzący głód, otoczony cieniutką warstewką ciała, i szedł najszybciej, jak potrafił...

W pewnej chwili potknął się i wiedział, że zaraz upadnie.

– Proszę, zatrzymaj się! – wydyszał.

Jednorożec zwolnił kroku i przystanął. Gwiazda spojrzała na chłopaka z góry, potem skrzywiła się i potrząsnęła głową.

– Lepiej też tu wejdź, jeśli jednorożec ci pozwoli. W przeciwnym razie po prostu zemdlejesz, czy coś takiego, i ściągniesz mnie na ziemię. Musimy dotrzeć gdzieś, gdzie będziesz mógł zdobyć coś do jedzenia.

Tristran skinął z wdzięcznością głową.

Jednorożec nie protestował. Czekał cierpliwie, toteż Tristran spróbował wgramolić się na niego, zupełnie jakby wdrapywał się na wysoki, gładki mur. W końcu poprowadził zwierzę do buku, wyrwanego kilka lat wcześniej z korzeniami przez burzę, wichurę bądź zeźlonego olbrzyma, i trzymając w ręku torbę i kulę gwiazdy, wspiął się po korzeniach na pień, a stamtąd na grzbiet jednorożca.

– Po drugiej stronie wzgórza jest wioska – oznajmił Tristran. – Przypuszczam, że tam znajdziemy coś do jedzenia.

Wolną ręką poklepał zad wierzchowca. Jednorożec ruszył naprzód i Tristran natychmiast przeniósł rękę na bok gwiazdy, by utrzymać równowagę. Czuł pod palcami jedwabistą materię jej cienkiej sukni, a pod nią gruby łańcuch z topazem, opasujący talię.

Jazda na jednorożcu zupełnie nie przypominała jazdy konnej. Zwierz nie poruszał się jak koń, lecz bardziej swobodnie, niezwykle, dziko. Jednorożec zaczekał, aż Tristran i gwiazda usadowią się wygodnie, a potem powoli, lekko, zaczął się rozpędzać. Drzewa się poruszyły i zostały w tyle. Gwiazda pochyliła się, wplatając palce w grzywę jednorożca. Tristran – ze strachu zapominając o głodzie – ściskał kolanami boki wierzchowca i modlił się, by jakaś zbłąkana gałąź nie zrzuciła go na ziemię. Wkrótce odkrył, że nawet zaczyna mu się to podobać. Jazda na jednorożcu – to informacja dla ludzi, którzy mają możliwość jej zakosztować – miała w sobie coś niezwykłego, różniącego ją od wszelkich innych przeżyć: coś podniecającego, oszałamiającego i cudownego.

Gdy dotarli na obrzeża wioski, zachodziło już słońce. Jednorożec zatrzymał się gwałtownie na łące pod rozłożystym dębem i nie chciał postąpić ani kroku dalej. Tristran zsunął się z niego i wylądował z jękiem na trawie. Bolały go pośladki, ale czując na sobie obojętny wzrok gwiazdy, nie odważył się ich rozetrzeć.

– Nie jesteś głodna? – spytał.

Milczała.

– Posłuchaj, ja umieram z głodu. Aż mnie skręca. Nie wiem, czy ty, czy gwiazdy w ogóle jedzą, ani co jedzą; nie pozwolę jednak, byś się głodziła. – Spojrzał na nią pytająco, a ona na niego, najpierw beznamiętnie, lecz po sekundzie w jej błękitnych oczach zakręciły się łzy. Uniosła dłoń i otarła je, pozostawiając na policzkach smugę błota.

– Jemy tylko ciemność – oznajmiła. – Pijemy wyłącznie światło. Nie jestem więc gło-gło-głodna. Jestem samotna, przerażona, zmarznięta i nie-nieszczęśliwa oraz schwy-schwytana w niewolę, ale nie głodna.

– Nie płacz – rzekł Tristran. – Posłuchaj, pójdę do wioski i zdobędę prowiant. Ty zaczekaj tutaj. Jeśli ktoś się zjawi, jednorożec cię obroni.

Sięgnął ku niej i delikatnie zsadził z grzbietu wierzchowca. Jednorożec potrząsnął grzywą i zaczął z ukontentowaniem skubać trawę.

Gwiazda pociągnęła nosem.

– Mam tu zaczekać? – spytała, unosząc łączący ich łańcuch.

– Ach tak – odparł Tristran. – Daj mi rękę.

Wyciągnęła ku niemu dłoń. Zaczął majstrować przy łańcuszku, próbując go odwiązać. Jednak na próżno.

– Hm – mruknął. Pociągnął łańcuch wokół przegubu, ale on także trzymał mocno. – Wygląda na to – rzekł – że jestem z tobą związany tak samo jak ty ze mną.

Gwiazda odrzuciła włosy, zamknęła oczy i westchnęła głęboko, a potem, odzyskawszy panowanie nad sobą, uniosła powieki.

– Może znasz jakieś magiczne słowo albo coś w tym stylu?

– Nie znam żadnych magicznych słów – odparł Tristran. Uniósł łańcuszek, połyskujący czerwienią i fioletem w promieniach zachodzącego słońca. – Proszę – powiedział.

Łańcuszek zafalował i Tristran wysunął z niego rękę.

– Trzymaj – rzekł, podając gwieździe koniec krępującego ją łańcucha. – Postaram się nie wracać zbyt późno. A jeśli mały ludek zacznie ci śpiewać swoje głupie piosenki, to, na miłość boską, nie rzucaj w niego kulą. Tylko ci ją ukradną.

– Nie rzucę – obiecała.

– Będę musiał ci zaufać na twój honor jako gwiazdy, że nie uciekniesz.

Przesunęła palcami po nodze w łubkach.

– Przez jakiś czas nie będę mogła uciekać – odparła znacząco i tym Tristran musiał się zadowolić.

Ostatnie pół mili dzielące go od wioski pokonał pieszo. Ponieważ wieś leżała z dala od ubitego szlaku, nie było w niej gospody, ale tęga, stara kobieta, która mu o tym powiedziała, uparła się, by towarzyszył jej do jej domu. Tam wmusiła weń drewnianą miskę krupniku z marchewką i kubek słabego piwa. Tristran wymienił swą batystową chustkę za flaszkę kordiału z kwiatu bzu, gomółkę pleśniowego sera i kilka nieznanych owoców: były miękkie i włochate jak morele, lecz fioletowoniebieską barwą przypominały winogrona, a pachniały odrobinę jak dojrzałe gruszki. Kobieta dała mu także niewielkie naręcze siana dla jednorożca.

Maszerując z powrotem na łąkę, Tristran pogryzał owoc, soczysty, twardawy i dość słodki. Zastanawiał się, czy

gwiazda zechce go skosztować, a jeśli tak, to czy jej zasmakuje. Miał nadzieję, że dziewczyna ucieszy się z tego, co jej przyniósł.

Z początku myślał, że się pomylił i zabłądził w świetle księżyca. Nie. To był ten sam dąb. Ten, pod którym zostawił gwiazdę.

– Halo! – zawołał. Świetliki i robaczki świętojańskie połyskiwały żółcią i zielenią w krzakach i wśród gałęzi drzew. Nikt nie odpowiedział i Tristranowi ścisnął się nagle żołądek. – Halo? – powtórzył. A potem przestał wołać, bo nie miał mu kto odpowiedzieć.

Puścił snopek i kopnął go gniewnie. Była na południowy zachód od niego. Poruszała się szybciej, niż on zdołałby iść. Ruszył za nią w jasnych promieniach księżyca. Czuł się niemądry i otępiały, dręczył go wstyd, żal i poczucie winy. Nie powinien zdejmować łańcuszka. Trzeba było przywiązać go do drzewa albo zmusić gwiazdę, by poszła z nim do wioski. Myśli te przelatywały mu przez głowę, lecz w duchu słyszał też inny głos, mówiący, że gdyby tym razem nie zdjął łańcucha, zrobiłby to wkrótce, a wtedy i tak by mu uciekła.

Zastanawiał się, czy kiedykolwiek zobaczy gwiazdę. Coraz bardziej zagłębiał się między drzewa, potykając się o korzenie. Gęsta kopuła liści przysłoniła księżyc i po tym, jak Tristran kilkakrotnie o mało się nie przewrócił, zrezygnował z walki. Położył się pod drzewem, oparł głowę na torbie i zamknął oczy, użalając się nad sobą, dopóki nie zasnął.

*

Na skalnej przełęczy na najdalej wysuniętym na południe zboczu Góry Brzucha królowa czarownic ściągnęła wodze zaprzężonego w kozły rydwanu. Zatrzymała go, węsząc w

mroźnym powietrzu. Na niebie nad jej głową lśniły tysiące gwiazd.

Jej czerwone, jakże czerwone, wargi wygięły się w uśmiechu tak pięknym i radosnym, pełnym czystego, absolutnego szczęścia, że jego widok zmroziłby wam krew w żyłach.

– No proszę – rzekła. – Zmierza wprost ku mnie.

A wiatr na przełęczy zawył tryumfalnie, jakby w odpowiedzi na jej słowa.

*

Primus siedział przy dogasającym ognisku. Jego ciało, okryte grubą, czarną szatą, zadrżało. Jeden z karych koni zarżał cicho – nie wiadomo, czy się przebudziwszy, czy przez sen – po czym znów zamilkł. Primus czuł na twarzy dziwne zimno. Tęsknił za swą gęstą brodą. Patykiem wyciągnął z żaru glinianą kulę, splunął w dłonie, po czym rozbił gorącą glinę; w powietrzu rozeszła się słodka woń mięsa jeża, który piekł się wolno w żarze, kiedy Primus spał.

Powoli zjadł śniadanie, wypluwając do ogniska drobne kostki, gdy tylko ogryzł je do gołego z mięsa. Przekąsił jeża kawałkiem twardego sera i przepłukał gardło kwaśnym jak ocet białym winem.

Gdy skończył się pożywiać, otarł dłonie w szatę i rzucił runy, by odnaleźć topaz przekazujący władzę nad górskimi miastami i rozległymi ziemiami Cytadeli Burz. Przez chwilę ze zdumieniem wpatrywał się w małe kwadratowe, czerwone granitowe płytki. Pozbierał je, potrząsnął w dłoni, ponownie rzucił na ziemię i spojrzał. Potem splunął w żar. Odpowiedział mu leniwy syk. Zebrał płytki i schował w wiszącej u pasa sakiewce.

– Porusza się szybciej, dalej – rzekł.

Wysikał się na resztki ogniska, był bowiem w dzikim kraju, a w owych krainach roiło się od bandytów, hobgoblinów i jeszcze gorszych istot. Nie miał najmniejszego zamiaru zdradzać im swej obecności. Zaprzągł konie do powozu, wdrapał się na kozioł i ruszył na zachód, w stronę lasów i rozciągających się za nimi gór.

*

Dziewczyna trzymała się mocno szyi jednorożca, pędzącego przez mroczny las.

Promienie księżyca nie docierały między drzewa, lecz jednorożec lśnił i migotał słabym światłem, niczym księżyc. Dziewczyna także połyskiwała i świeciła, jakby zostawiała za sobą chmurę świetlistego pyłu. I gdy tak pędziła wśród drzew, obserwator, który oglądałby ją z daleka, ujrzałby, jak rozbłyska i przygasa, rozbłyska i przygasa, niczym maleńka gwiazda.

Rozdział szósty

Co powiedziało drzewo

Tristran Thorn śnił, że siedzi na jabłoni, podglądając przez okno Victorię Forester, która właśnie się rozbierała. Gdy zdjęła suknię, odsłaniając obfitą halkę, Tristran poczuł, jak gałąź ugina mu się pod stopami, a potem runął w dół, w mrok rozświetlony promieniami księżyca...

Spadał na księżyc.

A księżyc mówił do niego:

– Proszę – szeptał głosem przypominającym nieco głos jego matki. – Chroń ją. Chroń moją córkę. Chcą ją skrzywdzić. Zrobiłem już wszystko, co mogłem.

Być może księżyc powiedziałby mu więcej i może nawet to zrobił, lecz nagle stał się migotliwym odbiciem w wodzie, daleko w dole, a potem Tristran poczuł, że po twarzy chodzi mu mały pająk. Oprócz tego zdrętwiał mu kark. Uniósł dłoń i ostrożnie zrzucił pająka z policzka. Poranne słońce świeciło mu prosto w oczy. Świat wokół był złocisty i zielony.

– Śniłeś – dobiegł gdzieś z góry młody kobiecy głos. Ów głos był łagodny i Tristran usłyszał w nim dziwny akcent, a nad głową szelest bukowych liści.

– Tak – odparł, zwracając się do siedzącej na drzewie nieznajomej – śniłem.

– Ja także miałam sen zeszłej nocy. W moim śnie uniosłam wzrok i ujrzałam cały las. Między drzewami wędrowało coś wielkiego. Zbliżało się coraz bardziej i bardziej, i zrozumiałam, co to jest. – Umilkła gwałtownie.

– I co to było? – spytał Tristran.

– Wszystko – odparła. – To był Pan. Gdy byłam bardzo młoda, ktoś – może wiewiórka, bo one są strasznie gadatliwe, albo sroka, czy może zimorodek, jakaś istota powiedziała mi, że do Pana należy cały las. To znaczy, nie należy w sensie „należy”. Nigdy nie sprzedałby lasu komuś innemu, nie otoczył go murem ani…

– Ani nie ściął drzew – podpowiedział usłużnie Tristran. Odpowiedziała mu cisza. Zastanawiał się, gdzie zniknęła dziewczyna. – Halo? – zawołał. – Halo!

Liście nad jego głową zaszeleściły cicho.

– Nie powinieneś mówić takich rzeczy.

– Przepraszam. – Tristran nie do końca wiedział, za co właściwie przeprasza. – Ale mówiłaś, że las należy do Pana.

– Oczywiście, że tak – odparł głos. – Nietrudno jest być właścicielem czegoś albo nawet wszystkiego. Wystarczy wiedzieć, że to twoje, i być gotowym z tego zrezygnować. W ten właśnie sposób Pan stał się właścicielem lasu. W moim śnie przyszedł do mnie. Ty także byłeś w moim śnie. Prowadziłeś na łańcuchu smutną dziewczynę. Była bardzo, bardzo smutna. Pan rozkazał, bym ci pomogła.

– Mnie?

– I sprawił, że poczułam nagłe ciepło i miękki, przyjemny dreszcz w środku, od czubków liści po koniuszki korzeni. A kiedy się obudziłam, leżałeś tu. Spałeś twardo, z głową opartą o mój pień, chrapiąc jak świniak.

Tristran podrapał się po nosie. Przestał szukać kobiety ukrytej w gałęziach buku. Zamiast tego spojrzał uważniej na samo drzewo.

– Jesteś drzewem – rzekł, przekładając swe myśli na słowa.

– Nie zawsze byłam drzewem – usłyszał odpowiedź pośród szeleszczących bukowych liści. – Pewien mag zamienił mnie w drzewo.

– Czym byłaś wcześniej? – spytał Tristran.

– Myślisz, że mnie lubi?

– Kto?

– Pan. Gdybyś ty był władcą lasu, nie powierzałbyś komuś zadania i nie kazał udzielić wszelkiego dostępnego wsparcia i pomocy, gdybyś go nie lubił, prawda?

– No, cóż... – zaczął Tristran. Zanim jednak znalazł dyplomatyczną odpowiedź, drzewo rzekło:

– Nimfą. Byłam leśną nimfą. Ale kiedyś zaczął mnie ścigać książę. Nie miły książę, lecz wręcz przeciwnie. Można by sądzić, że książę, nawet ten niewłaściwy, zrozumie, że istnieją pewne granice, prawda?

– Można?

– Tak właśnie uważam. Ale on nie przyjął tego do wiadomości, toteż w biegu odmówiłam inwokację i – ba-bum! – stałam się drzewem. Co o mnie myślisz?

– No cóż – rzekł Tristran. – Nie wiem, jak wyglądałaś jako leśna nimfa, droga pani, ale drzewem jesteś wspaniałym.

Drzewo nie odpowiedziało, lecz jego liście zaszumiały w podziękowaniu.

– Jako nimfa też byłam niczego sobie – przyznała nieśmiało.

– Jaką dokładnie pomoc i wsparcie masz na myśli? – spytał Tristran. – Nie chodzi o to, że jestem niewdzięczny; w tej chwili potrzebna mi wszelka możliwa pomoc i wsparcie, ale drzewo nie jest najoczywistszym źródłem

owej pomocy. Nie możesz mi towarzyszyć, nakarmić, sprowadzić tu gwiazdy ani odesłać nas do Muru na spotkanie z moją ukochaną. Z pewnością znakomicie byś się spisała, osłaniając mnie przed deszczem, ale w tej chwili akurat nie pada...

Drzewo zaszeleściło.

– Może po prostu opowiedz mi całą historię? Pozwól, że ja osądzę, czy potrafię ci pomóc.

Tristran zaprotestował. Czuł, jak gwiazda oddala się coraz bardziej z prędkością galopującego jednorożca, i wiedział, że nie ma czasu do stracenia, a już z pewnością nie powinien go marnować na opowiadanie o swym życiu. Nagle jednak przyszło mu na myśl, że, jak dotąd, wszelkie postępy, które poczynił w swej wyprawie, zawdzięczał pomocy innych. Usiadł zatem na miękkiej ściółce i opowiedział bukowi o wszystkim, co tylko przyszło mu na myśl: o swej prawdziwej i czystej miłości do Victorii Forester, obietnicy, że przyniesie jej gwiazdę – nie jakąś tam gwiazdę, lecz tę, której upadek obserwowali razem ze szczytu wzgórza Dyties, i o swej podróży do Krainy Czarów. Opowiedział drzewu o swoich przygodach, o włochatym człowieczku i małym ludku, który ukradł mu melonik, o magicznej świecy, o tym, jak pokonał niezliczone mile dzielące go od leżącej na polanie gwiazdy, o lwie, jednorożcu i o tym, jak ją utracił.

Kiedy skończył swą historię, umilkł. Rdzawe liście nad jego głową zadrżały lekko, jakby poruszone łagodnym powiewem wiatru, a potem mocniej, jak gdyby szarpnęła nimi wichura, zwiastująca nadejście burzy. Potem zaś ich szelest obniżył się i nad swą głową Tristran usłyszał niski, pełen napięcia głos.

– Gdybyś pozostawił ją spętaną, a ona by uciekła, żadna siła na niebie i Ziemi nie zmusiłaby mnie, bym ci pomogła,

nawet gdyby zjawili się tu osobiście wielki Pan czy pani Sylvia. Ale uwolniłeś ją z łańcucha i dlatego ci pomogę.

– Dziękuję – rzekł Tristran.

– Powiem ci trzy rzeczy. Dwie teraz, a trzecią, gdy będziesz potrzebował jej najbardziej. Sam musisz osądzić, kiedy nadejdzie ta chwila. Po pierwsze, gwieździe grozi ogromne niebezpieczeństwo. Wieści i pogłoski w lesie szybko się rozchodzą; drzewa rozmawiają z wiatrem; wiatr przekazuje nowiny kolejnym lasom. Są tacy, którzy chcą skrzywdzić gwiazdę, bardziej niż skrzywdzić. Musisz ją znaleźć i chronić. Po drugie, istnieje ścieżka wiodąca przez ten las, za tamtym świerkiem (a mogłabym ci opowiedzieć o nim takie rzeczy, że nawet głaz by się zarumienił). Za kilka minut ścieżką będzie jechał powóz. Pospiesz się, to go złapiesz. A po trzecie, wyciągnij ręce.

Tristran posłuchał. Z korony drzewa spadł powoli rdzawy liść, wirując i szybując w powietrzu. Wylądował dokładnie na jego prawej dłoni.

– Proszę – rzekło drzewo. – Schowaj go w bezpiecznym miejscu i posłuchaj, gdy będziesz najbardziej potrzebował pomocy. A teraz biegnij! Powóz prawie już tu jest. Biegnij!

Tristran podniósł torbę i pobiegł, po drodze wsuwając liść do kieszeni tuniki. Słyszał zbliżający się tętent kopyt i wiedział, że nie zdąży na czas. Lecz gnany rozpaczą wciąż biegł, coraz szybciej, aż w końcu słyszał już wyłącznie dudnienie własnego serca, pulsowanie krwi w uszach i syk wciąganego w płuca powietrza. Desperacko przeciskał się przez zarośla. Wypadł na ścieżkę i ujrzał zbliżający się powóz.

Był cały czarny. Ciągnęły go cztery czarne jak noc konie, którymi powoził blady mężczyzna w długiej czarnej szacie. Od Tristrana dzieliło go dwadzieścia kroków. Chłopak stał w miejscu, zachłystując się powietrzem, a potem spróbował krzyknąć, lecz gardło miał suche, brakło mu tchu i z jego

ust dobył się jedynie ochrypły szept. Spróbował ponownie i jęknął.

Powóz minął go, nawet nie zwalniając.

Tristran usiadł na ziemi, żeby odpocząć, potem jednak, gnany obawą o los gwiazdy, wstał i ruszył najszybciej, jak potrafił, naprzód leśną ścieżką. Szedł zaledwie dziesięć minut, gdy znów natknął się na czarny powóz. Wielki konar, grubością dorównujący niektórym drzewom, odłamał się od dębu i runął dokładnie na ścieżkę przed zaprzęgiem. Woźnica, będący jednocześnie jedynym pasażerem, próbował usunąć przeszkodę.

– Niezwykła rzecz – rzekł nieznajomy, odziany w długą czarną szatę. Tristran na oko ocenił, że woźnica zbliża się do pięćdziesiątki. – Nie było żadnego wiatru ani burzy. Gałąź po prostu upadła. Przeraziła konie. – Głos miał głęboki i donośny.

Tristran i woźnica wyprzęgli konie i przywiązali je do konaru, który następnie zaczęli pchać. Czwórka koni ciągnęła. Razem z trudem odsunęli przeszkodę na bok. Tristran podziękował w duchu dębowi, który zrzucił konar, bukowi i Panu, władcy puszczy, a potem spytał woźnicy, czy zechce przewieźć go przez las.

– Nie biorę pasażerów – oznajmił tamten, pocierając zarośnięty podbródek.

– Oczywiście – rzekł Tristran. – Ale beze mnie wciąż byś tu tkwił. Z pewnością to Opatrzność przysłała cię do mnie, tak jak mnie do ciebie. Nie musisz zbaczać ze szlaku, a być może nadejdzie chwila, gdy przyda ci się druga para rąk.

Woźnica zmierzył Tristrana wzrokiem od stóp do głów. Potem sięgnął do wiszącej u pasa aksamitnej sakiewki i wyjął z niej garść kwadratowych czerwonych płytek z granitu.

– Wybierz jedną – polecił.

Tristran wyciągnął płytkę i pokazał nieznajomemu wyryty na niej symbol.

– Hmm – rzekł woźnica. – Jeszcze jedną. – Ponownie potarł podbródek. – Tak, możesz ze mną jechać – rzekł. – Runy są tego pewne, choć czeka nas niebezpieczeństwo. Może natrafimy jeszcze na zwalone pnie i konary. Jeśli chcesz, możesz usiąść z przodu, obok mnie, i dotrzymać mi towarzystwa.

Wdrapując się na kozioł, Tristran po raz pierwszy zajrzał do środka powozu i przez moment wydało mu się, że widzi pięciu bladych mężczyzn w szarych strojach, patrzących na niego ze smutkiem. Gdy jednak ponownie rzucił okiem, w środku nie było już nikogo.

Powóz zaskrzypiał i z turkotem ruszył porośniętym trawą szlakiem pod zielonozłotą kopułą liści. Tristran martwił się o gwiazdę. Owszem, była złośliwa, ale dał jej po temu powody. Miał nadzieję, ze nie napyta sobie kłopotów.

*

Ludzie powiadają czasami, że szaroczarny łańcuch górski, przecinający z północy na południe niczym mur tę część Krainy Czarów, był kiedyś olbrzymem, który z czasem stał się tak wielki i ciężki, że pewnego dnia, znużony wysiłkiem, jakiego wymagało poruszanie się i życie, ułożył się na równinie i zapadł w sen, tak głęboki, że między kolejnymi uderzeniami serca mijały całe stulecia. Jeśli rzeczywiście tak było, to musiało stać się bardzo dawno temu, w Pierwszej Erze Świata, gdy nie istniało nic prócz skał, ognia, wody i wiatru. Z czasów tych pozostali jedynie nieliczni, którzy mogliby zadać kłam tym twierdzeniom, jeśli oczywiście nie odpowiadają one prawdzie. Prawdziwe jednak czy nie, powszechnie nazywa się cztery największe

szczyty owego łańcucha Górami Głowy, Ramion, Brzucha i Kolan; a wzgórza na południu są zwane Stopami. Przez góry prowadzą przełęcze: jedna pomiędzy Głową i Ramionami, w miejscu gdzie powinna być szyja, i jedna na południe od Góry Brzucha.

To niebezpieczne góry, w których mieszkają dzikie stworzenia: trolle barwy łupku, włochaci praludzie, zbłąkane wodwo, górskie kozice, gnomy-górnicy, pustelnicy, banici, a nawet górskie wiedźmy. I choć pasmo to nie dorównuje wysokością najwyższym łańcuchom górskim Krainy Czarów, takim jak góra Huon, na której szczycie wzniesiono Cytadelę Burz, samotnemu wędrowcy trudno jest je przebyć.

Królowa czarownic kilka dni wcześniej pokonała przełęcz na północ od Góry Brzucha. Obecnie czekała u jej wylotu. Przywiązała kozły do cierniowego krzaka, którego listki skubały bez entuzjazmu. Ona sama siedziała na boku wyprzęgniętego rydwanu i osełką ostrzyła noże.

Noże były bardzo stare. Rękojeści zrobiono z kości, a ostrza z odłamków wulkanicznego szkliwa, czarnego jak gagat, z białymi płatkami śniegu, na zawsze zastygłymi w obsydianie. Miała ich parę: mniejszy szeroki tasak, ciężki i twardy, służył do przecinania klatki piersiowej, rąbania i rozbierania. Drugi – długi wąski sztylet – idealnie nadawał się do wycięcia serca. Gdy noże były już tak ostre, że mogła przesunąć którymś z nich po gardle, a ofiara poczułaby zaledwie leciutkie muśnięcie i ciepło uchodzącego z krwią życia, królowa czarownic odłożyła je i rozpoczęła przygotowania.

Podeszła do kozłów i szepnęła każdemu z nich słowo mocy.

Zwierzęta zniknęły. Na ich miejscu stał mężczyzna z białą bródką i młoda kobieta o bezmyślnych oczach i chłopięcej urodzie. Oboje milczeli.

Czarownica przykucnęła obok rydwanu i szepnęła kilka kolejnych słów. Rydwan nie zareagował, a ona gniewnie tupnęła w kamień.

– Starzeję się – rzekła do swych sług. Oni jednak milczeli, nie zdradzając nawet najmniejszych oznak zrozumienia. – Rzeczy nieożywione zawsze trudniej zmienić niż te ożywione. Ich dusze są starsze, głupsze, trudniej je przekonać. Gdybym tylko odzyskała prawdziwą młodość… U zarania dziejów potrafiłam przemieniać góry w morza, a chmury w pałace. Mogłam zaludnić całe miasto kamykami z plaży. Gdybym tylko znów była młoda…

Westchnęła i uniosła rękę. Na moment między jej palcami zamigotał błękitny płomień, a potem, gdy obniżyła dłoń i pochyliła się, by dotknąć rydwanu, ogień zniknął.

Wyprostowała się. W jej kruczoczarnych włosach pojawiły się pasemka siwizny. Pod oczami wystąpiły ciemne wory, lecz rydwan zniknął. Stała teraz przed niewielką gospodą na skraju przełęczy.

W oddali zagrzmiał grom, zamigotała błyskawica.

Szyld gospody skrzypnął, zakołysany nagłym wiatrem. Widniała na nim podobizna rydwanu.

– Wy dwoje – poleciła czarownica – do środka! Ona już tu jedzie. Będzie musiała przeprawić się przez przełęcz. Wystarczy tylko dopilnować, by przekroczyła próg. Ty – powiedziała, zwracając się do mężczyzny z białą bródką – jesteś Capik, właściciel gospody. Ja będę twoją żoną. A to – dodała, wskazując tępooką dziewczynę, kiedyś będącą Brevisem – nasza córka, posługaczka.

Wśród szczytów gór ponownie zagrzmiało. Tym razem piorun uderzył bliżej.

– Wkrótce zacznie padać – oznajmiła czarownica. – Rozpalmy ogień.

*

Tristran czuł przed sobą obecność gwiazdy, poruszającej się stale naprzód. Miał wrażenie, że zbliża się do niej. Ku jego uldze czarny powóz nadal podążał jej śladem. Raz, gdy dotarli do rozstajów, z lękiem pomyślał, że mogą skręcić w złą stronę. Gdyby do tego doszło, był gotów porzucić powóz i samotnie ruszyć w drogę.

Woźnica ściągnął lejce, zeskoczył z kozła i wyjął swe runy. Zasięgnąwszy ich rady, z powrotem wdrapał się na miejsce i skierował powóz w lewo.

– Mam nadzieję, że nie poczytasz mi tego za zuchwalstwo – rzekł Tristran – ale czy mogę spytać, czego szukasz?

– Mojego przeznaczenia – odparł tamten po krótkiej ciszy. – Prawa do tronu. A ty?

– Jest pewna młoda dama, którą uraziłem swym zachowaniem – rzekł Tristran. – Chcę ją przeprosić. – Mówiąc to, zrozumiał, że taka jest prawda.

Jego towarzysz mruknął coś w odpowiedzi.

Otaczający ich las zaczął rzednieć. Drzewa rosły tu pojedynczo i Tristran po raz pierwszy dostrzegł sterczące w oddali szczyty.

– Co za góry! – westchnął.

– Gdy będziesz starszy – powiedział woźnica – musisz odwiedzić moją twierdzę, wysoko na szczycie Huon. To jest dopiero góra. Z jej wierzchołka widać inne, przy których te – wskazał wyrastającą przed nimi Górę Brzucha – są zaledwie pagórkami.

– Prawdę mówiąc – odparł Tristran – przez resztę życia mam nadzieję hodować owce w wiosce Mur, bo przeżyłem już tyle przygód, że więcej nie mógłbym pragnąć – wszystkie te świece i drzewa, młoda dama, jednorożec.

Dziękuję jednak za zaproszenie i przyjmuję je. Jeśli kiedykolwiek odwiedzisz Mur, wpadnij koniecznie do mego domu. Dam ci wtedy wełniany strój, owczy ser i w bród baraniej potrawki.

– Jesteś aż za bardzo uprzejmy – rzekł woźnica. Trakt, którym jechali, stał się łatwiejszy. Wysypano go żwirem i tłuczonymi kamieniami. Mężczyzna trzasnął z bicza, poganiając kare ogiery. – Mówisz, że widziałeś jednorożca?

Tristran już miał opowiedzieć towarzyszowi całą historię, zmienił jednak zdanie i rzekł tylko:

– To bardzo szlachetne zwierzę.

– Jednorożce są dziećmi księżyca – oznajmił woźnica. – Sam nigdy żadnego nie widziałem, powiadają jednak, że służą księżycowi i wykonują jego rozkazy. Jutro wieczorem znajdziemy się w górach. Zatrzymamy się na popas o zachodzie słońca. Jeśli chcesz, możesz spać w powozie. Ja zostanę przy ognisku. – Ton jego głosu się nie zmienił, lecz Tristran zrozumiał nagle z niezachwianą, wstrząsającą pewnością, że jego towarzysz czegoś się boi, jest przerażony do głębi duszy.

Tego wieczoru na wierzchołkach gór tańczyły błyskawice. Tristran spał na skórzanej kanapie; pod głowę podłożył sobie worek obroku. Śnił o duchach, księżycu i gwiazdach.

O świcie lunął deszcz tak gwałtowny, jakby całe niebo zamieniło się w wodę. Ciężkie szare chmury przesłoniły górski łańcuch. W zacinającym deszczu Tristran i woźnica zaprzęgli konie i ruszyli w drogę. Cały czas jechali pod górę i zaprzęg poruszał się bardzo wolno.

– Możesz schować się do środka – zaproponował mężczyzna. – Nie ma sensu, żebyśmy obaj mokli. – I Tristran, i woźnica mieli na sobie grube kurtki, które znaleźli pod siedzeniem.

– Bardziej już i tak nie zmoknę – odparł Tristran – chyba że wskoczyłbym w ubraniu do rzeki. Zostanę tutaj. Co dwie pary oczu i rąk, to nie jedna.

Jego towarzysz mruknął coś pod nosem. Zimną, mokrą ręką otarł wodę z oczu i ust, po czym rzekł:

– Jesteś głupcem, chłopcze, ale doceniam twój zapał. – Przełożył wodze do lewej ręki i wyciągnął ku niemu prawą. – Zwą mnie Primusem. Panem Primusem.

– Jestem Tristran. Tristran Thorn. – Tristran czuł, że mężczyzna zasłużył sobie na to, by poznać jego prawdziwe imię.

Uścisnęli sobie ręce. Deszcz padał coraz mocniej. Konie jeszcze bardziej zwolniły kroku. Ścieżka zamieniła się w rwący strumień. Kurtyna deszczu przesłaniała świat równie skutecznie jak najgęstsza mgła.

– Jest pewien człowiek – powiedział pan Primus, przekrzykując deszcz. Wiatr porywał słowa z jego ust. – Wysoki, trochę podobny do mnie, ale chudszy, przypominający kruka. Oczy ma niewinne i puste, lecz czai się w nich śmierć. Zwie się Septimus, był bowiem siódmym chłopcem spłodzonym przez naszego ojca. Jeśli kiedykolwiek go zobaczysz, uciekaj. Chodzi mu o mnie, nie zawaha się jednak cię zabić, jeśli staniesz mu na drodze. Może też przekształcić cię w instrument, który zada mi śmierć.

Gwałtowny poryw wiatru posłał strugę deszczu wprost za kołnierz Tristrana.

– Wygląda na bardzo niebezpiecznego człowieka – zauważył Tristran.

– To najniebezpieczniejszy człowiek, jakiego mógłbyś spotkać.

Tristran spojrzał przed siebie, w deszcz i wzbierający mrok. Z każdą chwilą coraz słabiej widział drogę.

Primus odezwał się ponownie:

– Jeśli chcesz znać moje zdanie, w tej burzy jest coś nienaturalnego.

– Nienaturalnego?

– Albo więcej niż naturalnego, nadnaturalnego. Mam nadzieję, że natkniemy się na jakąś gospodę. Konie muszą wypocząć, a ja nie pogardziłbym suchym łóżkiem i ciepłym ogniem, a także porządnym posiłkiem.

Tristran przytaknął z zapałem. Siedzieli obok siebie, moknąc. Tristran myślał o gwieździe i jednorożcu. Z pewnością także była zmarznięta i przemoczona. Martwił się o jej złamaną nogę, na pewno bardzo bolała. To wszystko jego wina. Czuł się okropnie.

– Jestem najnieszczęśliwszym człowiekiem na świecie – powiedział do pana Primusa, gdy zatrzymali się, by nakarmić konie nasiąkniętym wodą obrokiem.

– Jesteś młody i zakochany – odparł Primus. – Każdy młodzian na twoim miejscu to najnieszczęśliwszy człowiek na świecie.

Tristran zastanawiał się, jakim cudem jego towarzysz odgadł istnienie Victorii Forester. Wyobraził sobie, jak relacjonuje jej swoje przygody, siedząc w Murze przed płonącym kominkiem, jednak wszelkie opowieści wydały mu się bezbarwne i nieciekawe.

Tego dnia zmierzch zapadł już o świcie, a teraz niebo było zupełnie czarne. Ścieżka nadal wiodła w górę. Deszcz chwilami słabł, by po paru minutach lunąć ze zdwojoną siłą.

– Tam z przodu! – zawołał Tristran. – Czy to nie światło?

– Nic nie widzę. Może to błędny ognik albo błyskawica? – odparł Primus. Potem jednak pokonali zakręt. – Myliłem się. To rzeczywiście światło. Brawo, młodzieńcze. Lecz w tych górach roi się od niebezpieczeństw. Miejmy nadzieję, że to przyjazne światło.

Widząc przed sobą cel, konie jakby nabrały sił. Błyskawica rozświetliła niebo. Ujrzeli strome skalne ściany, wznoszące się wysoko po obu stronach drogi.

– Mamy szczęście – głos Primusa zagrzmiał niczym grom. – To gospoda.

Rozdział siódmy

Gospoda „Pod Rydwanem”

Kiedy gwiazda zjawiła się na przełęczy, była przemoknięta do suchej nitki, przygnębiona i przemarznięta. Martwiła się o jednorożca. Odkąd trawy i leśne paprocie ustąpiły miejsca szarym skałom i cierniowym krzakom, zwierzę nic nie jadło. Jego miękkie kopyta nie nadawały się do wędrówek po kamiennych szlakach, nie przywykło też do noszenia jeźdźców, toteż biegło coraz wolniej.

Cały czas przeklinała dzień, w którym spadła na ten mokry, wrogi świat. Oglądany z wysoka, z nieba, wydawał się taki łagodny i przyjazny. Ale to było kiedyś. Teraz nienawidziła w nim wszystkiego, prócz jednorożca. A i od niego – pomyślała, poruszając z trudem obolałym ciałem – chętnie bym odpoczęła.

Po całym dniu jazdy w zacinającym deszczu światła gospody wydały jej się najpiękniejszym widokiem na ziemi. Uważajcie, uważajcie! – powtarzały bębniące o kamienie krople deszczu. Jednorożec zatrzymał się pięćdziesiąt kroków od gospody i nie chciał podejść bliżej. Nagle drzwi przed nimi otwarły się, zalewając szary świat ciepłym, żółtym blaskiem.

– Witaj, kochaniutka! – usłyszała na progu przyjazny głos.

Gwiazda pogładziła miękką szyję jednorożca, przemawiając do niego cicho, on jednak nawet nie drgnął. Stał bez ruchu w świetle gospody, niczym biały duch.

– Wejdziesz do środka, kochaniutka, czy wolisz zostać na deszczu? – Ciepły głos kobiety działał kojąco na gwiazdę. Czuła w nim połączenie chłopskiego rozsądku z przyjacielską troską. – Jeśli chcesz coś zjeść, dostaniesz posiłek. Na kominku płonie ogień. Mamy też dość gorącej wody, która wypędzi chłód z twych kości.

– Ja... będę potrzebowała pomocy – powiedziała gwiazda. – Moja noga...

– Ach, moje biedactwo. Każę mężowi, Capikowi, zanieść cię do środka. W stajni mamy siano i świeżą wodę dla twojego wierzchowca.

Kiedy kobieta się zbliżała, jednorożec gwałtownie szarpnął głową.

– Spokojnie, mój miły, spokojnie. Nie podejdę bliżej. Ostatecznie minęło już wiele lat od czasów, gdy byłam panną i mogłam dotknąć jednorożca. Zresztą od dawna nie widujemy ich w tych stronach...

Jednorożec nerwowo podążył za kobietą do stajni, zachowując bezpieczną odległość. Wybrał najdalszy boks, położył się na suchej słomie i ociekająca wodą, nieszczęśliwa gwiazda zsunęła się z jego grzbietu.

Capik okazał się białobrodym, małomównym mężczyzną. Bez słowa zaniósł gwiazdę do gospody i posadził na trójnogim stołku przed trzas kającym ogniem.

– Moje biedactwo! – westchnęła żona gospodarza, gdy wszyscy znaleźli się w środku. – Spójrz tylko na siebie. Jesteś mokra jak rusałka. Patrz, siedzisz w kałuży, a twoja śliczna sukienka... Och, w jakim jest stanie! Przemokłaś do suchej nitki.

Odprawiając męża, pomogła gwieździe zdjąć ociekającą wodą suknię, którą powiesiła na haczyku obok paleniska. Krople wody z sykiem padały na rozgrzane cegły.

Przed kominkiem stała blaszana wanna. Żona gospodarza osłoniła ją papierowym parawanem.

– Jaką wodę lubisz? – spytała troskliwie. – Ciepłą? Gorącą? Prawie wrzątek?

– Nie wiem – przyznała gwiazda. Była naga, nie licząc srebrnego łańcucha z topazem owiniętego wokół pasa. W głowie kręciło jej się od natłoku wydarzeń. – Nigdy jeszcze się nie kąpałam.

– Nigdy się nie kąpałaś? – Żona gospodarza spojrzała na nią ze zdumieniem. – Moje biedactwo. Lepiej zatem doleję trochę zimnej wody. Zawołaj mnie, jeśli będziesz chciała kolejny cebrzyk. Będę w kuchni. Kiedy skończysz, przyniosę ci grzane wino i słodką, pieczoną rzepę.

I, zanim gwiazda zdążyła powiedzieć, że nie będzie jadła ani piła, kobieta odeszła, pozostawiając ją siedzącą w blaszanej wannie, z nogą w łubkach sterczącą w górę i opartą na trójnogim stołku. Z początku woda rzeczywiście była za gorąca, potem jednak gwiazda odprężyła się, przywykając do ciepła, i po raz pierwszy od chwili, gdy runęła z nieba, poczuła się zupełnie szczęśliwa.

– Pięknie, moja złota – powiedziała gospodyni, stając znienacka obok. – Jak się teraz czujesz?

– Znacznie, znacznie lepiej. Dziękuję.

– A twoje serce? Jak tam twoje serce? – spytała kobieta.

– Moje serce? – Dziwne pytanie, ale kobieta sprawiała wrażenie szczerze zatroskanej. – Czuje się szczęśliwsze, spokojniejsze. Mniej znękane.

– Świetnie. To świetnie. Niech znów zapłonie gorąco w twojej piersi. Zapłonie jasno i gorąco.

– Jestem pewna, że pod twoją opieką moje serce zapłonie ze szczęścia – powiedziała gwiazda.

Żona gospodarza pochyliła się i ujęła ją pod brodę.

– Moje dziecko. Jakież to miłe słówka mi prawi. – Uśmiechnęła się ciepło i przygładziła dłonią siwiejące włosy. Potem powiesiła na parawanie gruby szlafrok. – To dla ciebie, kiedy wyjdziesz z kąpieli. Nie, nie. Nie musisz się spieszyć, złotko. Będzie ci w nim wygodnie i ciepło. Twoja sukienka nie wyschnie tak szybko. Po prostu zawołaj, kiedy będziesz chciała wyjść z wanny, a ja ci pomogę. – Znów się pochyliła i dotknęła zimnym palcem ciała gwiazdy między piersiami. – Dobre, mocne serce – rzekła.

Zdarzają się jeszcze dobrzy ludzie na tym paskudnym, mrocznym świecie, pomyślała gwiazda, rozgrzana i zadowolona. Na zewnątrz lał deszcz. Wiatr zawodził na przełęczy, lecz w gospodzie „Pod Rydwanem” było ciepło i przytulnie.

Po jakimś czasie żona gospodarza wróciła i wraz ze swą tępą córką pomogła gwieździe wyjść z kąpieli. W blasku ognia osadzony w srebrze topaz na srebrnym łańcuchu zalśnił. Po chwili jednak zniknął wraz z ciałem gwiazdy w fałdach grubego ciepłego szlafroka.

– A teraz, moja złota – rzekła gospodyni – usiądź tu sobie wygodnie.

Podprowadziła gwiazdę do długiego drewnianego stołu. U jego szczytu leżały nóż i tasak o kościanych rękojeściach i ostrzach z ciemnego szkła. Gwiazda, kuśtykając, podeszła do stołu i usiadła na wygodnej ławie.

Nagły poryw wiatru zatrząsł drzwiami. Na kominku wystrzeliły płomienie: zielone, niebieskie i białe, a potem z dworu dobiegł przekrzykujący rozszalałe żywioły głos.

– Służba! Jedzenie! Wino! Ogień! Gdzie stajenny?

Gospodarz Capik i jego córka nie zareagowali. Spojrzeli tylko na kobietę w czerwonej sukni, jakby oczekiwali poleceń. Ona zaś ściągnęła wargi i namyślała się chwilę.

– To może poczekać – rzekła w końcu. – Odrobinę. Ostatecznie nigdzie się nie wybierasz, moja złota? – To ostatnie zdanie skierowała do gwiazdy. – Nie ze złamaną nogą i nie w taką ulewę, prawda?

– Doceniam waszą gościnność bardziej, niż potrafię to wyrazić – rzekła z uczuciem gwiazda.

– Oczywiście, że tak – odparła kobieta w czerwonej sukni. Jej rozbiegane palce niecierpliwie pogładziły czarne noże, jakby nie mogła się już czegoś doczekać. – Wystarczy nam jeszcze czasu. O, tak.

*

Światło w oknie gospody było najcudowniejszą, najwspanialszą rzeczą, jaką Tristran ujrzał podczas całej swej wędrówki po Krainie Czarów, i gdy Primus krzykiem wzywał służbę, Tristran wyprzągł wyczerpane konie i zaprowadził je kolejno do stajni z boku gospody. W najdalszym boksie spał biały koń, lecz Tristran był zbyt zajęty, żeby się mu przyglądać.

Wiedział – gdzieś w tym samym dziwnym zakamarku umysłu, który znał położenie i odległości miejsc, których nigdy nie oglądał i nie odwiedzał – że gwiazda jest blisko. Świadomość ta dodawała mu otuchy, lecz jednocześnie niepokoiła. Zdawał sobie też sprawę, że konie są bardziej zmęczone i głodne niż on sam. Jego obiad i chwila, gdy będzie musiał stawić czoło gwieździe, mogły zaczekać.

– Ja zajmę się końmi – powiedział do Primusa. – Inaczej się po chorują.

Mężczyzna położył wielką dłoń na ramieniu Tristrana.

– Dobry z ciebie chłopak. Przyślę ci posługacza z grzanym piwem.

Tristran myślał o gwieździe, szczotkując zgrzebłem konie i czyszcząc im kopyta. Co powinien powiedzieć? Co ona odpowie? Był już przy ostatnim koniu, gdy w stajni zjawiła się posługaczka o bezmyślnej twarzy, niosąca kufel parującego wina.

– Postaw go tam – rzekł. – Wypiję ze smakiem, gdy tylko skończę.

Dziewczyna odstawiła kufel na skrzynię z uprzężą i wyszła bez słowa.

I właśnie wtedy koń w ostatnim boksie wstał z ziemi i zaczął uderzać kopytami o drzwi.

– Uspokój się! – zawołał Tristran. – Spokojnie, mój mały. Zaraz poszukam obroku i otrąb dla was wszystkich.

W przednim kopycie ogiera tkwił spory kamień. Tristran usunął go ostrożnie.

„Pani” – powtarzał w duchu starannie obmyślaną mowę – „przyjmij proszę, najserdeczniejsze, najpokorniejsze przeprosiny”.

„Panie” – odpowie z pewnością gwiazda – „uczynię to z całym sercem. Teraz zaś ruszajmy do twej wioski, gdzie przedstawisz mnie swej ukochanej, jako dowód oddania i miłości…”.

Ogłuszający huk sprawił, że otrząsnął się z zamyślenia. Wielki biały koń – tylko że, Tristran natychmiast się zorientował, tak naprawdę wcale nie był to koń – wyłamał kopnięciem drzwi boksu i opuściwszy róg, rzucił się pędem ku niemu.

Tristran padł na zasłaną słomą podłogę, unosząc ręce w obronnym geście.

Minęła długa chwila. Uniósł głowę. Jednorożec zatrzymał się tuż przed kuflem i wsunął czubek rogu do

grzanego wina.

Tristran niezgrabnie dźwignął się z ziemi. Wino bulgotało i dymiło, i w tym momencie przypomniał sobie – słyszał o tym kiedyś w starych bajkach, dziecięcych opowieściach – że róg jednorożca chroni przed…

– Trucizna – szepnął.

Jednorożec uniósł głowę, spojrzał mu wprost w oczy i Tristran wiedział już, że to prawda. Serce waliło mu w piersi. Na dworze wiatr zawodził głosem oszalałej wiedźmy.

Tristran rzucił się pędem do drzwi stajni. Nagle jednak przystanął. Zastanowił się chwilę. Pogrzebał w kieszeni tuniki i znalazł bryłkę wosku, jedyne, co pozostało ze świeczki. Do ogarka przylepił się suchy bukowy liść. Tristran starannie oderwał listek, uniósł go do ucha i posłuchał, co tamten miał mu do powiedzenia.

*

– Wina, panie? – spytała kobieta w długiej, czerwonej sukni, gdy Primus przekroczył próg gospody.

– Dziękuję, ale nie – odparł. – Mam taki przesąd: dopóki na własne oczy nie ujrzę zimnego trupa mojego brata, będę pił wyłącznie własne wino i jadł jedynie żywność, którą sam zdobyłem i przyrządziłem. Uczynię tak i tutaj, jeśli nie macie zastrzeżeń. Oczywiście zapłacę jak za wasze wino. Zechciałabyś postawić tę butelkę przy ogniu, by nieco się rozgrzała? Towarzyszy mi też młody mężczyzna. W tej chwili zajmuje się końmi, a że nie złożył podobnej przysięgi, kufel grzanego wina z pewnością przepędziłby chłód z jego kości, jeśli zechcecie mu je posłać.

Posługaczka dygnęła i podreptała do kuchni.

– Zatem, gospodarzu – rzekł Primus, zwracając się białobrodego mężczyzny – jak wyglądają wasze łóżka? Macie w nich sienniki? Czy w pokojach napalono? Dostrzegam też z rosnącą radością, że przed kominkiem stoi wanna. Jeśli nagrzaliście cebrzyk wody, chętnie później zażyję kąpieli. Nie zapłacę jednak więcej niż srebrny grosz.

Gospodarz spojrzał na żonę.

– Nasze łóżka są wygodne – powiedziała. – Każę też służącej napalić w sypialni i przygotować ją dla pana i pańskiego towarzysza.

Primus zdjął ociekającą wodą czarną szatę i powiesił ją przy ogniu, obok wciąż wilgotnej błękitnej sukni gwiazdy. Następnie odwrócił się i ujrzał siedzącą przy stole młodą pannę.

– Ty także jesteś tu gościem? – spytał. – Miło cię poznać, pani, w tę zabójczą pogodę. – W tym momencie ze stajni dobiegł głośny łoskot. – Coś musiało spłoszyć konie – zauważył z troską Primus.

– Pewnie piorun – odparła żona gospodarza.

– Możliwe – mruknął Primus. Coś innego zaprzątało mu głowę. Podszedł do gwiazdy i przez kilka chwil spoglądał jej prosto w oczy. – Ty... – Urwał. A potem, z rosnącą pewnością siebie, rzekł: – Masz klejnot mojego ojca. Masz Moc Burzy.

Dziewczyna rzuciła mu gniewne spojrzenie błękitnych jak niebo oczu.

– No, dalej. Poproś mnie o niego i będę mogła wreszcie pozbyć się tej błyskotki.

Żona gospodarza zbliżyła się szybko do stołu.

– Nie przeszkadzaj innym gościom, kochaniutki – upomniała surowo Primusa.

Wzrok mężczyzny powędrował ku nożom leżącym na drewnianym blacie. Natychmiast je rozpoznał. W skarbcu

Cytadeli Burz ukryto wystrzępione zwoje, przedstawiające te same noże i wymieniające ich nazwy. Były stare, pochodziły z Pierwszej Ery Świata.

Drzwi gospody otwarły się z trzaskiem.

– Primusie! – zawołał Tristran, wbiegając do środka. – Oni próbowali mnie otruć!

Pan Primus sięgnął po miecz. W tym momencie jednak królowa czarownic chwyciła najdłuższy z noży i jednym gładkim, fachowym ruchem przesunęła ostrze po jego gardle...

Dla Tristrana wszystko rozegrało się tak szybko, że przez chwilę nie rozumiał, co widzi. Wpadł do środka, ujrzał gwiazdę i pana Primusa, gospodarza i jego dziwną rodzinę, a potem zobaczył krew, tryskającą szkarłatną strugą w blasku ognia.

– Załatwcie go! – krzyknęła kobieta w czerwonej sukni. – Łapcie smarkacza!

Capik i służąca skoczyli ku Tristranowi i w tym momencie do gospody wpadł jednorożec.

Tristran rzucił się w bok. Jednorożec wspiął się na tylne nogi i uderzeniem kopyta posłał służącą w kąt.

Capik obniżył głowę i popędził wprost na jednorożca, jakby zamierzał uderzyć go czołem. Jednorożec zrobił to samo i tak zginął właściciel gospody.

– Głupcy! – wrzasnęła wściekle jego żona.

Ruszyła w stronę jednorożca, w obu rękach trzymając noże. Prawą dłoń i przedramię pokrywała jej krew dokładnie tej barwy co suknia. Tristran padł na kolana i ruszył na czworakach w stronę kominka. W lewej dłoni trzymał bryłkę wosku: wszystko, co zostało ze świeczki, która go tu sprowadziła. Ściskał wosk w palcach, dopóki nie zmiękł.

– Lepiej, żeby to zadziałało – powiedział do siebie. Miał nadzieję, że drzewo wiedziało, co mówi.

Za jego plecami jednorożec zakwiczał z bólu.

Tristran oddarł od tuniki kawałek koronki i wcisnął ją w wosk.

– Co się dzieje? – spytała gwiazda, która podpełzła ku niemu, także na czworakach.

– Prawdę mówiąc, nie wiem – przyznał.

Czarownica wrzasnęła. Jednorożec przebił jej ramię rogiem i podniósł zwycięsko w powietrze, szykując się, by cisnąć kobietę na podłogę i stratować ostrymi kopytami. Wtedy jednak, nie zważając na ranę, czarownica obróciła się i dźgnęła dłuższym z kamiennych noży wprost w oko jednorożca, wbijając klingę głęboko w jego czaszkę.

Olbrzymi zwierz osunął się powoli na drewnianą podłogę gospody. Z boku, oka i otwartego pyska ściekała mu krew. Najpierw padł na kolana, a potem runął ciężko, gdy umknęło z niego życie. Plamisty język wysunął się żałośnie spomiędzy rozwartych szczęk.

Królowa czarownic zsunęła się ciężko z rogu, a potem, jedną ręką ściskając zranione ramię, a w drugiej unosząc tasak, dźwignęła się z podłogi.

Rozejrzała się pospiesznie. Jej wzrok padł na Tristrana i gwiazdę, skulonych przy kominku. Powoli, rozpaczliwie powoli, ruszyła ku nim, z tasakiem w dłoni i uśmiechem na twarzy.

– Płonące, złote serce szczęśliwej gwiazdy jest znacznie lepsze niż migoczące serce przerażonej gwiazdy – oznajmiła. Jej głos, wydobywający się ze zbryzganych krwią ust, brzmiał dziwnie spokojnie i obojętnie. – Lecz nawet serce wystraszonej, zrozpaczonej gwiazdy jest lepsze niż żadne.

Tristran chwycił prawą dłonią rękę gwiazdy.

– Wstań! – polecił.

– Nie mogę – odparła.

– Wstań albo zaraz umrzemy – rzekł, dźwigając się na nogi.

Gwiazda przytaknęła i wspierając się na nim całym ciężarem, podniosła się powoli.

– Wstań albo zaraz zginiemy – powtórzyła królowa czarownic. – O tak, zaraz zginiecie, moje dzieci. Stojąc czy siedząc, dla mnie to bez różnicy. – Postąpiła kolejny krok.

Tristran jedną ręką ściskał ramię gwiazdy, w drugiej trzymał zaimprowizowaną świecę.

– A teraz ruszaj!

Wepchnął lewą dłoń do ognia.

Poczuł piekący ból i o mało nie krzyknął. Królowa czarownic patrzyła na niego, jakby całkiem postradał zmysły. A potem zaimprowizowany knot zajął się błękitnym płomieniem i otaczający ich świat zamigotał.

– Proszę, chodź – błagał gwiazdę Tristran. – Tylko mnie nie puść.

A ona ruszyła chwiejnie naprzód.

Zostawili za sobą gospodę. W uszach wciąż dźwięczały im wściekłe wrzaski czarownicy.

Byli pod ziemią. Migotliwy płomyk odbijał się w wilgotnych ścianach jaskini. Po następnym chwiejnym kroku znaleźli się na białej, piaszczystej pustyni, w blasku księżyca. Trzeci krok zaniósł ich wysoko nad ziemię. Spoglądali w dół, na wzgórza, drzewa i rzeki.

I wtedy reszta wosku rozpłynęła się i ściekła po dłoni Tristrana. Ból stał się nie do zniesienia i płomyk wypalił się na zawsze.

Rozdział ósmy

traktujący o roszadach w powietrzu i innych sprawach

W górach nastał świt. Szalejące od kilku dni burze minęły. Powietrze było czyste i zimne.

Pan Septimus z Cytadeli Burz, wysoki i podobny do kruka, wędrował ścieżką przez przełęcz, rozglądając się, jakby szukał cennej zguby. Za sobą wiódł brązowego górskiego kuca, małego i kędzierzawego. W miejscu, gdzie przełęcz rozszerzała się, mężczyzna przystanął, jakby znalazł swą zgubę przy szlaku. Leżał tam mały, poobijany, przewrócony na bok rydwan, niewiele większy od zwykłej dwukółki, a obok niego dwa ciała. Pierwsze należało do białego capa, z głową zalaną krwią. Septimus na wszelki wypadek trącił trupa stopą, przewracając go na bok. Zwierzę zginęło od głębokiej rany, ziejącej pośrodku czoła, dokładnie między rogami. Obok kozła spoczywały zwłoki młodego mężczyzny, o twarzy chyba równie bezmyślnej po śmierci, jak wcześniej za życia. Septimus nie zauważył żadnych ran, jedynie ciemny siniec na skroni.

Kilkanaście kroków dalej dostrzegł na wpół ukryte za skałą zwłoki mężczyzny w średnim wieku, odzianego w czarny strój. Zwłoki leżały twarzą do ziemi. Skóra nieboszczyka była jasna, na kamiennym podłożu pod nim zebrała się kałuża krwi. Septimus przykucnął obok trupa i

ostrożnie uniósł za włosy jego głowę. Ktoś fachowo poderżnął mu gardło: przeciął je od ucha do ucha. Septimus uważnie przyjrzał się twarzy nieboszczyka. Znał go, a jednak...

Nagle zaśmiał się, sucho, skrzekliwie.

– Twoja broda – rzekł głośno. – Zgoliłeś brodę. Jakbym cię bez niej mógł nie poznać, Primusie.

Primus, który stał, szary i upiorny, obok reszty braci, odparł cicho:

– Owszem, poznałbyś mnie, Septimusie, ale być może zyskałbym dzięki temu kilka chwil i dostrzegł cię, nim ty dostrzegłbyś mnie. – Jego martwy głos był jak poranny wiaterek kołyszący cierniowymi gałęziami.

Septimus wstał. Słońce wynurzyło się zza wschodniego wierzchołka Góry Brzucha, zalewając go blaskiem.

– A zatem to ja zostanę Osiemdziesiątym Drugim Władcą Cytadeli Burz – rzekł, zwracając się zarówno do siebie, jak i do zwłok na ziemi. – A także panem Najwyższych Turni, seneszalem Wyniosłych Wieżyc, namiestnikiem Twierdzy, najwyższym strażnikiem Góry Huon i całej reszty.

– Nie, dopóki na twojej szyi nie zawiśnie Moc Burzy – odparł cierpko Kwintus.

– I nie zapominaj o zemście – dodał Secundus głosem wiatru łkającego na przełęczy. – Teraz przede wszystkim musisz pomścić śmierć brata; tak każe prawo krwi.

Septimus potrząsnął głową, zupełnie jakby usłyszał te słowa.

– Czemu nie zaczekałeś jeszcze kilka dni, bracie Primusie? – spytał leżącego u stóp trupa. – Sam bym cię zabił. Starannie zaplanowałem twoją śmierć. Gdy odkryłem, że nie ma cię na pokładzie „Serca Snu”, potrzebowałem niewiele czasu, by ukraść szalupę i trafić na twój ślad. A

teraz będę musiał pomścić twe żałosne truchło. Tak każe honor naszej krwi i Cytadeli Burz.

– A zatem Septimus zostanie Osiemdziesiątym Drugim Władcą – powiedział Tertius.

– Jest takie przysłowie, ostrzegające przed zbyt szybkim dokonywaniem podziałów skóry pewnego dużego drapieżnika – zauważył Kwintus.

Septimus odszedł na bok, wysikał się pod szarym głazem i wrócił do zwłok Primusa.

– Gdybym to ja cię zabił, mógłbym cię tu zostawić – rzekł. – Ale przyjemność ta przypadła innemu, zabiorę cię więc ze sobą i zostawię na wysokiej turni, na żer orłom. – Stękając z wysiłku, dźwignął lepkie od krwi ciało i zarzucił je na grzbiet kuca. Potem pomajstrował przy pasie nieboszczyka, odczepiając od niego sakiewkę z kamieniami runicznymi. – Dziękuję ci za nie, mój bracie – rzekł i poklepał zwłoki po plecach.

– Obyś się nimi udławił, jeśli nie pomścisz mojej śmierci na suce, która podcięła mi gardło – odparł Primus głosem górskich ptaków, witających śpiewem nadejście nowego dnia.

*

Siedzieli obok siebie na grubym, białym cumulusie wielkości niedużego miasta. Chmura pod nimi była miękka i dość chłodna. Im bardziej się w nią zagłębiało, tym zimniejsza się stawała, toteż Tristran wepchnął oparzoną dłoń, jak najgłębiej zdołał. Chmura stawiła niewielki opór, potem jednak ustąpiła. Jej wnętrze było zimne i gąbczaste, jednocześnie prawdziwe i niematerialne. Dotyk chmury złagodził nieco ból w dłoni, pozwalając Tristranowi myśleć.

– No tak – rzekł po dłuższej chwili. – Obawiam się, że zupełnie sknociłem sprawę.

Gwiazda siedziała obok niego, odziana w szlafrok pożyczony od kobiety w gospodzie. Złamaną nogę wyciągnęła przed siebie, opierając ją na gęstej mgle.

– Uratowałeś mi życie – powiedziała w końcu. – Prawda?

– Owszem, chyba tak.

– Nienawidzę cię – rzekła. – Już wcześniej nienawidziłam cię za wszystko, ale teraz nienawidzę cię jeszcze mocniej.

Tristran poruszył oparzoną dłonią, błogosławiąc chłód chmury. Był zmęczony. Kręciło mu się w głowie.

– Masz jakiś szczególny powód?

– Tak – odparła. W jej głosie wyczuł napięcie. – Teraz, gdy ocaliłeś mi życie, według prawa mojego ludu odpowiadasz za mnie, a ja za ciebie. Tam, gdzie ty pójdziesz, ja także muszę iść.

– Aha – rzekł. – To chyba nie takie złe?

– Wolałabym spędzić resztę życia przykuta do sparszywiałego wilka, cuchnącego wieprza albo bagiennego goblina – odparła sucho.

– Naprawdę nie jestem taki zły. Nie, kiedy lepiej mnie poznasz. Przykro mi za ten łańcuch, i w ogóle. Może moglibyśmy zacząć wszystko od nowa i udawać, że nic takiego się nie stało? Proszę. Nazywam się Tristran Thorn. Miło mi cię poznać. – Wyciągnął ku niej zdrową rękę.

– Broń mnie matko księżycu! – prychnęła gwiazda. – Prędzej uścisnęłabym rękę...

– Z pewnością, z pewnością – przerwał jej Tristran. Wolał nie wiedzieć, do czego paskudnego porówna go tym razem. – Powiedziałem już, że jest mi przykro – dodał. – Zacznijmy od początku. Jestem Tristran Thorn. Miło mi cię poznać.

Westchnęła.

Tu, w górze, powietrze było mroźne i bardzo rozrzedzone, lecz słońce rozgrzewało je, a otaczające Tristrana i gwiazdę chmury przywodziły mu na myśl fantastyczne miasto, nieziemską budowlę. Daleko w dole widział prawdziwy świat: promienie słońca wydobywały z cienia każde maleńkie drzewo i zamieniały kręte rzeki w cienkie, ślimacze szlaki, srebrzystą nić w tkaninie Krainy Czarów.

– I co? – spytał Tristran.

– Niech będzie – mruknęła gwiazda. – Niezły dowcip, prawda? Gdzie ty, tam i ja. Nawet jeśli miałoby mnie to zabić. – Zamieszała dłonią powierzchnię chmury, poruszając gęstą mgłą. Potem przez moment jej palce musnęły dłoń Tristrana. – Siostry nazywały mnie Yvaine – oznajmiła. – Byłam gwiazdą wieczorną.

– Spójrz tylko na mnie i na siebie. Niezła z nas para. Ty ze złamaną nogą, ja z moją ręką.

– Pokaż mi ją.

Wyciągnął dłoń z chłodu chmury. Była bardzo czerwona. W miejscach, gdzie płomienie dotknęły ciała, tworzyły się wielkie pęcherze.

– Boli? – spytała.

– Tak – odparł. – I to bardzo.

– To dobrze – rzekła Yvaine.

– Gdybym nie poparzył ręki, zapewne w tej chwili już byś nie żyła – przypomniał. Miała w sobie dość przyzwoitości, by ze wstydem spuścić wzrok. – Wiesz – dodał, zmieniając temat – zostawiłem w gospodzie tej wariatki moją torbę. Teraz nie mamy już niczego oprócz ubrań na grzbiecie. Zostaliśmy tak, jak stoimy.

– Siedzimy – poprawiła gwiazda.

– Nie mamy wody ani jedzenia. Tkwimy pół mili nad światem i nie możemy zejść. Nie wiemy też, dokąd zmierza

chmura, i oboje jesteśmy ranni. Czy coś przeoczyłem?

– Zapomniałeś o tym, że chmurom zdarza się zrzednąć i rozpłynąć w nicość – dodała Yvaine. – I to dość często. Sama widziałam. Nie przeżyłabym drugiego upadku.

Tristran wzruszył ramionami.

– A zatem – podsumował – raczej nie mamy szans. Ale skoro już tu jesteśmy, równie dobrze możemy się rozejrzeć.

Pomógł Yvaine wstać i oboje przeszli chwiejnie kilka kroków. Potem dziewczyna znów usiadła.

– To nie ma sensu – oznajmiła. – Ty idź się rozejrzeć. Ja zaczekam.

– Obiecujesz? Tym razem nie uciekniesz?

– Przysięgam, na moją matkę księżyc – oznajmiła ze smutkiem Yvaine. – Uratowałeś mi życie.

Tristran musiał się tym zadowolić.

*

Jej włosy były już niemal zupełnie siwe, twarz obrzmiała; wokół oczu, na szyi i w kącikach ust rysowały się zmarszczki. Skóra zupełnie straciła kolor, choć suknia wciąż miała barwę soczystej, krwistej czerwieni. Przez rozdarcie na ramieniu było widać rozległą bliznę: różową i ohydnie opuchniętą. Wiatr szarpał jej włosy i smagał kosmykami po twarzy. Czarny powóz przemierzał Ziemię Jałową. Cztery ogiery potykały się często. Z ich boków ściekał pot, z pysków skapywała krwawa piana. Kopyta uderzały o błotnisty szlak, przecinający krainę, gdzie nie rośnie żadna roślina.

Królowa czarownic, najstarsza z Lilim, ściągnęła wodze i zatrzymała powóz obok skały barwy śniedzi, sterczącej niczym cierń z nasiąkniętego wodą gruntu Ziemi Jałowej.

Potem powoli, jak przystało na damę już nie pierwszej ani drugiej młodości, zsunęła się z kozła na mokrą ziemię.

Okrążyła powóz i otworzyła drzwi, z których natychmiast wysunęła się bezwładnie głowa martwego jednorożca. Z oka zwierzęcia wciąż sterczał sztylet. Wiedźma wgramoliła się do środka i otwarła pysk jednorożca. Jego ciało zaczynało już sztywnieć i szczęki stawiły opór. Wiedźma przygryzła mocno język, tak silnie, że całe wnętrze jej ust przeszył sztylet bólu i poczuła smak swej krwi. Przytrzymała ją w ustach, mieszając ze śliną (przednie zęby zaczynały już chwiać się niebezpiecznie). Potem splunęła na plamisty język martwego jednorożca. Jej wargi i podbródek pokryły kropelki krwi. Wymamrotała kilka sylab, których wolimy tu nie powtarzać, po czym zamknęła pysk zwierzęcia.

– Wyłaź z powozu – poleciła.

Sztywno i niezgrabnie jednorożec uniósł głowę. Poruszał nogami niczym świeżo narodzony źrebak bądź sarna ucząca się chodzić. Drżąc cały, dźwignął się z miejsca i ni to wyczołgał, ni to wypadł w błoto przed powozem. Tam powoli wstał. Lewy bok, ten na którym leżał, miał spuchnięty i pociemniały od krwi i płynów. Półślepy, martwy jednorożec, potykając się, ruszył ku zielonej skalnej iglicy. A kiedy dotarł do zagłębienia w gruncie u jej podnóża, osunął się na kolana w upiornej parodii modlitwy.

Królowa czarownic wyszarpnęła nóż z oczodołu zwierzęcia i jednym ruchem przesunęła ostrzem po jego gardle. Z rany zaczęła sączyć się krew: wolno, zbyt wolno. Wiedźma wróciła do powozu i przyniosła tasak. Zaczęła rąbać kark jednorożca, póki nie przecięła go zupełnie. Odrąbana głowa potoczyła się na dno zagłębienia, które szybko wypełniała ciemnoczerwona, słonawa krew.

Czarownica chwyciła głowę za róg i położyła ją na skale obok ciała. Potem zajrzała w głąb czerwonej kałuży. Z jej

powierzchni spojrzały na nią dwie twarze: dwie kobiety, z wyglądu znacznie starsze niż ona.

– Gdzie ona jest? – spytała gderliwie pierwsza. – Co z nią zrobiłaś?

– Spójrz tylko na siebie! – dodała druga Lilim. – Zabrałaś resztę zaoszczędzonej przez nas młodości – sama wydarłam ją z piersi gwiazdy dawno, dawno temu, choć krzyczała, szarpała się i wrzeszczała. Na oko sądząc, zmarnowałaś już większość z niej.

– Byłam tak blisko – westchnęła czarownica do swych sióstr w kałuży. – Ale chronił ją jednorożec. Teraz mam jego głowę i przywiozę ją ze sobą, bo dawno już nie miałyśmy wśród zapasów świeżo mielonego rogu jednorożca.

– Niech czarci porwą róg jednorożca! – przerwała jej najmłodsza z sióstr. – Co z gwiazdą?

– Nie mogę jej znaleźć. Zupełnie jakby nie przebywała już w Krainie Czarów.

Zapadła cisza.

– Nie – rzekła jedna z sióstr. – Wciąż jest w Krainie Czarów, ale zmierza na jarmark w Murze. To zbyt blisko świata po drugiej stronie. Gdy raz się w nim znajdzie, stracisz ją na zawsze.

Wiedziały bowiem, że gdyby gwiazda przeszła na drugą stronę muru, do świata, w którym rzeczy są takie, jakimi się wydają, natychmiast stałaby się ciężką bryłą metalicznej skały, która niegdyś spadła z nieba, zimną, martwą i całkowicie bezużyteczną.

– A zatem udam się do Kanału Kopacza i zaczekam tam, bo wszyscy, którzy zmierzają do Muru, muszą tamtędy przejechać.

Z kałuży spojrzały na nią z dezaprobatą odbicia dwóch starych kobiet. Królowa czarownic przesunęła językiem po zębach (sądząc z tego, jak się kiwa, ten z przodu wypadnie

jeszcze dzisiaj, pomyślała), po czym splunęła w krwawą kałużę. Czerwona tafla zafalowała i twarze Lilim zniknęły z niej bez śladu. Teraz odbijała tylko niebo nad Ziemią Jałową i wiszące w górze maleńkie, białe chmury.

Wiedźma kopnęła bezgłowe ciało jednorożca tak, że przewróciło się na bok. Potem uniosła głowę i ruszyła do powozu. Umieściła ją obok siebie na koźle, ujęła w dłoń lejce i podcięła batem narowiste konie, zmuszając je do kłusa.

*

Tristran siedział na czubku wieży z chmur, zastanawiając się, czemu żaden z bohaterów powieści przygodowych, które kiedyś namiętnie czytywał, nigdy nie czuł głodu. Burczało mu w brzuchu, a ręka okropnie bolała.

Owszem, przygody mają swoje zalety, pomyślał, ale nie należy lekceważyć regularnych posiłków i braku bólu.

Mimo wszystko wciąż żył. Wiatr rozwiewał mu włosy. Chmura pędziła po niebie niczym galeon pod pełnymi żaglami. I kiedy tak patrzył z góry na świat, czuł się żywy jak jeszcze nigdy dotąd. Niebo było bardziej niebiańskie i niebieskie; świat w dole bardziej rzeczywisty.

Tristran zrozumiał, że w jakiś sposób znalazł się nie tylko ponad ziemią, ale i nad wszelkimi problemami. Ból dłoni odszedł gdzieś w niebyt. A kiedy pomyślał o swym postępowaniu, przygodach i czekającej go podróży, wszystko to wydało się Tristranowi nagle bardzo małe i bardzo proste. Stanął na iglicy chmury i, jak najgłośniej potrafił, krzyknął kilka razy:

– Halo!

Pomachał nawet nad głową tuniką, choć czuł się przy tym nieco głupio. Potem zsunął się w dół. Gdy od

powierzchni chmury dzieliło go dziesięć stóp, potknął się i wpadł w miękką mgłę.

– Czemu krzyczałeś? – spytała Yvaine.

– Żeby dać znać ludziom, że tu jesteśmy – wyjaśnił Tristran.

– Jakim ludziom?

– Nigdy nie wiadomo. Lepiej, żebym pokrzyczał trochę do ludzi, których tu nie ma, niż żeby ci ludzie nie dostrzegli nas, bo się nie odezwałem.

Gwiazda nie odpowiedziała.

– Tak sobie myślałem – ciągnął Tristran – i wymyśliłem co następuje: Kiedy załatwimy już moje sprawy – wrócimy razem do Muru, gdzie dam cię Victorii Forester – może zajmiemy się twoimi?

– Moimi?

– Chcesz przecież wrócić na niebo, żeby znów świecić w nocy, prawda? Powinniśmy to załatwić.

Uniosła wzrok i potrząsnęła głową.

– To się nie zdarza – wyjaśniła. – Gwiazdy spadają. Nigdy nie wracają na górę.

– Mogłabyś być pierwsza. Musisz w to wierzyć. W przeciwnym razie nigdy do tego nie dojdzie.

– I tak nie dojdzie – odparła. – A twoje krzyki nie przyciągną niczyjej uwagi, bo tu w górze nikogo nie ma. Nieważne, czy będę w to wierzyć, czy nie. Tak po prostu jest. Jak twoja ręka?

Wzruszył ramionami.

– Boli – rzekł. – A twoja noga?

– Boli – odparła – ale nie tak bardzo jak przedtem.

– Ahoj! – usłyszeli nagle czyjś głos dobiegający z góry. – Hej, tam w dole! Ktoś tu potrzebuje pomocy?

Głos dobiegał z niewielkiego statku, połyskującego złociście w słońcu pod wydętymi żaglami. Znad burty wychylała się rumiana, wąsata twarz.

– Czy to aby nie ty, mój młodzieńcze, podskakiwałeś i machałeś przed chwilą?

– Owszem – przyznał Tristran – i chyba rzeczywiście potrzebujemy pomocy.

– Dobra nasza – powiedział mężczyzna. – Zatem łapcie drabinkę.

– Moja towarzyszka złamała nogę, a ja zraniłem się w rękę. Obawiam się, że żadne z nas nie zdoła wspiąć się po drabinie.

– Żaden problem. Możemy was wciągnąć.

Nieznajomy przerzucił przez burtę długą sznurową drabinkę. Tristran złapał ją zdrową ręką i przytrzymał, pozwalając Yvaine wciągnąć ciało na szczebel. Następnie zawisł tuż pod nią. Wyglądająca ze statku twarz zniknęła. Tristran i Yvaine dyndali ciężko na końcu sznurowej drabinki.

Wiatr wypełnił żagle powietrznego okrętu i drabinka uniosła się z chmury. Tristran i Yvaine zaczęli powoli wirować w powietrzu.

– A teraz ciągnąć! – usłyszeli chóralny okrzyk i Tristran poczuł, że wznoszą się o kilka stóp. – Raz, raz, raz! – Z każdym krzykiem unosili się coraz wyżej. Chmura, na której przed chwilą siedzieli, została w dole i teraz od ziemi dzieliła ich co najmniej mila. Tristran kurczowo trzymał się liny. Zgiętą, oparzoną rękę przewiesił przez szczebel.

Kolejne szarpnięcie w górę i Yvaine zrównała się z krawędzią burty. Ktoś dźwignął ją ostrożnie i postawił na pokładzie. Tristran sam wgramolił się do środka i osunął na dębowe deski.

Rumiany mężczyzna wyciągnął dłoń.

– Witam na pokładzie – rzekł. – To wolny statek „Perdita”, łowiący błyskawice. Kapitan Johannes Alberic, do usług. – Odkaszlnął. Po chwili, nim Tristran zdążył cokolwiek rzec, kapitan dostrzegł jego lewą dłoń i krzyknął: – Meggot! Meggot! Meggot! Do diaska, gdzie jesteś?! Chodź tu! Pasażerowie potrzebują pomocy! Spokojnie, chłopcze, Meggot zajmie się twoją dłonią. Jemy po szóstym dzwonku. Zapraszam do mego stołu.

Wkrótce nerwowa kobieta, której głowę pokrywała burza marchewkowoczerwonych włosów – Meggot – prowadziła go już pod pokład i smarowała mu dłoń gęstą, zieloną maścią, chłodzącą i łagodzącą ból. Potem znaleźli się w mesie, małej jadalni obok kuchni (Tristran z zachwytem odkrył, że członkowie załogi nazywają ją „kubrykiem”, dokładnie tak jak w powieściach).

Rzeczywiście zasiadł przy kapitańskim stole, choć w istocie w mesie nie było żadnego innego. Oprócz kapitana i Meggot załoga składała się z piątki różnorodnych ludzi, którzy chętnie pozostawili rozmowy w gestii kapitana. On zaś gadał, wymachując trzymanym w ręku kuflem, podczas gdy druga dłoń na zmianę dzierżyła krótką fajkę bądź podnosiła do ust jedzenie.

Na obiad podano gęstą zupę jarzynową z kaszą perłową, która przyjemnie rozgrzewała i napełniała żołądek. Do picia była woda: najczystsza, najzimniejsza woda, jakiej zdarzyło się Tristranowi skosztować.

Kapitan nie pytał, jakim cudem znaleźli się wysoko w chmurach, a oni także nie poruszali tego tematu. Tristran dzielił kajutę z Dziwakiem, pierwszym oficerem, spokojnym starszym panem o szerokich barach, który okropnie się jąkał. Yvaine zajęła koję w kabinie Meggot, podczas gdy sama Meggot przeniosła się na hamak.

Podczas dalszych podróży po Krainie Czarów Tristran często wracał pamięcią do dni spędzonych na pokładzie

„Perdity” jako jednego z najszczęśliwszych okresów swego życia. Załoga pozwalała mu pomagać przy żaglach; od czasu do czasu dopuszczali go nawet do steru. Nieraz statek żeglował ponad ciemnymi, burzowymi chmurami, wielkimi jak góry, a marynarze chwytali błyskawice w małą, miedzianą skrzynię. Deszcz i wiatr smagały pokład, a Tristran głośno śmiał się, zachwycony, podczas gdy woda spływała mu po twarzy. Zdrową ręką trzymał się liny, by sztorm nie zrzucił go w otchłań.

Meggot, nieco wyższa i szczuplejsza od Yvaine, pożyczyła jej kilka sukienek. Gwiazda z wdzięcznością przyjęła pożyczkę, ciesząc się szansą odmiany stroju. Mimo złamanej nogi często wdrapywała się na figurę dziobową i siedziała tam godzinami, spoglądając na świat w dole.

*

– Jak tam ręka? – spytał kapitan.

– Znacznie lepiej, dziękuję – odparł Tristran. Skóra na dłoni była błyszcząca i pokryta bliznami, nie odzyskał też jeszcze czucia w palcach, lecz maść Meggot niemal zupełnie ukoiła ból i znacznie przyspieszyła proces gojenia.

Siedział właśnie na pokładzie z nogami przewieszonymi przez burtę i spoglądał w dół.

– Za tydzień rzucamy kotwicę. Musimy uzupełnić zapasy i przyjąć niewielki ładunek. Najlepiej będzie, jeśli wtedy was wysadzimy.

– Ach tak. Dziękuję.

– Znajdziecie się bliżej Muru, choć to wciąż dziesięciotygodniowa podróż, może trochę dłuższa. Lecz Meggot twierdzi, że prawie już wyleczyła nogę twojej przyjaciółki. Wkrótce znów będzie mogła chodzić.

Siedzieli obok siebie. Kapitan pykał z fajeczki; jego ubranie pokrywała cieniutka warstewka popiołu. Kiedy nie palił, żuł ustnik, wyskrobywał resztki tytoniu ostrym, metalowym przedmiotem albo nabijał fajkę od nowa.

– Wiesz – rzekł, spoglądając w dal – fakt, że was znaleźliśmy, to nie do końca szczęście. No, owszem, to było szczęście, ale prawdą jest też, że specjalnie was szukałem. Ja i jeszcze kilku innych.

– Czemu? – spytał Tristran. – Skąd o mnie wiedziałeś?

W odpowiedzi kapitan nakreślił coś palcem na pokrytej warstewką wilgoci lśniącej desce.

– To wygląda jak szachowa wieża – zauważył Tristran.

Kapitan mrugnął do niego.

– Lepiej nie wymawiaj głośno tego słowa – rzekł. – Nawet tutaj. Myśl o tym jak o bractwie.

Tristran spojrzał na niego ze zdumieniem.

– Znasz może małego, włochatego człowieczka w kapeluszu, dźwigającego ogromny wór?

Jego towarzysz postukał fajką w burtę statku. Jednym poruszeniem ręki starł rysunek wieży.

– Tak. To nie jedyny członek bractwa, którego interesuje twój bezpieczny powrót do Muru. Co przypomina mi, że powinieneś powiedzieć swojej młodej damie, że jeśli pragnie uchodzić za kogoś innego, niż jest w istocie, powinna czasem przynajmniej udawać, że coś je.

– Nigdy nie wspominałem przy tobie o Murze – mruknął Tristran. – Gdy spytałeś, skąd przybywam, odpowiedziałem: stamtąd. A kiedy zapytałeś, dokąd zmierzamy, odparłem: tam.

– Właśnie, chłopcze – rzekł kapitan. – Tak trzymać.

Mijał kolejny tydzień. Piątego dnia Meggot oznajmiła, że można już zdjąć opatrunki z nogi Yvaine. Sama rozcięła

zaimprowizowane bandaże i zsunęła łubki. Yvaine zaczęła natychmiast kuśtykać po pokładzie, od dzioba po rufę. Wkrótce już bez trudu krążyła po statku, choć nadal lekko kulała.

Szóstego dnia rozpętała się potężna burza, podczas której zdołali schwytać w miedzianą skrzynię sześć dorodnych błyskawic; siódmego zawinęli do portu. Tristran i Yvaine pożegnali się z załogą wolnego statku „Perdita”. Meggot podarowała Tristranowi niewielki słoik zielonej maści i kazała mu smarować nią poparzoną rękę i nacierać nogę Yvaine. Kapitan dał mu skórzaną torbę pełną suszonych mięs, owoców, kawałków tytoniu, a także nóż i hubkę. („To nic wielkiego, chłopcze, i tak uzupełniamy tu zapasy”). Meggot wręczyła Yvaine niebieską, jedwabną suknię wyszywaną w maleńkie srebrne gwiazdy i księżyce („Ty wyglądasz w niej znacznie lepiej niż ja, moja droga”).

Statek zacumował obok tuzina podobnych mu powietrznych okrętów u wierzchołka olbrzymiego drzewa, dostatecznie wielkiego, by pomieścić w swym pniu setki domostw. Zamieszkiwali je ludzie i krasnale, skrzaty, leśne duchy i inne jeszcze bardziej niesamowite istoty. Wokół pnia wyryto stopnie i Tristran z gwiazdą zeszli po nich powoli. Tristran ucieszył się, że znów ma pod nogami coś, co tkwi bezpiecznie w twardej ziemi. A przecież, choć nie umiał sam tego wyrazić, jednocześnie czuł dziwny zawód, jakby w chwili, gdy jego stopy dotknęły gruntu, bezpowrotnie utracił coś ulotnego i cudownego.

Dopiero po trzech dniach marszu drzewo portowe zniknęło za horyzontem.

Zmierzali na zachód, w stronę gasnącego słońca. Maszerowali długą, pylistą drogą, sypiali pod żywopłotem. Tristran żywił się owocami i orzechami drzew i krzaków, pił z czystych strumieni. Rzadko spotykali innych wędrowców. Gdy tylko mogli, zatrzymywali się na niewielkich farmach. Tristran pracował tam wieczorami w zamian za strawę i

nocleg na słomie w stodole. Czasami nocowali w wioskach i miasteczkach. Kiedy tylko było ich na to stać, wynajmowali pokój w miejskiej gospodzie, by się umyć, zjeść – czy też, w przypadku gwiazdy, udawać, że je – i przespać w łóżku.

W miasteczku Simcock Pod Wzgórzem Tristran i Yvaine natknęli się na bandę goblinów-werbowników. Spotkanie to mogło zakończyć się nieszczęśliwie i gdyby nie refleks i ostry język Yvaine, Tristran mógłby spędzić resztę swego życia, walcząc w niekończących się goblinich wojnach pod ziemią. W lesie Berinheda Tristran stawił czoło jednemu z wielkich płowych orłów, który zamierzał porwać ich do swego gniazda i nakarmić nimi pisklęta, i nie lękał się niczego, prócz ognia.

W tawernie w Fulkeston Tristran zyskał sobie wielkie uznanie zebranych, recytując „Kubla Chana" Coleridge'a, Psalm 23, przemowę „Cecha litości" z *Kupca Weneckiego* i wiersz o chłopcu stojącym na pokładzie płonącego statku, podczas gdy reszta załogi umknęła. Wszystkie te dzieła musiał wykuć na pamięć w czasach szkolnych i błogosławił teraz panią Cherry za to, że go do tego zmusiła. Wkrótce jednak zorientował się, że mieszkańcy Fulkeston postanowili, że już go nie wypuszczą i zostanie ich bardem; Tristran i Yvaine musieli wymknąć się z miasta w środku nocy. Ucieczka powiodła się tylko dlatego, że Yvaine zdołała (Tristran nigdy nie dowiedział się, jak tego dokonała) przekonać miejskie psy, by nie szczekały.

Słońce spaliło twarz Tristrana na kolor ciemnego brązu. Jego ubranie spłowiało, nabierając odcienia pyłu i rdzy. Yvaine pozostała blada jak księżyc w pełni i mimo przebytych mil wciąż kulała.

Pewnego wieczoru, gdy obozowali na skraju rozległej puszczy, Tristran usłyszał coś, czego nie słyszał nigdy wcześniej: piękną melodię, przejmującą i niezwykłą. Napełniła jego głowę wizjami, a serce podziwem i radością. Niosła obrazy bezkresnych przestrzeni, ogromnych,

krystalicznych kul, wirujących nieskończenie wolno w olbrzymich pustych salach. Melodia porwała go i uniosła w dal.

Po jakimś czasie – mogły to być długie godziny bądź zaledwie minuty – pieśń skończyła się i Tristran westchnął.

– To było cudowne – powiedział.

Usta gwiazdy wygięły się w mimowolnym uśmiechu. Jej oczy pojaśniały.

– Dziękuję. Jak dotąd nie byłam chyba w nastroju do śpiewania.

– Nigdy nie słyszałem niczego podobnego.

– Czasami – odparła – siostry i ja śpiewałyśmy całe noce. Pieśni podobne do tej, o naszej matce, o naturze czasu, radościach świecenia i o samotności.

– Przykro mi.

– Niepotrzebnie – odparła. – Przynajmniej wciąż żyję. Miałam szczęście, że spadłam do Krainy Czarów, i chyba miałam też szczęście, że spotkałam ciebie.

– Dziękuję – mruknął Tristran.

– Bardzo proszę – powiedziała gwiazda. Tym razem to ona westchnęła i uniosła wzrok ku widocznemu między drzewami wieczornemu niebu.

*

Tristran szukał śniadania. Na razie znalazł kilka młodych purchawek i śliwę obsypaną fioletowymi owocami, które niemal zupełnie wyschły w słońcu. Nagle dostrzegł przycupniętego w poszyciu ptaka.

Nawet nie próbował go schwytać (kilka tygodni wcześniej przeżył poważny wstrząs, gdy wielki

szarobrązowy zając, który ledwie mu umknął, zatrzymał się pod lasem, spojrzał na niego z pogardą i rzekł: „Cóż, mam nadzieję, że jesteś z siebie zadowolony”, po czym uciekł w wysoką trawę); lecz ptak go zafascynował. Był naprawdę niezwykły. Wielkością dorównywał bażantowi, lecz jego pióra mieniły się wszystkimi kolorami tęczy: ognistą czerwienią, żółcią, jaskrawym błękitem. Wyglądał jak uciekinier z tropików, całkowicie nie na miejscu w tym zielonym, pełnym paproci lesie. Gdy Tristran zbliżył się do niego, spłoszony ptak zatrzepotał skrzydłami, podskoczył niezręcznie i zaczął głośno krzyczeć.

Tristran ukląkł tuż obok niego, mamrocząc coś uspokajająco. Wyciągnął rękę, natychmiast pojmując, co się stało: srebrny łańcuszek przyczepiony do nóżki ptaka zaplątał się w poskręcany kawałek korzenia i ptak utknął, nie mogąc odlecieć.

Tristran starannie rozplątał srebrny łańcuszek, lewą dłonią gładząc nastroszone pióra.

– No, proszę, wracaj do domu.

Ptak nawet nie próbował odlecieć. Zamiast tego wpatrywał mu się prosto w twarz, przekrzywiając głowę.

– Posłuchaj – rzekł Tristran, czując się dziwnie i niezręcznie – ktoś z pewnością się o ciebie martwi. – Wyciągnął rękę, by podnieść ptaka.

I wtedy coś go uderzyło. Potrząsnął głową, na wpół ogłuszony. Czuł się, jakby wpadł z rozpędu na niewidzialną ścianę. Zachwiał się i o mało nie upadł.

– Złodziej! – rozległ się ochrypły, starczy głos. – Zamrożę ci szpik w kościach i upiekę nad ogniskiem! Wydłubię oczy, jedno przywiążę do grzbietu śledzia, a drugie do mewy, tak aby widok morza i nieba wpędził cię w szaleństwo! Zamienię ci język w wijącego się robaka, a palce w brzytwy. Ogniste mrówki będą cię kąsać, a gdy tylko się podrapiesz...

– Nie ma potrzeby ciągnąć tego tematu – uciął szybko Tristran. – Nie ukradłem twojego ptaka. Łańcuszek zaplątał mu się w korzeń. Właśnie go uwolniłem.

Starucha spojrzała na niego podejrzliwie spod zmierzwionych, stalowosiwych włosów. Potem podreptała ku Tristranowi i podniosła ptaka. Szepnęła coś, a ptak odpowiedział dziwnym melodyjnym trelem. Oczy starej kobiety się zwęziły.

– Może rzeczywiście to, co mówisz, nie jest wyłącznie stekiem kłamstw – przyznała z wyraźną niechęcią.

– To w ogóle nie są kłamstwa – zaczął Tristran, lecz niosąca ptaka kobieta zdążyła już odejść w głąb polany. Zebrał zatem purchawki i śliwki i wrócił do miejsca, gdzie zostawił Yvaine.

Dziewczyna siedziała przy ścieżce, rozcierając stopy. Bolało ją biodro, podobnie noga, a stopy stawały się coraz wrażliwsze. Czasami nocą Tristran słyszał cichy płacz gwiazdy. Pragnął, by księżyc zesłał im kolejnego jednorożca, w głębi duszy wiedział jednak, że tak się nie stanie.

– To było dziwne – rzekł i opowiedział jej o swoim spotkaniu z ptakiem, uznawszy, że to koniec przygody.

Oczywiście się mylił. Kilka godzin później Tristran i gwiazda maszerowali ścieżką, gdy nagle wyprzedził ich kolorowy wóz, ciągnięty przez dwa szare muły. Powoziła nimi kobieta, która wcześniej groziła, że zamrozi mu szpik w kościach. Na ich widok ściągnęła wodze i skinęła kościstym palcem.

– Podejdź tu, chłopcze – poleciła.

Tristran zbliżył się ostrożnie.

– Tak, proszę pani?

– Wygląda na to, że winna ci jestem przeprosiny. Najwyraźniej mówiłeś prawdę. Wyciągnęłam pochopne

wnioski.

– Owszem – przytaknął Tristran.

– Pozwól, niech cię obejrzę. – Starucha zsunęła się z kozła. Zimnym palcem dotknęła miękkiego miejsca pod brodą Tristrana, unosząc mu głowę. Orzechowe oczy chłopaka spojrzały wprost w stare, zielone źrenice. – Wyglądasz na uczciwego – oznajmiła. – Możesz mi mówić madame Semele. Jadę właśnie do Muru na jarmark i pomyślałam, że chętnie zatrudniłabym chłopca, by zajął się kramem z kwiatami. Musisz wiedzieć, że sprzedaję szklane kwiaty, najpiękniejsze, jakie kiedykolwiek widziałeś. Świetnie nadajesz się na kramarza. Moglibyśmy ukryć twą rękę w rękawicy, żebyś nie przestraszył klientów. Co ty na to?

Tristran zastanawiał się przez chwilę.

– Przepraszam – rzekł i poszedł naradzić się z Yvaine. Razem wrócili do starej kobiety.

– Dzień dobry – powiedziała gwiazda. – Rozmawialiśmy o pani propozycji i pomyśleliśmy, że...

– I co? – spytała madame Semele, patrząc wyłącznie na Tristrana. – Nie stój jak pień. Mów, mów!

– Nie mogę pracować dla ciebie na jarmarku, bo muszę tam załatwić własne sprawy. Gdybyś jednak zechciała nas podwieźć, wraz z towarzyszką chętnie ci zapłacimy.

Madame Semele potrząsnęła głową.

– To na nic. Sama potrafię zebrać drwa na ogień. Stanowiłbyś tylko dodatkowy ciężar dla Niewiary i Beznadziei. Nie zabieram pasażerów. – Z powrotem wdrapała się na kozioł.

– Ale ja ci zapłacę – przypomniał Tristran.

Wiedźma zachichotała wzgardliwie.

– Nie masz niczego, co mogłabym przyjąć jako zapłatę. Skoro nie chcesz pracować dla mnie na jarmarku, odejdź.

Tristran sięgnął do dziurki w kaftanie i wyczuł go palcami – zimny i doskonały, jak wtedy gdy ruszał w drogę. Wyciągnął go i pokazał kobiecie.

– Mówisz, że sprzedajesz szklane kwiaty. Może ten by cię zainteresował?

To był przebiśnieg, zrobiony z zielonego i białego szkła, doskonale ukształtowany. Wyglądał, jakby o świcie zerwano go z łąki; jego płatki wciąż zwilżała rosa. Starucha przyglądała mu się, mrużąc oczy. Mierzyła wzrokiem zielone listki i drobne, białe płatki. Potem wrzasnęła. Przypominało to rozpaczliwy okrzyk zawiedzionego drapieżnego ptaka.

– Skąd to masz?! – wychrypiała. – Daj mi go! Daj mi w tej chwili!

Tristran zacisnął palce wokół kwiatu, ukrywając go w dłoni, i cofnął się kilka kroków.

– Hmm – powiedział głośno. – W gruncie rzeczy bardzo lubię ten kwiat. Był on darem od mego ojca, gdy wyruszyłem w drogę. Podejrzewam, że ma ogromną wartość jako pamiątka. Niewątpliwie w ostatecznym rozrachunku przyniósł mi szczęście. Lepiej będzie, jeśli go sobie zatrzymam i wraz z towarzyszką sami powędrujemy do Muru.

Madame Semele sprawiała wrażenie rozdartej; nie wiedziała, czy ma grozić, czy się przymilać, i uczucia te odbijały się na jej twarzy jak na dłoni. Przez chwilę niemal drżała z wysiłku, próbując je ukryć. Potem jednak pozbierała się do kupy i rzekła, starając się zapanować nad głosem:

– Zaraz, zaraz, po co ten pośpiech? Z pewnością dojdziemy do porozumienia.

– Wątpię – odparł Tristran. – Interesowałoby mnie bardzo dokładne porozumienie. Potrzebowałbym też

gwarancji i obietnic, zapewnień o uczciwości i dobrego traktowania mnie i mojej towarzyszki.

– Pokaż mi przebiśnieg – błagała starucha.

Z otwartych drzwi wozu wyleciał kolorowy ptak, ciągnąc za sobą srebrny łańcuszek. Spojrzał na nich z góry.

– Biedactwo – westchnęła Yvaine. – Cały czas przywiązany. Czemu go nie uwolnisz?

Stara kobieta nie odpowiedziała, całkowicie ignorując towarzyszkę Tristrana. Tak mu się przynajmniej wydało.

– Zawiozę cię do Muru. Przysięgam na mój honor i na prawdziwe imię, że w drodze nie uczynię niczego, co mogłoby ci zaszkodzić.

– Nie dopuścisz też, by z powodu twojego zaniedbania, czy braku działania, mnie lub moją towarzyszkę spotkała jakakolwiek krzywda?

– Zgoda.

Tristran zastanowił się przez chwilę. Z całą pewnością jej nie ufał.

– Chcę, żebyś przysięgła, że przybędziemy do Muru w tym samym stanie i postaciach, w jakich jesteśmy teraz, a po drodze zapewnisz nam wikt i opierunek.

Kobieta cmoknęła głośno, po czym skinęła głową. Ponownie zsunęła się na ziemię, charknęła i splunęła. Wskazała palcem krople śliny.

– Teraz ty – poleciła.

Tristran splunął obok. Starucha roztarła stopą obie mokre plamy tak, że złączyły się w jedną.

– Proszę. Umowa to umowa. Daj mi kwiat.

Na jej twarzy malowała się tak widoczna radość i zachłanność, że Tristran zrozumiał, iż mógł wytargować znacznie lepsze warunki. Mimo to jednak oddał kobiecie

kwiat ojca. Wzięła go i jej oblicze rozjaśnił szczerbaty uśmiech.

– Jest chyba nawet ładniejszy niż tamten, który ta przeklętnica oddała niemal dwadzieścia lat temu. Powiedz mi, młody człowieku – spytała, przyglądając się Tristranowi bystrymi, starymi oczyma – czy wiesz, co właściwie nosiłeś w dziurce od guzika?

– To kwiat. Szklany kwiat.

Starucha zaśmiała się głośno i niespodziewanie, tak że Tristran przez moment sądził, iż się dusi.

– To zastygły czar – oznajmiła. – Ma wielką moc. Coś takiego we właściwych rękach może zdziałać prawdziwe cuda. Patrz! – Uniosła przebiśnieg nad głowę, po czym opuściła go powoli, muskając czoło Tristrana.

Przez ułamek sekundy Tristran poczuł się bardzo dziwnie, jakby miast krwi w jego żyłach popłynęła gęsta czarna melasa. Potem otaczający go świat uległ nagłej zmianie. Wszystko stało się ogromne, przytłaczające. Stara kobieta zamieniła się w olbrzymkę. Oczy zasnuła mu mgła. Dwie wielkie ręce opuściły się i podniosły go ostrożnie.

– Mój wóz nie jest największy – powiedziała madame Semele. Jej niski głos huczał w jego uszach niczym grom. – Dotrzymam mojej przysięgi. Nie zrobię ci krzywdy i zapewnię wikt i opierunek w drodze do Muru.

To rzekłszy, wsadziła susła do kieszeni fartucha i wgramoliła się do wozu.

– A co zamierzasz począć ze mną? – spytała Yvaine. Nie zdziwiła się jednak zbytnio, gdy starucha nie odpowiedziała.

Poszła za nią i znalazła się w mrocznym wnętrzu. Wypełniało je jedno pomieszczenie. Przy dłuższej ścianie stała witryna zrobiona ze skóry i sosnowego drewna, podzielona na setki małych wnęk. W jednej z nich, wysłanej

miękkim ostowym puchem, starucha ostrożnie ułożyła przebiśnieg. Naprzeciwko pod oknem stało niewielkie łóżko, a obok potężny kredens.

Madame Semele pochyliła się i z rupieciarni pod łóżkiem wyciągnęła drewnianą klatkę. Wyjęła z kieszeni zaspanego susła, włożyła do klatki, po czym z drewnianej miski zaczerpnęła garść orzechów, jagód i nasion i sypnęła do środka. Klatkę powiesiła na łańcuchu pośrodku wozu.

– Proszę bardzo – rzekła. – Wikt i opierunek.

Yvaine obserwowała to wszystko ciekawie, siedząc na łóżku staruchy.

– Czy nie mylę się – spytała uprzejmie – przypuszczając na podstawie dowodów z pierwszej ręki, a dokładniej tego, że na mnie nie patrzysz i twój wzrok prześlizguje się po mnie, że się nie odzywasz i że zamieniłaś mego towarzysza w małe zwierzę, mną nie zaprzątając sobie głowy, iż nie widzisz mnie ani nie słyszysz?

Czarownica nie odpowiedziała. Przeszła na przód wozu, usiadła na koźle i ujęła wodze. Egzotyczny ptak podskoczył, usiadł obok niej i zaświergotał pytająco.

– Oczywiście, że dotrzymam słowa, co do litery – powiedziała starucha, jakby odpowiadając na pytanie ptaka. – Na łące targowej zamienię go z powrotem. Odzyska swą postać, nim dotrze do Muru. A kiedy już go zamienię, tobie także przywrócę ludzką postać, bo wciąż nie znalazłam lepszej służącej, głupia dziewko. Nie zniosłabym, gdyby plątał mi się pod nogami, węsząc, wypytując i wtykając nos w nie swoje sprawy. No i musiałabym go karmić czymś więcej niż nasionami i orzechami. – Splotła ciasno ręce na piersi i zakołysała się w przód i w tył. – Jeszcze się taki nie urodził, który by mnie przechytrzył. Myślę też, że kwiat tego durnia jest jeszcze lepszy niż ten, który kiedyś przez ciebie straciłam.

Zacmokała głośno i muły ruszyły naprzód leśnym traktem.

Gdy czarownica powoziła, Yvaine odpoczywała na cuchnącym pleśnią łóżku. Wóz trzeszczał i podskakiwał na wybojach, przemierzając puszczę. Kiedy się zatrzymywał, budziła się i wstawała. Gdy czarownica spała, Yvaine siadała na dachu wozu, spoglądając w gwiazdy. Czasami towarzyszył jej ptak wiedźmy. Wówczas głaskała go i zagadywała, ciesząc się, że ktoś przynajmniej dostrzega jej istnienie. Kiedy jednak wiedźma nie spała, ptak całkowicie ją ignorował.

Yvaine opiekowała się także susłem, który spał większość czasu, zwinięty w kłębek z głową między łapkami. Gdy wiedźma zapuszczała się w głąb lasu po opał bądź wodę, dziewczyna otwierała klapkę, głaskała go i przemawiała do niego. Czasami nawet śpiewała mu piosenki, choć nie potrafiła stwierdzić, czy w suśle pozostała jakaś cząstka Tristrana. Zwierzątko patrzyło na nią pogodnymi, sennymi oczkami, lśniącymi niczym krople czarnego tuszu. Jego futerko było miększe niż puch.

Teraz, gdy nie musiała co dzień maszerować, ból w biodrze przestał jej dolegać, a stopy już nie bolały. Wiedziała, że na zawsze pozostanie kulawa, bo Tristran nie był lekarzem i nie potrafił dobrze złożyć złamanej kości, choć starał się, jak umiał. Meggot też to przyznała.

Czasami, bardzo rzadko, spotykali innych wędrowców. Wówczas gwiazda starała się pozostawać w ukryciu. Wkrótce jednak przekonała się, że nawet jeśli ktoś odezwał się do niej w obecności czarownicy albo, jak kiedyś pewien drwal, pokazał ją palcem i spytał madame Semele, kim jest – wiedźma nigdy nie dostrzegała jej obecności i nie słyszała niczego, co wiązałoby się z jej osobą.

I tak mijały tygodnie. Trzęsący się, podskakujący wóz wiedźmy jechał naprzód, wioząc czarownicę, ptaka, susła i

upadłą gwiazdę.

Rozdział dziewiąty

traktujący głównie o wydarzeniach w Kanale Kopacza

Kanał Kopacza to głęboki jar pomiędzy dwoma kredowymi Kopcami – wysokimi, zielonymi wzgórzami, na których cienka warstwa zielonej trawy i rdzawobrązowej ziemi pokrywa wapień. Gleba jest zbyt płytka dla drzew. Z daleka Kanał wygląda niczym wyraźna, biała kredowa krecha na tablicy obitej zielonym aksamitem. Miejscowa legenda głosi, że wykopał go w ciągu jednego dnia i jednej nocy pewien Kopacz, posługując się łopatą, która – dopóki kowal Wayland podczas swej wędrówki z Muru w głąb Krainy Czarów nie przetopił jej i nie przekuł – była niegdyś ostrzem miecza. Są tacy, którzy twierdzą, że miecz ów zwano Flamberge, inni upierają się, że Balmung. Nikt natomiast nie wie, kim był sam Kopacz. Możliwe zresztą, że cała ta legenda to tylko wymysł i bzdura. Tak czy inaczej, szlak do wsi Mur wiódł przez Kanał Kopacza. Każdy wędrowiec, pieszy czy poruszający się pojazdem kołowym, musiał przebyć Kanał, w którym po obu stronach drogi wznosiły się grube, białe, wapienne ściany, a Kopce nad nimi wyglądały niczym zielone poduszki na olbrzymim łożu.

Pośrodku Kanału, obok dróżki widniało coś, co na pierwszy rzut oka wydawało się zaledwie stosem patyków i gałęzi. Po bliższym przyjrzeniu się można było dostrzec, że

w istocie wzniesiono z nich coś pośredniego pomiędzy niewielkim szałasem i dużym drewnianym wigwamem, z dziurą w dachu, przez którą od czasu do czasu sączyła się smużka szarego dymu.

Od dwóch dni człowiek w czerni przyglądał się możliwie najuważniej stosowi patyków. Czynił to z daleka, ze szczytu Kopców, a czasem, kiedy odważył się zaryzykować, także z bliska. Wkrótce ustalił, że w chacie mieszka kobieta, mocno posunięta w latach. Nie miała żadnych towarzyszy i nie zajmowała się niczym szczególnym, poza zatrzymywaniem wszystkich samotnych podróżnych i pojazdów przejeżdżających przez Kanał i generalnym zabijaniem czasu.

Wyglądała na zupełnie nieszkodliwą, lecz Septimus nie na darmo pozostał jedynym żyjącym męskim potomkiem swej rodziny. Nie ufał pozorom i był pewien, że właśnie ta kobieta poderżnęła Primusowi gardło.

Zasady zemsty były proste: życie za życie. Nie określały, w jaki sposób należy je odebrać. Z temperamentu Septimus był urodzonym trucicielem. Ostrza, ciosy i pułapki znakomicie spełniały swe zadanie, ale flakonik przejrzystego płynu, pozbawionego smaku i zapachu po zmieszaniu z jedzeniem – oto specjalność Septimusa.

Niestety, stara kobieta jadła wyłącznie to, co sama zebrała bądź schwytała, i choć się zastanawiał, czy nie podrzucić jej na próg jeszcze ciepłego ciasta z dojrzałymi jabłkami i śmiercionośnymi, trującymi jagodami, uznał wkrótce ów pomysł za niepraktyczny. Rozważał też możliwość zepchnięcia ze wzgórza wapiennego głazu na jej dom. Nie miał jednak pewności, czy ją trafi. Pożałował, że nie zna się lepiej na magii – dysponował zdolnością lokalizacji, często występującą u nich w rodzinie, znał też kilka drobnych sztuczek, których się nauczył bądź które wykradł przez te wszystkie lata, nic z tego jednak nie mogło mu się teraz przydać. Nie umiał wzywać powodzi,

huraganów ani błyskawic. Septimus obserwował więc swą przyszłą ofiarę, jak kot czuwający przy mysiej norze, godzina za godziną, dniami i nocami.

Minęła północ. Noc była ciemna i bezksiężycowa. Septimus podkradł się bezszelestnie do drzwi domu z patyków; w jednej ręce trzymał garniec z żarem, w drugiej zbiór romantycznych wierszy i gniazdo kosa, w którym ukrył kilkanaście świerkowych szyszek. U pasa kołysała mu się pałka z dębowego drewna, nabijana mosiężnymi ćwiekami. Chwilę podsłuchiwał pod drzwiami. Ze środka dobiegał tylko rytmiczny oddech, któremu od czasu do czasu towarzyszyły ciche stęknięcia. Oczy Septimusa przywykły do ciemności. Widział wyraźnie dom, ciemną sylwetkę na tle białych ścian kanału. Przekradł się za węgieł, nie spuszczając wzroku z drzwi.

Najpierw wydarł kartki z tomiku wierszy. Każdą zgniótł w kulę bądź rożek, który następnie wetknął między patyki w ścianie chaty, na poziomie ziemi. Na każdym wierszu ułożył szyszki. Następnie otworzył garniec, nożem wydłubał z pokrywki kilka nawoskowanych płóciennych skrawków. Przytknął je do rozżarzonego węgla, a gdy zajęły się ogniem, umieścił na papierowych kulach i szyszkach. Kilka razy dmuchnął łagodnie na migotliwy, żółty płomyk. Potem stosiki szyszek zapłonęły na dobre. Septimus wrzucił do maleńkiego ogniska suche gałązki z ptasiego gniazda. Ogień zatrzaskał i zaczął rosnąć, rozkwitać w mroku nocy. Spomiędzy suchych patyków ścian sączył się dym. Septimus zdusił mimowolny kaszel. Potem ściany zajęły się ogniem. Uśmiechnął się.

Pospiesznie wrócił do drzwi chaty, wysoko unosząc drewnianą pałkę. Albowiem, pomyślał rozsądnie, albo wiedźma spłonie wraz z domem i moje zadanie zostanie wykonane, albo też poczuje dym i obudzi się, po czym przerażona i zdenerwowana wybiegnie z domu. Wtedy

rozwalę jej głowę pałką, roztrzaskam czaszkę, nim zdoła powiedzieć choć słowo. Zginie, a ja dokonam zemsty.

– Całkiem niezły plan – odezwał się Tertius pośród trzasków suchego drewna. – A kiedy już ją zabije, będzie mógł odzyskać Moc Burzy.

– Zobaczymy – odparł Primus.

Płomienie lizały ściany małej drewnianej chaty i rozrastały się niczym jaskrawy pomarańczowożółty powój. Nikt nie wybiegł przez drzwi. Wkrótce cały dom zamienił się w ogniste piekło. Septimus musiał cofnąć się kilka kroków przed falą gorąca. Uśmiechnął się szeroko i zwycięsko i opuścił pałkę.

Nagle poczuł ostry ból w pięcie. Obrócił głowę i ujrzał małego jasnookiego węża, szkarłatnego w blasku ognia. Gad zatopił głęboko zęby w skórzanym bucie. Septimus zamierzył się pałką, lecz małe stworzenie wypuściło jego piętę i błyskawicznie odpełzło za jeden z białych, wapiennych głazów.

Ból w pięcie zaczął ustępować. Jeśli wąż był jadowity, myślał Septimus, to większość jadu wsiąkła w skórę buta. Obwiążę nogę w łydce, potem zdejmę but, natnę na krzyż miejsce ukąszenia i wyssę jad. W blasku ognia usiadł na wapiennym głazie i pociągnął za obcas. But nie chciał zejść. Stopa całkowicie zdrętwiała. Septimus zrozumiał, że błyskawicznie puchnie mu noga. A zatem przetnę cholewę, pomyślał. Uniósł stopę na wysokość uda. Przez moment wydało mu się, że świat wokół ciemnieje. Oświetlające Kanał płomienie nagle zniknęły. Przeszył go lodowaty dreszcz.

– Jak widzę – przemówił ktoś za jego plecami, a głos miał miękki jak jedwabny sznur do duszenia, słodki jak trująca pastylka – uznałeś, że ogrzejesz się, podpalając mój domek. Czy czekałeś przy drzwiach, aby zdusić płomienie, w razie gdyby mi się nie spodobały?

Septimus chciał odpowiedzieć, lecz mięśnie jego szczęk zesztywniały, zęby zacisnęły się mocno. Serce waliło mu w piersi niczym maleńki bęben. Nie grało codziennego, powolnego marsza, lecz szaleńczy, chaotyczny taniec. Czuł, jak we wszystkich żyłach i arteriach ciała rozchodzi się ogień – a może krew niosła ze sobą lód? Nie potrafił powiedzieć.

Nagle ujrzał przed sobą starą kobietę. Wyglądała jak starucha z drewnianej chaty, była jednak starsza, znacznie starsza. Septimus próbował mrugnąć, oczyścić załzawione oczy. Zapomniał jednak, jak to się robi. Jego powieki nie chciały opaść.

– Wstydziłbyś się – rzuciła kobieta. – Próba podpalenia i napaść z bronią w ręku. I to na kogo? Na biedną, starszą damę, żyjącą samotnie na łasce wędrownych wagabundów. Zginęłabym, gdyby nie pomoc małych przyjaciół.

Podniosła z białej ziemi coś małego, co owinęło się wokół jej przegubu. Potem wróciła do chaty, jakimś cudem niespalonej bądź odbudowanej – Septimus nie wiedział i zupełnie go to nie obchodziło.

Serce dudniło mu i podskakiwało w piersi. Gdyby mógł krzyczeć, zrobiłby to. Dopiero o świcie ból ustał. Starsi bracia chórem sześciu głosów powitali Septimusa w swym gronie.

Septimus po raz ostatni spojrzał w dół, na skręcone, wciąż ciepłe ciało, które niegdyś zamieszkiwał, na wyraz swych oczu. Potem odwrócił głowę.

– Nie ma już więcej braci, którzy mogliby się zemścić – rzekł głosem kulika o poranku – i żaden z nas nie zostanie już władcą Cytadeli Burz. Ruszajmy.

Gdy skończył mówić, w tym miejscu nie pozostały nawet duchy.

*

Słońce świeciło wysoko na niebie w dniu, gdy wóz madame Semele toczył się, podskakując, przez wapienny jar Kanału Kopacza.

Madame Semele natychmiast zauważyła poczerniałą od sadzy drewnianą szopę przy drodze i, gdy się zbliżyła, zgarbioną staruszkę w wyblakłej, szkarłatnej sukni, machającą do niej ze ścieżki. Włosy kobiety były białe jak śnieg, skóra pomarszczona, jedno oko ślepe.

– Dzień dobry, siostro. Co się stało z twoim domem? – spytała madame Semele.

– Ech, ta dzisiejsza młodzież. Taki jeden uznał, że podpalenie domu biednej, starej kobiety, która nie skrzywdziłaby nawet muchy, to świetna zabawa. No cóż, wkrótce na własnej skórze przekonał się, że to nieprawda.

– O, tak – mruknęła madame Semele. – Oni zawsze w końcu się uczą i nigdy nie są nam wdzięczni za udzielone lekcje.

– Święte słowa – przytaknęła kobieta w wyblakłej, szkarłatnej sukni. – A teraz powiedz mi, kochaniutka, kto dziś z tobą jedzie?

– To nie twój interes, słodziutka – odparła wyniośle madame Semele. Zajmuj się odtąd własnymi sprawami.

– Kto z tobą jedzie? Powiedz prawdę albo wezwę harpie, by rozszarpały cię na sztuki i rozwiesiły twoje szczątki na haku głęboko pod światem.

– Kimże jesteś, by tak mi grozić?

Stara kobieta spojrzała na madame Semele jednym zdrowym i jednym zasnutym bielmem okiem.

– Znam cię, Brudasko Sal. Szybko, bez gadania. Kto z tobą podróżuje?

Madame Semele poczuła, że przemożna siła wydziera jej z ust słowa, których wcale nie miała zamiaru wymówić.

– Dwa muły zaprzęgnięte do wozu, ja sama, służąca zamieniona w dużego ptaka, i młody mężczyzna pod postacią susła.

– Ktoś jeszcze? Coś jeszcze?

– Nikt i nic. Przysięgam na Ligę.

Kobieta przy drodze ściągnęła wargi.

– Ruszaj więc stąd i znikaj – poleciła.

Madame Semele zacmokała, potrząsnęła lejcami i muły ruszyły naprzód.

W mrocznym wnętrzu wozu gwiazda spała spokojnie, nieświadoma, jak blisko otarła się o śmierć i jakie miała szczęście, że jej uniknęła.

Gdy chata z patyków i śmiertelna biel Kanału Kopacza zniknęły im z oczu, egzotyczny ptak podleciał na żerdź, uniósł głowę i zaczął ćwierkać, świergotać i śpiewać, aż w końcu madame Semele zagroziła, że jeśli nie umilknie, skręci mu kretyński kark. Jednakże ptak, skryty bezpiecznie w mroku wozu, wciąż ćwierkał, śmiał się i pogwizdywał, a raz nawet zahukał jak sówka.

*

Gdy dotarli w pobliże Muru, słońce zniżało się już nad zachodnim horyzontem. Świeciło im prosto w oczy, na wpół oślepiając i zamieniając cały świat w płynne złoto. Niebo, drzewa, krzaki, nawet ścieżka w promieniach zachodzącego słońca, wydawały się złote.

Madame Semele zatrzymała wóz na łące, w miejscu gdzie zamierzała postawić kram. Wyprzęgła oba muły i

poprowadziła je do strumienia. Tam uwiązała zwierzęta do drzewa, one zaś zaczęły pić, zachłannie, z zapałem.

Na łące roiło się od innych handlarzy i gości rozstawiających kramy, rozbijających namioty, wieszających na drzewach zasłony. Nastrój oczekiwania udzielał się wszystkim bez wyjątku, zabarwiał ich świat niczym złociste promienie słońca nad zachodnim horyzontem.

Madame Semele podreptała do wozu i zdjęła z łańcucha klatkę. Wyniosła ją na łąkę, postawiła na kopczyku ziemi, porośniętym zieloną trawą, następnie otworzyła drzwiczki i kościstymi palcami chwyciła śpiącego susła.

– Tu wysiadasz – oznajmiła.

Suseł potarł łapkami wilgotne czarne oczka i zamrugał w gasnącym świetle dnia.

Czarownica wyjęła z kieszeni fartucha szklany narcyz i dotknęła nim głowy Tristrana.

Tristran zamrugał sennie, ziewnął, przeczesał dłonią rozczochrane, brązowe włosy i spojrzał na wiedźmę oczami błyszczącymi z wściekłości.

– Ty paskudna starucho… – zaczął.

– Powstrzymaj swój głupi język – rzuciła ostro madame Semele. – Przywiozłam cię tu cało i zdrowo, w tym samym stanie, w jakim cię spotkałam. Zapewniłam ci wikt i opierunek – a jeśli nie były dokładnie takie, jak się spodziewałeś, co mnie to obchodzi? Teraz idź, nim zamienię cię w żałosnego robaka i odgryzę głowę, albo chociaż ogon. Idź już! Sio! Sio!

Tristran policzył do dziesięciu. Potem odwrócił się bezceremonialnie i odszedł. Zatrzymał się kilkanaście kroków dalej, obok kępy drzew, czekając na gwiazdę, która, kuśtykając, zeszła po stopniach wozu i ruszyła za nim.

– Z tobą wszystko w porządku? – spytał, szczerze zatroskany.

– Tak, dziękuję – odparła gwiazda. – Nie traktowała mnie źle. Prawdę mówiąc, nie wierzę, by w ogóle wiedziała, że tam byłam. Czyż to nie osobliwe?

Teraz przed madame Semele usiadł ptak. Czarownica dotknęła puszystej głowy szklanym kwiatem i ptak zamigotał, zmieniając się w młodą kobietę, na oko niewiele starszą od Tristrana, o ciemnych, kręconych włosach i porośniętych futrem kocich uszach. Kobieta zerknęła na Tristrana. W jej fiołkowych oczach było coś niezwykle znajomego, choć Tristran nie potrafił sobie przypomnieć, gdzie już je widział.

– A zatem tak wygląda ptak w swej prawdziwej postaci – mruknęła Yvaine. – Była miłą towarzyszką.

W tym momencie gwiazda zauważyła, że srebrny łańcuszek, więżący ptaka, nie zniknął, gdy ten stał się kobietą. Wciąż połyskiwał wokół jej kostki i przegubu. Yvaine pokazała go Tristranowi.

– Tak – rzekł. – To okropne. Ale boję się, że nic nie możemy z tym zrobić.

Razem przeszli przez łąkę w stronę wyrwy w murze.

– Najpierw odwiedzimy moich rodziców. Nie wątpię, że tęsknili za mną równie mocno, jak ja za nimi. – Prawdę mówiąc, Tristran podczas swych wędrówek w ogóle nie myślał o rodzinie. – Potem zaś złożymy wizytę Victorii Forester i…

Tristran umilkł nagle. Nie potrafił bowiem pogodzić planu podarowania gwiazdy Victorii Forester ze świadomością, że gwiazda nie jest rzeczą, która może przechodzić z rąk do rąk, lecz osobą, prawdziwą pod każdym względem. A przecież naprawdę kochał Victorię Forester.

Cóż, uznał w duchu, nie ma co się martwić na zapas. Jeszcze będzie czas, by spalić za sobą mosty. Na razie zabiorę Yvaine do wioski i zobaczę, co się stanie.

Nagły przypływ animuszu sprawił, że czas spędzony pod postacią susła odszedł w niebyt, pozostawiając mgliste wspomnienie, niczym zwykła drzemka pod kuchennym piecem. Niemal czuł już w ustach smak najlepszego piwa pana Bromiosa, choć z nagłym poczuciem winy uświadomił sobie, że zapomniał, jaki kolor mają oczy Victorii Forester.

Czerwony krąg słońca wisiał tuż nad dachami wioski Mur, gdy Tristran i Yvaine przeszli przez łąkę i spojrzeli na otwór w murze.

Gwiazda się zawahała.

– Naprawdę chcesz to zrobić? – spytała Tristrana. – Coś mnie niepokoi.

– Nie denerwuj się – odparł – choć nie dziwię się twoim obawom. Mnie także żołądek ściska się jak w kleszczach. Kiedy usiądziesz w salonie mojej matki, pijąc herbatę – no, może nie pijąc, ale przynajmniej sącząc – poczujesz się znacznie lepiej. Dla takiego gościa, i aby powitać w domu syna, matka z pewnością wyjmie najlepszy serwis.

Jego dłoń odnalazła rękę dziewczyny i uścisnęła ją pocieszająco.

Gwiazda spojrzała na niego i uśmiechnęła się smutno.

– Gdzie ty, tam… – szepnęła.

Trzymając się za ręce, młody mężczyzna i upadła gwiazda podeszli do furtki w murze.

Rozdział dziesiąty

Gwiezdny pył

Ludzie powiadają często, że równie łatwo jest przeoczyć coś wielkiego i oczywistego, jak zapomnieć o nieważnym drobiazgu, i że owe wielkie przeoczenia często mogą stać się przyczyną poważnych problemów.

Tristran Thorn po raz drugi od chwili swego poczęcia osiemnaście lat wcześniej zbliżył się do wyrwy w murze od strony Krainy Czarów. Obok niego kuśtykała gwiazda. W głowie kręciło mu się od zapachów i dźwięków rodzinnej wioski, serce rosło z każdym krokiem. Uprzejmym skinieniem głowy pozdrowił wartowników, rozpoznając ich obu. Młody chłopak, przestępujący leniwie z nogi na nogę i sączący coś z kuf la – Tristran przypuszczał, że jest to zapewne najlepsze piwo pana Bromiosa – nazywał się Wystan Pippin. Kiedyś razem chodzili do szkoły, choć nigdy się nie przyjaźnili. Natomiast starszy mężczyzna, z irytacją ssący ustnik fajki, która najwyraźniej zgasła, był nikim innym, jak dawnym pracodawcą Tristrana u Mondaya i Browna, Wielce Szanownym Jerome'em Ambrosem Brownem. Obaj wartownicy stali zwróceni plecami do Tristrana i Yvaine i spoglądali wyłącznie w stronę wioski, jakby uważali, że oglądanie przygotowań do jarmarku na łące to co najmniej poważny grzech.

– Dobry wieczór – powiedział uprzejmie Tristran – Wystanie, panie Brown.

Obydwaj mężczyźni wzdrygnęli się. Wystan oblał się piwem, pan Brown uniósł pałkę i nerwowo wycelował ją w pierś Tristrana. Wystan Pippin odstawił kufel, chwycił własny kij i zablokował nim przejście.

– Zostań tam, gdzie jesteś! – warknął pan Brown, wymachując pałką, jakby Tristran był dzikim zwierzęciem, które w każdej chwili może na niego skoczyć.

Tristran roześmiał się.

– Nie poznajecie mnie? To ja, Tristran Thorn.

Lecz pan Brown, który, jak Tristran wiedział, szefował straży, nie opuścił broni. Zmierzył Tristrana uważnym spojrzeniem, od znoszonych brązowych butów po zmierzwioną czuprynę. Potem spojrzał prosto w ogorzałą twarz chłopaka i pociągnął wzgardliwie nosem.

– Nawet jeśli rzeczywiście jesteś tym nicponiem, Thornem, nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy was przepuścić. Ostatecznie pilnujemy muru.

Tristran zdziwił się.

– Ja także pilnowałem muru – przypomniał. – Nie ma przepisu zabraniającego przepuszczać ludzi przychodzących z tej strony. Tylko z wioski.

Pan Brown skinął powoli głową. Potem rzekł, tonem zarezerwowanym dla dzieci i idiotów:

– Jeśli nawet założymy chwilowo, że rzeczywiście jesteś Tristranem Thornem – choć trudno mi w to uwierzyć, bo wyglądasz zupełnie inaczej, a i nie mówisz podobnie – przez wszystkie lata, które tu spędziłeś, ilu ludzi przeszło przez mur od strony łąki?

– Z tego, co wiem, żaden – przyznał Tristran.

Pan Brown uśmiechnął się. Był to ten sam uśmiech, który pojawiał się na jego twarzy, gdy pozbawiał Tristrana

porannych zarobków za pięciominutowe spóźnienie.

– Nie ma takiego zakazu, bo to się nie zdarza. Nikt nie przychodzi z tamtej strony, a już na pewno nie na mojej warcie. Znikaj stąd, zanim oberwiesz pałką w głowę.

Przez moment Tristran nie wiedział co rzec.

– Jeśli sądzisz, że przeszedłem przez, no... wszystko, przez co przeszedłem, tylko po to, by w ostatniej chwili zawrócił mnie nadęty liczykrupa i ktoś, kto ściągał ode mnie na historii... – zaczął, lecz Yvaine dotknęła jego ramienia.

– Tristranie, daj spokój. Nie będziesz się bił ze swoimi.

Tristran nie odpowiedział. Bez słowa odwrócił się na pięcie i razem wrócili na łąkę. Wokół nich zbieranina istot i ludzi rozkładała kramy, wieszała flagi, pchała przed sobą taczki. I nagle Tristrana ogarnęła dziwna tęsknota, złożona w równych częściach z nostalgii i rozpaczy, zrozumiał bowiem, że równie dobrze to mógłby być jego lud. Czuł się z nim bardziej związany niż z bladymi mieszkańcami Muru, w ich wełnianych kurtach i podkutych buciorach.

Zatrzymali się, patrząc, jak niska kobieta, niemal równie szeroka jak wysoka, krząta się przy swym kramie. Tristran, nieproszony, podszedł i zaczął jej pomagać, dźwigając ciężkie pudła z wozu, wdrapując się na wysoką drabinę, by rozwiesić na gałęziach proporce, rozpakowując ciężkie, szklane karafki i dzbany (wszystkie, bez wyjątku, zatkane dużymi poczerniałymi korkami, zapieczętowane srebrzystym woskiem i pełne ciężkiego kolorowego dymu) i rozstawiając je na półkach. Podczas gdy pracował u boku kobiety, Yvaine przysiadła na pobliskim pniaku i zaczęła im śpiewać cichym, czystym głosem pieśni odległych gwiazd i piosenki ludzi, zasłyszane od spotkanych po drodze wędrowców.

Gdy Tristran i niska kobieta skończyli pracę i kram był gotowy na przyjęcie klientów, wokół zapalono już lampy.

Kobieta uparła się, że ich nakarmi. Yvaine z trudem zdołała ją przekonać, że nie jest głodna, lecz Tristran z entuzjazmem pochłonął wszystko, co mu dała, i z nietypowym dla siebie zapałem wypił niemal całą karafkę słodkiego, żółtego wina, upierając się, że nie jest wcale mocniejsze niż świeży sok z winogron i że zupełnie na niego nie działa. Kiedy jednak kobieta zaproponowała im miejsce na nocleg na polance za wozem, Tristran skorzystał z niego natychmiast i zapadł w głęboki pijacki sen.

Była zimna, pogodna noc. Gwiazda usiadła obok śpiącego mężczyzny, który niegdyś ją schwytał, a później stał się bliskim towarzyszem podróży. Zastanawiała się, gdzie się podziała jej nienawiść. Nie czuła senności.

Trawa za jej plecami zaszeleściła i obok stanęła ciemnowłosa kobieta. Razem spojrzały na Tristrana.

– Wciąż jest w nim coś z susła – powiedziała nieznajoma. Uszy miała kocie, spiczaste. Wyglądała na niewiele starszą od Tristrana. – Czasem zastanawiam się, czy ona naprawdę zamienia ludzi w zwierzęta, czy też raczej odnajduje ukryte w nich zwierzę i je uwalnia. Może jest we mnie coś, co z natury przypomina jaskrawo upierzonego ptaka? Często się nad tym zastanawiam, ale nie doszłam do żadnych wniosków.

Tristran wymamrotał coś niewyraźnie i przekręcił się z boku na bok. Potem zaczął cicho chrapać.

Kobieta okrążyła go i usiadła obok.

– Ma chyba dobre serce – rzekła.

– Tak – przyznała gwiazda. – Chyba tak.

– Powinnam cię ostrzec – powiedziała kobieta – że jeśli opuścisz tę krainę i przejdziesz tam… – gestem smukłej ręki, wokół przegubu której migotał srebrny łańcuszek, wskazała wioskę Mur – natychmiast zmienisz się w to, czym byłabyś w tamtym świecie: zimny, martwy kamień z nieba.

Gwiazda zadrżała, nie odpowiedziała jednak. Wyciągnęła jedynie rękę ponad śpiącym Tristranem i musnęła palcami srebrny łańcuszek, opasujący przegub i kostkę kobiety i znikający w krzakach.

– Z czasem można do tego przywyknąć – stwierdziła tamta.

– Naprawdę?

Fiołkowe oczy spojrzały w oczy niebieskie. Kobieta odwróciła wzrok.

– Nie.

Gwiazda puściła łańcuszek.

– Kiedyś związał mnie łańcuchem podobnym do twojego. Potem mnie uwolnił, a ja uciekłam. On jednak znalazł mnie i przywiązał do siebie wdzięcznością, która więzi takich jak ja mocniej niż jakiekolwiek kajdany świata.

Kwietniowy wietrzyk powiał przez łąkę. Chłodny podmuch poruszył gałęziami krzaków i drzew. Kobieta o kocich uszach odrzuciła z twarzy kręcone włosy.

– Masz jednak także wcześniejsze zobowiązanie, prawda? Nosisz przy sobie coś, co do ciebie nie należy i co musisz oddać prawowitemu właścicielowi.

Usta gwiazdy zacisnęły się mocno.

– Kim jesteś? – spytała.

– Już mówiłam. Byłam ptakiem w wozie – odparła tamta. – Wiem, czym ty jesteś, i wiem, dlaczego czarownica nie dostrzegała twojej obecności. Wiem, kto cię szuka i po co. Znam też pochodzenie topazu, który nosisz u pasa na srebrnym łańcuchu. Ponieważ wiem to wszystko, znam też obowiązek, który na tobie spoczywa.

Nachyliła się i delikatnym gestem czule odgarnęła włosy z twarzy Tristrana. Śpiący młodzieniec nawet nie drgnął.

– Chyba ci nie wierzę i nie ufam – oznajmiła gwiazda.

Nocny ptak krzyknął głośno z drzewa nad ich głowami. W jego głosie dźwięczała przejmująca samotność.

– Gdy byłam ptakiem, zobaczyłam topaz u twego pasa. – Kobieta wstała. – Obserwowałam cię podczas kąpieli w rzece i natychmiast go rozpoznałam.

– Jak? – spytała gwiazda. – Jak go rozpoznałaś?

Ciemnowłosa kobieta jedynie potrząsnęła głową i odeszła tam, skąd przybyła. Po raz ostatni obejrzała się przez ramię na śpiącego chłopaka, a potem pochłonęła ją ciemność.

Włosy Tristrana ponownie opadły na twarz. Gwiazda pochyliła się i łagodnie odsunęła je na bok. Czubkami palców pogładziła policzek towarzysza. Tristran spał.

*

Obudził się niedługo po wschodzie słońca. Ściślej mówiąc, obudził go duży borsuk, maszerujący na tylnych łapkach, odziany w wyświecony szlafrok z zielonego jedwabiu. Zaczął prychać mu nad uchem, aż w końcu Tristran otworzył zaspane oczy.

– Nazwisko Thorn? – spytał wyniośle borsuk. – Tristran tegoż miana?

– Hmm? – spytał Tristran. W ustach mu zaschło, czuł w nich ohydny smak. Chętnie pospałby jeszcze kilka godzin.

– Pytali o ciebie – oznajmił borsuk. – Przy murze. Jakaś młoda dama chce zamienić z tobą słówko.

Tristran usiadł na trawie i uśmiechnął się szeroko. Dotknął lekko ramienia śpiącej gwiazdy, która otwarła zaspane niebieskie oczy.

– Co się stało?

– Mam dobre wieści – oznajmił. – Pamiętasz Victorię Forester? Chyba wspomniałem o niej raz czy dwa podczas naszej wędrówki.

– Tak – odparła. – Chyba wspomniałeś.

– Idę się z nią spotkać – oznajmił. – Czeka przy przejściu. – Urwał na chwilę. – Posłuchaj. No cóż, chyba lepiej będzie, jeśli tu zostaniesz. Nie chciałbym, żeby coś sobie pomyślała, czy coś takiego.

Gwiazda przekręciła się na drugi bok i bez słowa przykryła głowę przedramieniem. Tristran uznał, że znów zasnęła. Naciągnął buty, umył twarz i przepłukał usta w strumieniu, po czym popędził przez łąkę w stronę wioski.

Tego ranka przy murze straż pełnili: wielebny Myles, wikary i pan Bromios, właściciel gospody. Między nimi stała młoda panna, odwrócona plecami do wyrwy.

– Victoria! – krzyknął radośnie Tristran.

Wtedy jednak dziewczyna odwróciła się i ujrzał, że to nie jest Victoria Forester (która, jak przypomniał sobie nagle z ogromną radością, miała szare oczy. Tak, właśnie szare. Jak mógł o tym zapomnieć?). Nie potrafił orzec, kim jest młoda panna w eleganckim czepku i szalu, jednak na jego widok do jej oczu napłynęły łzy.

– Tristran! – westchnęła. – To naprawdę ty, tak jak mówili. Och, Tristranie, jak mogłeś? Jak mogłeś?

W tym momencie pojął, kim musi być dziewczyna.

– Louisa? Jak ty wyrosłaś! Przez ten czas, gdy mnie nie było, z małej dziewczynki zmieniłaś się w piękną pannę.

Louisa chlipnęła i wytarła nos w wydobytą z rękawa koronkową płócienną chusteczkę.

– A ty – odparła, ocierając mokre policzki – wyglądasz teraz jak kudłaty, obdarty Cygan. Wydajesz się jednak zdrowy i zadowolony. To dobrze. Chodź. – Niecierpliwym gestem wezwała go do siebie.

– Ale mur... – zaczął, nerwowo zerkając na karczmarza i wikarego.

– Tym się nie przejmuj. Gdy wczoraj wieczorem pan Brown i Wystan skończyli służbę, poszli „Pod Siódmą Srokę”. Tam Wystan wspomniał o spotkaniu z obdartusem, twierdzącym, że jest tobą, i o tym jak zagrodzili mu drogę. Kiedy ta wieść dotarła do uszu ojca, natychmiast pomaszerował „Pod Srokę” i tak okrutnie złajał i zrugał ich obu, że nie mogłam uwierzyć własnym uszom.

– Niektórzy z nas chcieli przepuścić cię już dziś rano – wtrącił wikary. – Inni głosowali, by zatrzymać cię tu do południa.

– Lecz nikt ze zwolenników czekania nie pełni dziś warty przy murze – dodał pan Bromios. – Co zresztą wymagało nie lada dyplomacji, i to w dniu, kiedy powinienem siedzieć w namiocie z napojami. Mimo wszystko jednak, dobrze cię widzieć. Przechodź.

Wyciągnął rękę. Tristran uścisnął ją z entuzjazmem. Następnie to samo uczynił z dłonią wikarego.

– Tristranie – rzekł wielebny – przypuszczam, że w swych wędrówkach natknąłeś się na wiele niezwykłych rzeczy.

Tristran zastanowił się przez moment.

– Chyba rzeczywiście – odparł.

– Musisz wpaść w przyszłym tygodniu na plebanię – oznajmił wikary. – Zjemy razem podwieczorek i opowiesz mi o wszystkim. Co ty na to?

Tristran, który zawsze czuł się onieśmielony w obecności wikarego, mógł jedynie przytaknąć.

Louisa westchnęła z nieco teatralną przesadą i ruszyła szybkim krokiem w stronę „Siódmej Sroki”. Tristran podbiegł wyłożoną kamieniami ścieżką, doganiając ją. Potem maszerowali już razem.

– Serce me raduje się z naszego spotkania, siostro – powiedział.

– A my tymczasem zamartwialiśmy się na śmierć – odparła cierpko – tymi twoimi włóczęgami. Nie obudziłeś mnie nawet, żeby się pożegnać. Ojciec szalał z niepokoju. A w święta, gdy się nie zjawiłeś, po tym jak zjedliśmy gęś i pudding, ojciec wyjął porto i wzniósł toast za nieobecnych przyjaciół. Matka rozpłakała się wtedy jak dziecko, więc oczywiście ja także zaczęłam płakać, a potem ojciec wydmuchnął nos w najlepszą chustkę, a babcia i dziadek Hempstock uparli się, żebyśmy wszyscy rozłamali świąteczne ciasteczka i przeczytali ukryte w nich zabawne maksymy, co tylko pogorszyło nastrój. Brutalnie mówiąc, Tristranie, kompletnie zepsułeś nam święta.

– Bardzo przepraszam – odparł Tristran. – Co teraz zrobimy? Dokąd właściwie idziemy?

– Idziemy „Pod Siódmą Srokę” – oznajmiła Louisa. – Sądziłam, że to oczywiste. Pan Bromios mówi, że możesz skorzystać z jego saloniku. Ktoś chce z tobą pomówić.

Umilkła i nie odezwała się więcej. Po chwili dotarli do gospody. W środku Tristran ujrzał kilka znajomych twarzy. Ludzie pozdrawiali go skinieniem głowy, uśmiechali się bądź nie, a on przeciskał się przez tłum ku wąskim schodom za barem. Louisa dreptała obok niego. Drewniane stopnie zaskrzypiały pod ich nogami.

Siostra spojrzała na niego gniewnie. Po chwili jednak jej usta zadrżały i, ku zdumieniu Tristrana, zarzuciła mu ramiona na szyję i objęła tak mocno, że ledwie mógł oddychać. Potem bez słowa uciekła na dół.

Zastukał do drzwi salonu i wszedł do środka. Wewnątrz dostrzegł sporo niezwykłych bibelotów: małych, starych figurynek i glinianych garnków. Na ścianie wisiał kij, opleciony liśćmi bluszczu, czy raczej kawałkami ciemnego metalu, misternie wykutymi tak, że przypominały bluszcz.

Pomijając ozdoby, pomieszczenie to mogłoby być salonem typowego starego kawalera, niemającego zbyt wiele czasu na zabawy salonowe. Stał w nim niewielki szezlong, niski stół, na którym spoczywał mocno zaczytany, oprawny w skórę egzemplarz *Kazań* Laurence'a Sterne'a, fortepian i kilka skórzanych foteli. W jednym z nich siedziała Victoria Forester.

Tristran podszedł do niej powoli, po czym ukląkł na jedno kolano, jak kiedyś na błotnistej, wiejskiej dróżce.

– Proszę, nie rób tego. – Victoria sprawiała wrażenie zakłopotanej. – Wstań, proszę. Może zechcesz usiąść w tamtym fotelu? Tak, tak lepiej. – Promienie porannego słońca przeświecały przez koronkowe firanki i rozjaśniały kasztanowe włosy dziewczyny, sprawiając, że jej twarz wydawała się obramowana złotem. – Spójrz tylko na siebie – rzekła. – Stałeś się mężczyzną. A twoja ręka... co się z nią stało?

– Oparzyłem ją – odparł. – W ogniu.

Z początku nie odpowiedziała, jedynie patrzyła na niego bez słowa. Potem wyprostowała się w fotelu i spojrzała wprost przed siebie, może na kij na ścianie bądź jedną z dziwacznych, starych figurek pana Bromiosa.

– Mam ci do powiedzenia kilka rzeczy, Tristranie. Żadna nie będzie łatwa. Byłabym zatem wdzięczna, gdybyś milczał, dopóki nie skończę. A zatem, po pierwsze i najważniejsze, muszę cię przeprosić. To mój niemądry kaprys, moja głupota sprawiły, że wysłałam cię w nieznane. Sądziłam, że żartujesz... nie, nie żartujesz; myślałam, że jesteś zbyt wielkim tchórzem, w zbyt wielkim stopniu chłopcem, by dotrzymać swej pięknej, nierozsądnej obietnicy. Dopiero gdy odszedłeś i gdy dni mijały, a ty nie wracałeś, zrozumiałam, że mówiłeś szczerze. Wtedy było już jednak za późno. Każdego dnia musiałam żyć ze świadomością, że być może wysłałam cię na śmierć.

Mówiąc, cały czas patrzyła przed siebie, i Tristran podejrzewał – po chwili był już niemal pewien – że podczas jego nieobecności setki razy przeprowadzała w myślach tę samą rozmowę. Dlatego właśnie nie pozwoliła mu się odzywać. I tak było to dla niej dostatecznie trudne. Nie poradziłaby sobie, gdyby zmusił ją do odejścia od scenariusza.

– A ja nie grałam z tobą uczciwie, mój biedny subiekciku – ale nie jesteś już przecież subiektem, prawda? – bo uważałam, że twoja wyprawa jest pod każdym względem niemądrym wybrykiem. – Urwała. Jej dłonie zacisnęły się na drewnianych poręczach fotela, chwytając je tak mocno, że kostki najpierw poczerwieniały, a potem zbielały. – Spytaj mnie, dlaczego tamtego wieczoru nie chciałam cię pocałować, Tristranie Thornie.

– Miałaś do tego pełne prawo – odparł Tristran. – Nie przyszedłem tu, by cię zasmucać, Vicky. Nie po to znalazłem ci gwiazdę, byś była nieszczęśliwa.

Przechyliła głowę.

– Naprawdę znalazłeś gwiazdę, którą widzieliśmy tamtego wieczoru?

– O, tak – odparł Tristran. – Czeka w tej chwili na łące. Zrobiłem to, o co prosiłaś.

– Zatem zrób dla mnie coś jeszcze. Spytaj, dlaczego nie pocałowałam cię tamtego wieczoru. Ostatecznie kiedyś całowałam cię już wcześniej, gdy oboje byliśmy młodsi.

– Dobrze, Vicky. Czemu tamtego wieczoru nie chciałaś mnie pocałować?

– Bo – odparła, a w jej głosie zadźwięczała ulga, ogromna, wymykająca się spod kontroli, ulga – dzień przedtem, nim ujrzeliśmy spadającą gwiazdę, Robert poprosił mnie o rękę. Tego wieczoru, gdy się spotkaliśmy, poszłam do sklepu z nadzieją, że go tam zastanę i będę

mogła z nim porozmawiać, powiedzieć, że się zgadzam i że powinien pomówić z mym ojcem.

– Robert? – powtórzył Tristran. Nagle zakręciło mu się w głowie.

– Robert Monday. Pracowałeś w jego sklepie.

– Pan Monday? – rzucił Tristran. – Ty i pan Monday?

– Właśnie. – Teraz patrzyła wprost na niego. – A ty musiałeś potraktować mnie poważnie i uciec z domu na poszukiwanie gwiazdy. Nie było dnia, bym nie czuła, że zrobiłam coś złego i głupiego. Przyrzekłam, że kiedy wrócisz z gwiazdą, wyjdę za ciebie za mąż. Bywało, Tristranie, że sama nie wiedziałam, co byłoby gorsze: czy gdybyś zginął w krainach poza Murem z miłości do mnie, czy też, gdyby udało ci się to szaleństwo i gdybyś powrócił z gwiazdą, żądając mojej ręki. Oczywiście ludzie powtarzali mi, że nie powinnam się przejmować i że to było nieuniknione: i tak odszedłbyś do krainy poza Murem, taka już twoja natura. W końcu stamtąd pochodzisz. Jednakże w głębi serca wiedziałam, że wszystko to moja wina i że pewnego dnia powrócisz do mnie.

– Czy ty kochasz pana Mondaya? – spytał Tristran, chwytając się rozpaczliwie jedynej rzeczy, którą choć trochę rozumiał.

Przytaknęła i uniosła głowę tak, że jej śliczny podbródek celował wprost w Tristrana.

– Ale dałam ci słowo, Tristranie, i dotrzymam go. To właśnie powiedziałam Robertowi. Jestem odpowiedzialna za wszystko, przez co przeszedłeś, nawet za twą biedną, poparzoną rękę. Jeśli wciąż mnie chcesz, jestem twoja.

– Szczerze mówiąc – powiedział – uważam, że nie ty jesteś odpowiedzialna za to, co zrobiłem, lecz ja sam. Trudno mi też czegokolwiek żałować. Od czasu do czasu tęskniłem za miękkim łóżkiem i nigdy już nie będę mógł

spojrzeć obojętnie na susła. Ale ty wcale nie obiecałaś mi swojej ręki, jeśli wrócę do ciebie z gwiazdą, Vicky.

– Nie?

– Nie. Przyrzekłaś dać mi wszystko, czegokolwiek zapragnę.

Victoria Forester wyprostowała się gwałtownie i wbiła wzrok w podłogę. Na jej policzki wystąpiły czerwone plamy, jakby ktoś uderzył ją w twarz.

– Czy dobrze rozumiem, że… – zaczęła, lecz Tristran jej przerwał.

– Nie, nie sądzę, żebyś rozumiała. Powiedziałaś, że dasz mi, czegokolwiek zapragnę.

– Tak.

– Zatem… – Urwał. – Pragnę, byś poślubiła pana Mondaya. Pragnę, byście pobrali się jak najszybciej. Jeśli da się to załatwić, to jeszcze w tym tygodniu. I pragnę, żebyście byli ze sobą tak szczęśliwi, jak to tylko możliwe.

Powoli, z cichym jękiem wypuściła z ust powietrze. Spojrzała na niego.

– Mówisz to szczerze? – spytała.

– Wyjdź za niego z moim błogosławieństwem i nasze rachunki będą wyrównane. Gwiazda prawdopodobnie też się ucieszy.

W tym momencie ktoś zapukał do drzwi.

– Wszystko w porządku? – usłyszeli męski głos.

– W absolutnym porządku – odparła Victoria. – Proszę, wejdź, Robercie. Pamiętasz Tristrana Thorna, prawda?

– Dzień dobry, panie Monday. – Tristran uścisnął dłoń mężczyzny, spoconą i chłodną. – Rozumiem, że wkrótce się pan żeni. Zechce pan przyjąć moje gratulacje.

Pan Monday uśmiechnął się szeroko. Wyglądał w tym momencie, jakby bolały go wszystkie zęby. Potem wyciągnął

rękę do Victorii, która wstała z fotela.

– Jeśli chce pani zobaczyć gwiazdę, panno Forester... – zaczął Tristran, ale Victoria potrząsnęła głową.

– Niezmiernie się cieszę, że bezpiecznie wrócił pan do domu, panie Thorn. Ufam, że przyjdzie pan na nasz ślub.

– Z pewnością nic nie mogłoby sprawić mi większej radości – odparł Tristran, choć w istocie wcale nie był tego taki pewien.

*

W zwykły dzień „Pod Siódmą Sroką” nigdy nie spotykało się takiego tłumu gości, i to jeszcze przed śniadaniem. To jednak był dzień targowy. Mieszkańcy Muru i przybysze tłoczyli się przy barze, pochłaniając kopiaste talerze pieczonej baraniny, bekonu, pieczarek, smażonych jajek i kaszanki.

Dunstan Thorn czekał na Tristrana przy barze. Gdy ujrzał syna, wstał, podszedł do niego i bez słowa uścisnął.

– Widzę, że wróciłeś bez szwanku – rzekł. W jego głosie dźwięczała duma.

Tristran zastanowił się, czy podczas swej nieobecności przypadkiem nie urósł. Pamiętał ojca jako znacznie roślejszego mężczyznę.

– Witaj, ojcze – rzekł. – Trochę szwankuje mi ręka.

– Matka czeka na ciebie ze śniadaniem na farmie – oznajmił Dunstan.

– „Śniadanie” brzmi cudownie – przyznał Tristran. – I oczywiście cieszę się, że znów zobaczę matkę. No i musimy porozmawiać. – Jego myśli wciąż krążyły wokół czegoś, co powiedziała Victoria Forester.

– Jesteś chyba wyższy – zauważył ojciec – i stanowczo powinieneś odwiedzić balwierza.

Opróżnił kufel i razem wyszli na słoneczny świat.

Dwaj Thornowie przeleźli przez płot na jedno z pól Dunstana i, gdy maszerowali przez łąkę, na której bawił się w dzieciństwie, Tristran poruszył dręczący go temat: kwestię swoich narodzin. Ojciec odpowiedział mu najszczerzej, jak potrafił, wspominając podczas długiego marszu na farmę rzeczy, które wydarzyły się bardzo dawno temu komuś zupełnie innemu: historię miłości.

A potem znaleźli się w starym domu Tristrana. W środku czekała już na niego siostra. Na piecu stały garnki, a na stole śniadanie, przyszykowane z miłością przez kobietę, którą zawsze uważał za swą matkę.

*

Madame Semele poprawiła ostatnie szklane kwiaty i powiodła niechętnym wzrokiem po jarmarku. Minęło już południe. Na łące zjawiali się pierwsi klienci. Jak dotąd żaden nie zatrzymał się przy jej kramie.

– Każdego dziewiątego roku jest ich coraz mniej i mniej – zauważyła. – Zapamiętaj moje słowa: wkrótce z jarmarku pozostanie tylko wspomnienie. Są jeszcze inne targi, inne miejsca. Czasy tego jarmarku już niemal minęły. Jeszcze czterdzieści, pięćdziesiąt, najwyżej sześćdziesiąt lat, i koniec.

– Możliwe – odparła jej służka o fiołkowych oczach – ale mnie już to nie obchodzi. To ostatni jarmark, w którym uczestniczę.

Madame Semele spojrzała na nią gniewnie.

– Sądziłam, że już dawno wybiłam ci z głowy bezczelność.

– To nie bezczelność – odparła niewolnica. – Spójrz.

Uniosła krępujący ją srebrny łańcuch. Jego ogniwa połyskiwały w blasku słońca. Wydawały się jednak cieńsze, bardziej przejrzyste. Miejscami wyglądały jak zrobione nie z metalu, lecz z mgły.

– Coś ty zrobiła? – Na wargi starej kobiety wystąpiły kropelki śliny.

– Nic. Nic, czego nie zrobiłabym osiemnaście lat temu. Miałam pozostać twą niewolnicą do dnia, w którym księżyc straci córkę, jeśli wydarzy się to w tygodniu, w którym połączą się dwa poniedziałki. Mój czas niewoli już niemal upłynął.

*

Była trzecia po południu. Gwiazda siedziała na łące obok stoiska z winem, piwem i jadłem pana Bromiosa i spoglądała w stronę wyrwy w murze i leżącej za nią wioski. Od czasu do czasu klienci częstowali ją winem, piwem bądź pysznymi, tłustymi kiełbaskami. Ona jednak zawsze odmawiała.

– Czekasz na kogoś, moja droga? – spytała nagle młoda kobieta o miłej twarzy. Popołudnie ciągnęło się bez końca.

– Nie wiem – odparła gwiazda. – Chyba tak.

– Jeśli się nie mylę, pewnie na jakiegoś młodzieńca. Taka piękna dziewczyna jak ty.

Gwiazda przytaknęła.

– W pewnym sensie – przyznała.

– Jestem Victoria – przedstawiła się tamta. – Victoria Forester.

– Ja nazywam się Yvaine. – Gwiazda zmierzyła swą rozmówczynię uważnym spojrzeniem. – A zatem – rzekła – ty jesteś Victoria Forester. Twoja sława cię wyprzedza.

– Chodzi ci o ślub? – W oczach Victorii zalśniły iskry dumy i radości.

– Będzie więc ślub? – spytała Yvaine. Uniosła rękę do pasa i poczuła ukryty pod suknią topaz na srebrnym łańcuchu. Potem spojrzała w stronę otworu w murze i przygryzła wargę.

– Och, moje biedactwo! Co z niego za potwór! Czemu każe ci tu czekać? – wykrzyknęła Victoria Forester. – Może pójdziesz i go poszukasz?

– Nie, bo... – zaczęła gwiazda i urwała. – Rzeczywiście – mruknęła – może pójdę.

Niebo nad ich głowami zasnuły szarobiałe ławice chmur. Między nimi było widać skrawki błękitu.

– Szkoda, że nie ma mojej matki. – Gwiazda westchnęła. – Mogłabym się z nią pożegnać. – Niezgrabnie dźwignęła się z ziemi.

Victoria jednak nie zamierzała tak łatwo pozwolić odejść swej nowej przyjaciółce. Szczebiotała bez przerwy o zapowiedziach, zezwoleniach ślubnych i specjalnych licencjach, udzielanych wyłącznie przez arcybiskupa – jakie to szczęście, że Robert osobiście zna arcybiskupa. Z jej słów wynikało, że ślub ma się odbyć za sześć dni, w południe. Potem Victoria wezwała gestem szacownego dżentelmena, siwiejącego na skroniach, który palił czarne cygaro i uśmiechał się, jakby bolały go zęby.

– To jest właśnie Robert – oznajmiła. – Robercie, poznaj Yvaine. Czeka na swego młodzieńca. Yvaine, to jest Robert Monday. W następny piątek w południe zostanę panią Victorią Monday. Victoria Poniedziałek. Może mógłbyś wykorzystać to w swej mowie weselnej – w piątek połączą się dwa poniedziałki.

Pan Monday zaciągnął się dymem z cygara i odparł narzeczonej, że zastanowi się nad tym pomysłem.

– Czyli – zagadnęła Yvaine, starannie dobierając słowa – nie wychodzisz za mąż za Tristrana Thorna?

– Nie – odparła Victoria.

– Ach tak – rzekła gwiazda. – To dobrze. – I usiadła.

Wciąż tam siedziała, gdy Tristran wynurzył się z wyrwy w murze. Sprawiał wrażenie nieco oszołomionego, lecz na jej widok wyraźnie się rozpromienił.

– Witaj – rzekł, pomagając jej wstać. – Miło ci się czekało?

– Nieszczególnie – odparła.

– Przepraszam – mruknął Tristran. – Chyba powinienem był zabrać cię ze sobą do wioski.

– Nie – powiedziała gwiazda. – Nie powinieneś. Żyję tylko dopóty, dopóki przebywam w Krainie Czarów. Gdybym postawiła stopę w twoim świecie, stałabym się jedynie bryłą zimnego żelaza z nieba, popękaną i poobijaną.

– Ale ja omal cię tam nie zabrałem! – wykrzyknął wstrząśnięty Tristran. – Zeszłego wieczoru próbowałem.

– Owszem – odparła – co dowodzi, że istotnie jesteś głupkiem, półgłówkiem i… matołkiem.

– Zakutym łbem – podsunął Tristran. – Stale nazywałaś mnie zakutym łbem i osłem.

– Cóż, jesteś tym wszystkim i jeszcze mnóstwem innych rzeczy. Czemu kazałeś mi tak długo czekać? Myślałam już, że spotkało cię coś okropnego.

– Przepraszam – powiedział. – Nigdy już cię nie zostawię.

– Nie – odrzekła z powagą i pewnością w głosie. – Nie zostawisz.

Ich dłonie się spotkały. Trzymając się za ręce, przeszli przez jarmark. Zerwał się wiatr, łopocząc płótnem

namiotów i flagami. Z nieba lunął zimny deszcz. Ukryli się wraz z innymi istotami i ludźmi pod płóciennym dachem kramu z książkami. Właściciel pospiesznie wsuwał pudła głębiej pod dach, bojąc się, że zmokną.

– Zmienne niebiosa, zmienne niebiosa. To świeci słońce, to pada rosa – powiedział do Tristrana i Yvaine człowiek w czarnym jedwabnym cylindrze. Kupował właśnie od kramarza małą książkę w czerwonej skórzanej oprawie.

Tristran uśmiechnął się i skinął głową. A ponieważ deszcz zaczął wyraźnie słabnąć, oboje z Yvaine odeszli.

– Założę się, że to jedyne podziękowanie z ich strony, jakiego mogę się spodziewać – mruknął mężczyzna w cylindrze do sprzedawcy, który nie miał najmniejszego pojęcia, o czym tamten mówi, i w ogóle go to nie obchodziło.

– Pożegnałem się już z rodziną – oznajmił Tristran – ojcem, matką – może raczej powinienem rzec: żoną ojca – i moją siostrą Louisą. Nie sądzę, żebym jeszcze kiedyś tam wrócił. Teraz pozostaje nam tylko rozwiązać problem tego, jak umieścić cię z powrotem na niebie. Może mógłbym ci towarzyszyć?

– Nie spodobałoby ci się na niebie – zapewniła go gwiazda. – Zatem... rozumiem, że nie poślubisz Victorii Forester?

Tristran pokręcił głową.

– Nie.

– Poznałam ją – dodała. – Wiedziałeś, że spodziewa się dziecka?

– Co takiego? – Wiadomość ta wstrząsnęła Tristranem.

– Wątpię, by sama o tym wiedziała. To dopiero pierwszy, najwyżej drugi miesiąc.

– Dobry Boże! Skąd wiesz?

Tym razem to gwiazda wzruszyła ramionami.

– Wiesz – rzekła – bardzo się ucieszyłam, gdy usłyszałam, że nie poślubisz Victorii Forester.

– Ja też – wyznał.

Znów zaczęło padać, ale oni nie próbowali się nawet schować. Tristran ścisnął jej rękę.

– Wiesz – zaczęła – gwiazda i człowiek śmiertelny...

– Tylko w połowie śmiertelny – podpowiedział Tristran. – Wszystko, co dotąd wiedziałem o sobie, o tym kim jestem, czym jestem, okazało się kłamstwem, czy też prawie kłamstwem. Nie masz pojęcia, jakie to cudowne uczucie.

– Kimkolwiek jesteś – odparła – chciałam tylko zauważyć, że prawdopodobnie nigdy nie będziemy mieć dzieci. To wszystko.

I wtedy Tristran spojrzał na gwiazdę i zaczął się uśmiechać. Milczał. Jego dłonie spoczywały na jej ramionach. Stał przed nią i spoglądał jej prosto w twarz.

– Po prostu chciałam, żebyś wiedział – dodała gwiazda i pochyliła się lekko.

Pocałowali się po raz pierwszy, w zimnym, wiosennym deszczu, choć oboje nie zauważyli, że pada.

Serce Tristrana tłukło się w piersi, jakby nie mogło pomieścić tej ogromnej radości. Całując gwiazdę, otworzył oczy. Spojrzały na niego błękitne jak niebo źrenice i zrozumiał, że nigdy już się nie rozstaną.

*

W miejscu srebrnego łańcuszka pozostały już tylko dym i mgła. Przez mgnienie oka wisiały w powietrzu, potem mocniejszy podmuch wiatru sprawił, że rozpłynęły się bez śladu.

– Proszę – powiedziała z uśmiechem kobieta o ciemnych, kręconych włosach, przeciągając się jak kot. – Okres mojej służby dobiegł końca. Nic nas już nie łączy.

Stara niewiasta spojrzała na nią bezradnie.

– Ale co ja teraz pocznę? Nie jestem już młoda. Sama nie zdołam prowadzić kramu. Jesteś złą, głupią dziewką, skoro chcesz mnie porzucić.

– Twoje kłopoty mnie nie obchodzą – odparła niedawna niewolnica. – Lecz nigdy więcej nie pozwolę, by nazywano mnie dziewką, sługą czy jakimkolwiek mianem niebędącym mym imieniem. Jestem panią Uną, pierworodną i jedyną córką Osiemdziesiątego Pierwszego Władcy Cytadeli Burz. Zaklęcie, które na mnie rzuciłaś, zniknęło. Teraz mnie przeproś i nazwij właściwym imieniem albo z ogromną rozkoszą przez resztę życia będę cię ścigać, niszcząc wszystko, co jest dla ciebie bliskie i cenne.

Popatrzyły na siebie, i to starucha pierwsza odwróciła wzrok.

– Muszę zatem przeprosić, że nazwałam cię dziewką, pani Uno. – Niemal wypluła te słowa, jakby każde było kawałkiem gorzkich trocin.

Pani Una skinęła głową.

– Wierzę też, że teraz, gdy czas mej służby już minął, jesteś mi winna zapłatę – dodała.

W takich sprawach bowiem obowiązują pewne zasady. Zawsze obowiązują jakieś zasady.

*

Deszcz wciąż popadywał. Ustawał na dość długo, by ludzie poczuli się bezpiecznie i opuścili zaimprowizowane kryjówki, a wtedy wzmagał się na nowo. Tristran i Yvaine,

mokrzy i szczęśliwi, siedzieli przy ognisku w otoczeniu zbieraniny najróżniejszych ludzi i istot.

Tristran wypytywał wszystkich, czy znają może włochatego człowieczka, którego kiedyś spotkał, opisując go najlepiej, jak umiał. Kilka osób przyznało, że w przeszłości miało z nim do czynienia. Nikt jednak nie widział go na jarmarku.

Dłoń Tristrana mimowolnie muskała mokre włosy gwiazdy. Zastanawiał się, jakim cudem dopiero teraz pojął, ile dla niego znaczy, i powiedział jej to, a ona nazwała go idiotą. On zaś oznajmił, że to najwspanialszy epitet, jakim kiedykolwiek obdarzono mężczyznę.

– Gdzie zatem pójdziemy, gdy skończy się jarmark? – spytał gwiazdę Tristran.

– Nie wiem – odparła. – Ale mam do spełnienia jeszcze jeden obowiązek.

– Tak?

– Tak. Topaz, który ci pokazałam. Muszę go oddać właściwej osobie. Ostatnim razem, gdy zjawiła się właściwa osoba, właścicielka gospody poderżnęła jej gardło, toteż wciąż go mam. Bardzo chciałabym się go pozbyć.

Nagle usłyszeli za plecami głos kobiety:

– Poproś ją o niego, Tristranie Thornie.

Odwrócił się i spojrzał w oczy barwy łąkowych fiołków.

– To ty byłaś ptakiem w wozie czarownicy.

– Kiedy ty byłeś susłem, mój synu – odparła kobieta – ja byłam ptakiem. Teraz jednak odzyskałam własną postać. Czas mojej służby dobiegł końca. Poproś Yvaine o to, co jej powierzono. Masz prawo.

Odwrócił się do gwiazdy.

– Yvaine?

Skinęła głową. Czekała.

– Yvaine, zechcesz dać mi to, co ci powierzono?

Spojrzała na niego pytająco. Potem sięgnęła pod szatę, przez chwilę majstrowała przy czymś dyskretnie i wyjęła wielki topaz na zerwanym srebrnym łańcuchu.

– Należał do twojego dziadka – oznajmiła kobieta. – Jesteś ostatnim męskim potomkiem rodu Cytadeli Burz. Zawieś go na szyi.

Tristran posłuchał. Gdy zetknął ze sobą końce srebrnego łańcucha, te połączyły się, jakby nigdy go nie zerwano.

– Bardzo ładny – rzekł z lekkim powątpiewaniem.

– To Moc Burzy – powiedziała jego matka. – Nikt nie może mieć wątpliwości. W twoich żyłach płynie krew naszego rodu, wszyscy twoi wujowie nie żyją. Będzie z ciebie świetny władca Cytadeli Burz.

Tristran spojrzał na nią, szczerze zdumiony.

– Ale ja wcale nie chcę być żadnym władcą. Nie pragnę niczego poza sercem mojej pani. – Ujął dłoń gwiazdy i z uśmiechem przycisnął ją do swej piersi.

Kobieta niecierpliwie zastrzygła uszami.

– Przez niemal osiemnaście lat niczego od ciebie nie żądałam, Tristranie Thornie, a teraz, gdy pierwszy raz proszę o drobiazg – absolutny drobiazg, naprawdę – ty odmawiasz. Pytam cię więc, Tristranie, czy tak traktuje się własną matkę?

– Nie, matko – odparł.

– To dobrze – odparła nieco łagodniejszym tonem. – Uważam, że wam, młodym, przyda się własny dom. Powinieneś też mieć zajęcie. Jeśli nie będzie ci odpowiadało, zawsze możesz odejść. W końcu nikt nie przykuje cię do tronu Cytadeli srebrnym łańcuchem.

Tristrana wyraźnie pocieszyła ta myśl, Yvaine jednak nie była przekonana. Wiedziała, że srebrne łańcuchy miewają najróżniejsze kształty i postaci. Ale wiedziała też, że nie

byłoby mądrze zaczynać wspólnego życia z Tristranem od kłótni z jego matką.

– Czy zechciałabyś uczynić nam ten zaszczyt i wyjawić swe imię? – spytała, zastanawiając się, czy aby nie przesadziła.

Matka Tristrana wyprostowała się dumnie i Yvaine zrozumiała, że nie.

– Jestem panią Uną z Cytadeli Burz – oznajmiła ciemnowłosa kobieta. Sięgnąwszy do wiszącej u pasa sakiewki, wyjęła z niej różę ze szkła tak ciemnoczerwonego, że w migotliwym blasku ognia wydawała się niemal czarna. – To moja zapłata – dodała. – Za ponad sześćdziesiąt lat służby. Była wściekła, że musi mi ją dać, ale zasady są zasadami. Gdyby nie uregulowała rachunku, straciłaby całą swą magię i jeszcze więcej. Zamierzam wymienić tę różę na palankin, którym pojedziemy do Cytadeli. Musimy bowiem przybyć z odpowiednią pompą. Tak bardzo tęskniłam za Cytadelą. Musimy też wynająć lektykarzy, eskortę, może słonia – są bardzo imponujące; nic tak nie mówi: „zejdźcie mi z drogi”, jak maszerujący na czele słoń…

– Nie – wtrącił Tristran.

– Nie? – powtórzyła jego matka.

– Nie – odparł Tristran. – Ty możesz podróżować palankinem, na słoniu, wielbłądzie, jak tylko zechcesz, matko, ale Yvaine i ja sami tam dotrzemy, bez pompy i pośpiechu.

Pani Una odetchnęła głęboko i w tym momencie Yvaine zdecydowała, że nie ma ochoty słuchać ich kłótni. Wstała zatem i oznajmiła, że niedługo wróci, bo zamierza się przejść, lecz nie odejdzie daleko. Tristran spojrzał na nią błagalnie, ona jednak potrząsnęła głową. To była jego walka i musiał stoczyć ją sam, bez niej.

Pokuśtykała przez ciemną łąkę. Przystanęła przy namiocie, z którego dobiegała muzyka i oklaski. Spod klapy

wylewało się światło, ciepłe i złociste niczym miód. Słuchała muzyki, zatopiona w myślach. I wtedy właśnie ujrzała zgarbioną, siwiuteńką staruszkę, z jednym okiem zasnutym bielmem. Stara kobieta przydreptała do niej i poprosiła o rozmowę.

– O czym chcesz rozmawiać? – spytała gwiazda.

Staruszka, skurczona ze starości, nie większa od dziecka, wspierała się na kiju równie wysokim i wykrzywionym jak ona sama. Teraz zacisnęła na nim mocniej poskręcane, spuchnięte palce. Uniosła ku gwieździe oczy – zdrowe i długie, błękitnobiałe jak mleko – i rzekła:

– Przyszłam, żeby zabrać ci serce.

– Ach tak?

– O, tak – odparła staruszka. – Wtedy, na przełęczy, prawie mi się udało. – Zachichotała gardłowo na to wspomnienie. – Pamiętasz? – Na jej plecach tkwił, niczym garb, wielki worek. Sterczał z niego spiralny, kościany róg. I Yvaine zrozumiała nagle, że widziała go już wcześniej.

– To byłaś ty? – spytała staruszkę. – Ta z nożami?

– Mmm, to byłam ja. Ale zmarnowałam już całą młodość przeznaczoną na tę podróż. Każde użycie magii wiele mnie kosztowało i teraz jestem starsza niż kiedykolwiek wcześniej.

– Jeśli mnie tkniesz – powiedziała gwiazda – jeśli położysz na mnie rękę, będziesz tego żałować do końca życia.

– Kiedy osiągniesz mój wiek – odparła stara kobieta – dobrze poznasz wszelkie możliwe żale i zrozumiesz, że jeden mniej czy więcej na dłuższą metę nie czyni żadnej różnicy.

Pociągnęła nosem. Jej suknia, niegdyś czerwona, była teraz pocerowana i wyblakła ze starości. Zwisała niczym

worek, odsłaniając paskudną bliznę, na oko pochodzącą sprzed setek lat.

– Chcę wiedzieć, czemu nie mogę już dłużej odnaleźć cię w myślach. Wciąż jeszcze tam jesteś, ale ulotna i zwiewna niczym duch, błędny ognik. Jeszcze niedawno płonęłaś – twoje serce płonęło w mych myślach srebrnym ogniem, lecz po owej nocy w gospodzie zaczęło blaknąć, a teraz zupełnie zniknęło.

Yvaine pojęła, że owa istota, która pragnęła jej śmierci, budzi w niej wyłącznie litość.

– Czy to możliwe, by serce, którego pragniesz, nie należało już do mnie?

Staruszka zakasłała. Całym jej ciałem wstrząsnął gwałtowny spazm.

Gwiazda odczekała chwilę, po czym dodała:

– Oddałam swe serce innemu.

– Chłopcu? Temu z gospody? Z jednorożcem?

– Tak.

– Powinnaś zatem dać je raczej mnie i moim siostrom. Znów odzyskałybyśmy młodość, której wystarczyłoby nam do następnej Ery Świata. Twój chłopiec je złamie, zmarnuje bądź straci. Jak oni wszyscy.

– Mimo to jednak ma moje serce – odparła gwiazda. – Mam nadzieję, że gdy wrócisz bez niego, twoje siostry nie potraktują cię zbyt surowo.

W tym momencie Tristran podszedł do Yvaine, ujął jej rękę i skinieniem głowy pozdrowił starą kobietę.

– Wszystko załatwione – oznajmił. – Nie musisz się martwić.

– A palankin?

– Och, matka pojedzie palankinem. Musiałem jej obiecać, że wcześniej czy później zjawimy się w Cytadeli Burz.

Możemy jednak podróżować bez pośpiechu. Myślę, że kupimy sobie konie i trochę pozwiedzamy.

– I twoja matka się zgodziła?

– W końcu tak – odparł z błogą miną. – O, przepraszam, przeszkodziłem wam.

– W zasadzie już skończyłyśmy. – Yvaine odwróciła się do drobnej staruszki.

– Moje siostry będą surowe, ale okrutne – powiedziała stara królowa czarownic. – Doceniam jednak twą troskę. Masz dobre serce, moje dziecko. Szkoda, że go nie dostanę.

Gwiazda pochyliła się i ucałowała kobietę w pomarszczony policzek. Jej wargi musnęły porastającą go ostrą szczecinę.

A potem gwiazda i jej ukochany odeszli w stronę muru.

– Kim była ta stara? – spytał Tristran. – Wydała mi się znajoma. Coś jest nie w porządku?

– Nie, wszystko dobrze – odparła. – To tylko ktoś, kogo spotkałam po drodze.

Za nimi lśniły światła jarmarku: latarnie, świece, magiczne ogniki i czarodziejski pył, niczym odbicie nocnego nieba, sprowadzone na ziemię. Przed nimi, po drugiej stronie łąki i muru, chwilowo pozostawionego bez straży, przycupnęła wioska Mur. W oknach domów płonęły lampy oliwne i gazowe oraz świece. Tristranowi wydały się równie odległe i nieznane, jak świat baśni z Tysiąca i Jednej Nocy.

Wiedział (świadomość ta przyszła nagle, z niezachwianą pewnością), że po raz ostatni ogląda światła Muru. Jakiś czas przyglądał im się w milczeniu, stojąc u boku upadłej gwiazdy, a potem odwrócił się i razem ruszyli na wschód.

Epilog

w którym można znaleźć kilka różnych zakończeń

Wielu uważało dzień, w którym pani Una, od dawna zaginiona i uznana za zmarłą (odkąd w dzieciństwie porwała ją czarownica), powróciła do Górskiej Krainy, za jeden z najważniejszych dni w dziejach Cytadeli Burz. Jej palankin, eskortowany przez trzy słonie, powitały fajerwerki, uroczystości i zabawy (oficjalne i nieoficjalne).

Radość mieszkańców Cytadeli Burz i jej dominiów wzrosła jeszcze, osiągając niespotykane wcześniej wyżyny, gdy pani Una oznajmiła, że podczas swej nieobecności urodziła syna, który wobec faktu, że jej dwaj ostatni bracia zniknęli i zostali uznani za martwych, był następny w kolejce do tronu.

– W istocie – dodała – nosi już na szyi Moc Burzy.

Następca tronu i jego narzeczona mieli przybyć wkrótce, choć pani Una nie potrafiła określić dokładnej daty i niemożność ta wyraźnie ją irytowała. Tymczasem oświadczyła, że pod ich nieobecność sama będzie władać Cytadelą jako regentka. Tak też uczyniła, radząc sobie całkiem nieźle, i kraj wokół Góry Huon rozkwitał i prosperował pod jej rządami.

Minęły trzy lata, nim w mieście Chmurne Szczyty, na obrzeżach Cytadeli Burz, zjawiło się dwoje zmęczonych, zakurzonych i brudnych podróżnych i wynajęło pokój w gospodzie, żądając gorącej wody i wanny. Zostali tam kilka dni, tocząc długie rozmowy z innymi klientami i gość mi. Ostatniego wieczoru kobieta o włosach tak jasnych, że niemal białych, i lekko niesprawnej nodze spojrzała na mężczyznę.

– I co? – spytała.

– I nic – odparł. – Matka znakomicie sobie radzi z rządami.

– Ty radziłbyś sobie równie dobrze – odparła cierpko – gdybyś zechciał zasiąść na tronie.

– Możliwe – przyznał. – Myślę też, że przyjemnie będzie kiedyś to zrobić. Na razie jest jednak tyle miejsc, których nie widzieliśmy, tylu ludzi, których warto poznać, nie mówiąc już o wszystkich krzywdach wartych naprawienia, złoczyńcach do pokonania, cudach do obejrzenia i tak dalej, no wiesz.

Uśmiechnęła się gorzko.

– Cóż, przynajmniej nie będziemy się nudzić. Ale powinniśmy zostawić twojej matce liścik.

I stało się tak, że następnego dnia syn gospodarza poszedł do pani Uny z Cytadeli Burz, niosąc kartkę. List zapieczętowano woskiem, władczyni zaś długo wypytywała chłopca o podróżnych – mężczyznę i jego żonę. W końcu przełamała pieczęć i przeczytała list. Zaadresowany był do niej i po licznych pozdrowieniach głosił:

„Zatrzymały nas sprawy wagi światowej. Wrócimy, kiedy wrócimy”.

Pod spodem widniał podpis Tristrana, a obok odcisk palca, który, gdy padł na niego cień, połyskiwał, migotał i lśnił, jak obsypany pyłem maleńkich gwiazd.

Tym tylko musiała się zadowolić – tym i świadomością, że i tak nic więcej nie może zrobić.

Upłynęło kolejne pięć lat, nim wędrowcy powrócili w końcu na dobre do górskiej fortecy. Byli zmęczeni, odziani w szmaty i łachmany i ku wielkiemu wstydowi całego kraju z początku potraktowano ich jak zwykłych włóczęgów. Dopiero kiedy mężczyzna pokazał wszystkim wiszący na szyi topaz, został rozpoznany jako jedyny syn pani Uny.

Oficjalna koronacja i towarzyszące jej uroczystości trwały niemal miesiąc. Potem zaś młody Osiemdziesiąty Drugi Władca Cytadeli Burz zajął się rządzeniem. Starał się podejmować jak najmniej decyzji, jednak te, które już podjął, były mądre, mimo że z początku nie zawsze się takie wydawały. Dzielnie spisywał się w walce, choć lewą rękę miał niesprawną, pokrytą bliznami. Okazał się też przebiegłym strategiem. Poprowadził swój lud do zwycięstwa w bitwie z Północnymi Goblinami, gdy te zablokowały przełęcze; zawarł trwały pokój z orłami z Najwyższych Turni i pokój ów trwa do dziś.

Jego żona, pani Yvaine, była piękną kobietą z odległych krain (choć nikt dokładnie nie wiedział z których). Gdy wraz z mężem zjawili się w Cytadeli, wybrała dla siebie pokoje na jednym z najwyższych szczytów, od dawna porzucone i nie używane, ich dach bowiem zapadł się w deszczu odłamków przed tysiącem lat. Nikt inny nie chciał z nich korzystać, gdyż nad głową miałby otwarte niebo; gwiazdy i księżyc świeciły na nim przez rozrzedzone górskie powietrze tak jasno, że wydawało się, że wystarczy sięgnąć, by chwycić je w dłoń.

Tristran i Yvaine byli razem szczęśliwi – nie na wieki, bo złodziej czas zgarnia w końcu wszystko do swego zakurzonego wora, jednak żyli szczęśliwie bardzo, bardzo długo. A potem nocą zjawiła się śmierć i wyszeptała swój sekret do ucha Osiemdziesiątego Drugiego Władcy Cytadeli Burz, on zaś skinął siwą głową i nie odezwał się więcej, a

rankiem jego ludzie zanieśli szczątki do Sali Przodków, gdzie spoczywają po dziś dzień.

Po śmierci Tristrana wśród ludu rozeszły się pogłoski, że był on członkiem Bractwa Wieży i odegrał kluczową rolę w osłabieniu Złowrogiego Dworu. Jednakże prawda o tych wydarzeniach, jak i o wielu innych, odeszła wraz z nim, i pogłoski nigdy nie znalazły potwierdzenia ni zaprzeczenia.

Yvaine została władczynią Cytadeli Burz i okazała się lepszą monarchinią, niż ktokolwiek oczekiwał, tak w czasie pokoju, jak i podczas wojny. W odróżnieniu od męża nie starzała się; jej oczy pozostały równie błękitne, włosy złocistobiałe, a temperament – o czym wielu wolnych mieszkańców Cytadeli miało okazję się przekonać – równie gorący jak w dniu, gdy Tristran spotkał ją na polanie obok sadzawki.

Wciąż lekko kuleje, choć nikt w Cytadeli nawet o tym nie wspomina, tak jak nikt nie waży się wspomnieć choćby słowem, że czasem w mroku władczyni lśni i migocze.

Mówią, że każdej nocy, gdy tylko pozwalają jej na to obowiązki, Yvaine, kulejąc, wdrapuje się samotnie na najwyższy szczyt pałacu. Stoi tam godzinami, nie zważając na zimne wiatry. Milczy, patrząc w mroczne niebo, i pełnymi smutku oczami ogląda powolny taniec niezliczonych gwiazd.

Podziękowania

Przede wszystkim dziękuję Charlesowi Vessowi. W dzisiejszych czasach nie ma nikogo, kto bardziej zbliżyłby się w swej sztuce do dokonań wielkich wiktoriańskich malarzy bajkowych światów. Bez natchnienia, jakie niosą ze sobą jego dzieła, nie powstałaby ta książka. Gdy tylko kończyłem kolejny rozdział, dzwoniłem do niego i czytałem mu całość przez telefon, a on słuchał cierpliwie i śmiał się tam, gdzie należało.

Dziękuję też Jenny Lee, Karen Berger, Paulowi Levitzowi, Merilee Heifetz, Lou Aronice, Jennifer Hershey i Tii Maggini – wszyscy oni przyczynili się do powstania niniejszej książki.

Ogromnie wiele zawdzięczam Hope Mirrlees, Lordowi Dunsany'emu, Jamesowi Branchowi Cabellowi i C.S. Lewisowi. Nie wiem, gdzie są teraz, ale to właśnie oni pokazali mi, że bajki mogą trafiać także do dorosłych.

Tori użyczyła mi swego domu, w którym napisałem pierwszy rozdział, a w zamian poprosiła tylko, bym uczynił ją drzewem.

Kilka osób czytało wszystko na bieżąco i mówiło mi, co poszło dobrze, a co jest nie tak. To nie ich wina, że nie zawsze słuchałem. Szczególnie gorąco pragnę podziękować Amy Horsting, Lisie Henson, Dianie Wynne Jones, Chris Bell i Susannie Clarke.

Moja żona Mary i asystentka Lorraine także się napracowały, przepisując z rękopisu kilka pierwszych

rozdziałów. Jestem im za to niezmiernie wdzięczny.

Dzieci natomiast nie pomogły mi w najmniejszym stopniu. I dobrze: tego właśnie po nich oczekiwałem.

Neil Gaiman, czerwiec 1998.

Post scriptum

O książce

Przedmowa autora do rozdziału „Mur: Prolog”

Gwiezdny pył był kontynuacją powieści, której nie napisałem i nie jestem pewien, czy kiedykolwiek napiszę. Może kiedyś.

Najpierw wymyśliłem Mur, małą wioskę na granicy pomiędzy Anglią i Krainą Czarów. Wraz z nim pojawił się pomysł historii dziejącej się tu i teraz. Miała w niej wystąpić czterdziestoparoletnia autorka romansów, która powraca z Ameryki i osiedla się w Murze. Byłaby to, tak przynajmniej sądzę, w pewnym sensie historia miłosna, magiczna i niezwykła, ale cały czas rozgrywająca się wyłącznie po tej stronie Muru. Napisałem pierwszy rozdział, w którym wydarzenia toczyły się na długo przed akcją właściwej książki.

A potem, z powodu, którego już nie pamiętam, przerwałem pisanie.

Jakiś czas później, w środku nocy ujrzałem na pustyni gwiazdę, spadającą z nieba jak płonący klejnot, i w jednej chwili w mojej głowie pojawił się cały początek *Gwiezdnego pyłu*.

Zacząłem go pisać, kupiłem nawet specjalnie pióro, uznawszy, że fajnie by było napisać książkę wiecznym

piórem, i weszło mi to w nawyk do tego stopnia, że już nie umiem inaczej. Świetnie się bawiłem, tworząc wiktoriańskich przodków ludzi mieszkających w Murze w czasach obecnych – Thornów, Hempstocków i pozostałych. Pan Bromios wciąż serwuje doskonałe wina „Pod Siódmą Sroką", czekając na przyjazd Jenny Kerton.

(Tak przy okazji, w *Amerykańskich bogach* pojawiają się ludzie czytający książki Jenny Kerton).

Być może kiedyś napiszę *Mur*, być może nie. Może wykorzystam w nim ten prolog, a może nie (choć podejrzewam, że w obu przypadkach odpowiedź brzmi: tak), lecz tak czy inaczej, ten właśnie tekst napisałem wiele lat temu i od niego zaczęła się cała opowieść.

Do tej pory prolog tylko raz ukazał się drukiem, w 1999, w *Fall of Stardust*, albumie z ilustracjami różnych autorów, z którego dochód miał zasilić leczenie Karen, żony rysownika Charlesa Vessa, która została ciężko ranna w wypadku samochodowym. W albumie tym pojawiło się też jedyne nie moje opowiadanie o Murze – urocza opowieść Susanny Clarke o tym, jak książę Wellington odzyskał swojego konia.

Druga historia, rozgrywająca się w świecie *Gwiezdnego pyłu*, którą wciąż mam zamiar opowiedzieć, opisuje, jak Tristran Thorn udał się do piekła balonem.

Mam nadzieję, że się Wam spodoba.

Mur

Prolog

Nie był wcale czarno-biały, oglądany z bliska. Jenny wstrzymała oddech, bojąc się, że spłoszy ptaka.

Unosząc nad ziemią długi ogon, ptak maszerował rezolutnie po starannie przystrzyżonym trawniku Kertonów.

Zafascynowana Jenny przyglądała się sroce. Brzuch i plamy na skrzydłach miała śnieżnobiałe, lecz czerń, pokrywająca łebek i grzbiet, koniuszki skrzydeł i ogon, oglądana z bliska wcale nie była czarna: na ogonie Jenny dostrzegała czerwień, fiolet i zieleń, błękit i zieleń na skrzydłach, a całość dodatkowo mieniła się szmaragdowozielonym blaskiem.

Jedna: pech, pomyślała Jenny.

Miała dwanaście lat.

Stała na bosaka na trawie, czując między palcami kłujące źdźbła. Wciągnęła w płuca wieczorne powietrze. Wcześniej padał deszcz i trawa wciąż była mokra.

Szkoda, pomyślała. Nie chciałabym mieć pecha.

Nad jej głową coś zatrzepotało i, jakby w odpowiedzi, z jesiennego nieba sfrunęła kolejna sroka.

Dwie: szczęścia kopiec, pomyślała Jenny. Już lepiej.

Dwie sroki okrążały się niczym para grubasów w wieczorowych strojach, przyglądających się sobie uważnie, jakby próbowali ustalić, który z nich ma zagaić rozmowę.

Zapadał już wieczór, niebo zasnuwały chmury, powietrze było szare i chłodne. Jenny miała na sobie wzorzystą

bawełnianą spódniczkę i białą bawełnianą bluzkę.

Był piątek, 8 listopada 1963. Następnego dnia miała urodziny.

Frrr.

Trzecia sroka dołączyła do dwóch na trawniku.

Trzy: dziewczynka, pomyślała Jenny. To pewnie ja.

Zastanawiała się, czy jako trzynastolatka będzie się czuła jakoś inaczej. Wątpiła w to. Jenny nie ufała urodzinom; mimo prezentów podchodziła do nich z wyraźną rezerwą. Człowiek kładzie się spać w jednym wieku, budzi w innym i nie ma w tej sprawie nic do gadania.

Jutro nie będzie już dzieckiem.

Frrr.

Sroka wylądowała niezgrabnie i podskoczyła, by odzyskać równowagę.

Cztery: chłopiec. Zastanowiła się chwilę, wpatrując się w czwartego ptaka, po czym pokręciła głową. Nie, żadnych chłopców. Miała tylko braci.

Teraz sroki demonstracyjnie nie zwracały na siebie uwagi. Badały wzrokiem mokrą trawę, od czasu do czasu wyskubując coś z niej zakrzywionymi, czarnymi dziobami.

Widziane z bliska okazały się nie takie duże, jak sądziła. Najdłuższą część ich ciał stanowił ogon. Ogony srok unosiły się i opadały w miarę, jak ptaki krążyły po rozpościerającym się przed dziewczynką trawniku.

Może z tydzień wcześniej Jenny czytała książkę, której akcja toczyła się w żeńskiej szkole z internatem: Alison, stypendystkę, oskarżono o kradzież pierścionków należących do Marjorie, bogatej snobki i kapitan drużyny lacrosse. W ostatnim rozdziale pierścionki znaleziono w gnieździe sroki, a kiedy Marjorie zwichnęła kostkę, Alison poprowadziła zespół lacrosse do zwycięstwa.

Jenny zastanawiała się, czy sroki naprawdę kradną błyskotki.

Zastanawiała się też, jak długo jeszcze wytrzyma stanie bez ruchu. Naprawdę nie chciała ich spłoszyć, ale w lewym udzie zaczynała już odczuwać skurcz.

Frrr.

Frrr.

Jeszcze dwie sroki, jedna dość mała – młoda. Jenny powtórzyła w myślach wyliczankę. Pięć: srebrniki. Sześć: korony.

Czy to znaczyło, że pewnego dnia będzie bogata? Nie była wcale pewna, czy ta perspektywa jej się podoba.

Sześć srok.

Z daleka dobiegały ją głosy braci, nawołujących się w lesie za domem. Miała rozpaczliwą nadzieję, że ich zabawa nie doprowadzi ich bliżej, że nie spłoszą ptaków.

W jakiś sposób wiedziała, że w życiu nieczęsto zdarzają się podobne chwile – chwile, gdy wiemy, bez cienia wątpliwości, że naprawdę żyjemy, czujemy powietrze w płucach, mokrą trawę pod stopami, dotyk bawełny na skórze; chwile, gdy żyjemy całkowicie teraźniejszością i nie liczy się przeszłość ani przyszłość.

Próbowała wolniej oddychać, zupełnie jakby dzięki temu ta chwila miała trwać wiecznie.

Sroki przestały krążyć, przestały dziobać i szukać pożywienia. Jedna przyglądała się Jenny, przekrzywiając lekko łebek. Pozostałe po prostu…

Czekały.

Jenny czekała wraz z nimi. Poruszyła palcami w mokrej trawie.

Nie słyszała już głosów braci, musieli wrócić do domu albo odbiec dalej w las.

Frrr.

Ta sroka była wielka.

To już ostatnia, pomyślała Jenny. A siedem to sekret nigdy niezdradzony. To koniec wyliczanki.

Dziewczynka patrzyła na nią z podziwem. Od czubka dzioba po koniuszek ogona sroka musiała mierzyć ponad pół metra. No i te barwy. Pióra jej skrzydeł i ogona mieniły się kolorami, których Jenny nie potrafiła nawet nazwać. Pozostałe sześć srok zaczęło dreptać i skakać wokół, aż w końcu ustawiły się mniej więcej w półokrąg. Wszystkie patrzyły na Jenny.

Jenny przyglądała się im w chłodzie jesiennego zmierzchu.

Sroki odpowiedziały spojrzeniami. Wyraźnie na coś czekały.

A siedem to sekret nigdy niezdradzony.

Wcześniej, podczas jazdy samochodem zawsze liczyła mijane sroki, ale jeszcze nigdy nie widziała więcej niż trzech na raz.

– No dobra – powiedziała do ptaków. – Jaki to sekret?

Przez chwilę sądziła, że je spłoszyła, że jej słowa złamały czar; lecz ptaki nawet nie drgnęły.

Ostatnia sroka patrzyła spokojnie na Jenny. Przekrzywiła łebek, jakby szacowała ją wzrokiem, niczym błyszczący pierścionek, i zastanawiała się, czy warto zabrać ją do gniazda.

– Pojedziesz do Muru – oznajmiła ochrypłym, metalicznym głosem.

Jenny otworzyła usta, by coś powiedzieć. Zawahała się.

Najmniejszy z ptaków wystąpił naprzód.

– Ale to sekret – dodała sroka. – Nie możesz nikomu powiedzieć.

– Ale…

Nie skończyła. Ptaki jednocześnie wystartowały i przez chwilę zdawało się, że powietrze wypełniła czerń i biel (a także zieleń i błękit). Miała wrażenie, że słyszy jedynie trzepot skrzydeł. Wystraszona cofnęła się o krok, serce waliło jej w piersi.

Ptaki zniknęły.

Czar prysnął i nagle Jenny zrobiło się niedobrze. Czuła skurcze w brzuchu, serce waliło jak oszalałe. Ogarnęła ją panika, choć sama nie wiedziała dlaczego.

Pobiegła do domu przez mokry trawnik.

Matka była w kuchni. Siedziała przy stole i obierała fasolkę.

– Jennifer? Dobrze się czujesz, skarbie?

Jenny kiwnęła głową i pobiegła do holu. Miała wrażenie, jakby coś kłuło ją mocno w dole brzucha. Było jej niedobrze, czuła się dziwnie.

Przeskakując po dwa stopnie naraz wbiegła po schodach, do łazienki na górze. Zamknęła drzwi na klucz i oparła się o nie ciężko. Ból był coraz gorszy. Kręciło jej się w głowie.

Usiadła powoli, osuwając się na zimne linoleum.

Zamknęła oczy.

W głowie Jenny wciąż latały sroki, wielkie, czarno-białe ptaki, zastygłe w czasie, zatrzymane przed jej oczami.

Między nogami poczuła wilgoć.

Otworzyła oczy. Podciągnęła spódniczkę, odsłaniając szczupłe białe uda i w końcu białe bawełniane majtki. Na ich kroczu powoli rozlewała się czerwona plama.

Jenny zadrżała i znów zamknęła oczy.

Nie ma powrotu, pomyślała. To granica. Nie jestem już małą dziewczynką.

Może to właśnie próbowały mi powiedzieć sroki.

Wepchnęła do majtek kawałek papieru toaletowego i zeszła na dół porozmawiać z matką, dowiedzieć się, co ma robić.

Nic już nigdy nie będzie takie samo.

Teraz to wiedziała.

Jenny Kerton nigdy nie zapomniała tego dnia, choć w miarę upływu czasu chwila w łazience, wyjaśnienia matki, pierwsze założenie podpaski i gorzki smak aspiryny, którą matka rozpuściła jej w szklance wody, stopniowo przesłaniały poprzedzające je wydarzenie.

I po trzydziestu latach, w pamięci pozostał jej tylko połysk zieleni i fioletu na skrzydłach sroki i wiedza, że oglądana z bliska nie jest po prostu czarno-biała.

O autorze

Poznajcie Neila Gaimana

Neil Gaiman jest od dawna uznawany za jednego z najlepszych autorów współczesnego komiksu. Twórca bestsellerowych powieści, w *Słowniku biografii literackich* został uznany za jednego z dziesięciu najlepszych żyjących postmodernistów. Prócz komiksów i powieści tworzy także poezję, filmy, teksty dziennikarskie, teksty piosenek i sztuki teatralne. Jego dzieła zostały przetłumaczone na ponad dziewiętnaście języków, a prawa do niemal wszystkich powieści, zarówno zwyczajnych, jak i graficznych, zakupili filmowcy.

Gaiman był twórcą i autorem *Sandmana*, comiesięcznej kultowej serii DC Comics, która zdobyła dziewięć Nagród Przemysłu Komiksowego im. Willa Eisnera, w tym czterokrotnie nagrodę dla najlepszego autora, oraz trzech nagród Harveya. Dziewiętnasty numer *Sandmana*, „Sen nocy letniej", w 1991 r. zdobył World Fantasy Award dla najlepszego opowiadania, w ten sposób stając się pierwszym komiksem uhonorowanym nagrodą literacką. Norman Mailer powiedział o *Sandmanie*: „Poza wszystkim innym *Sandman* to komiks dla intelektualistów. I uważam, że już najwyższy, czas by coś takiego powstało".

Sześcioodcinkowy fantastyczny serial telewizyjny *Nigdziebądź*, napisany dla BBC przez Gaimana, został

wyemitowany jesienią 1996 r. Powieść, także zatytułowana *Nigdziebądź*, której akcja rozgrywa się w tym samym, osobliwym podziemnym świecie, ukazała się w roku 1997; dotarła na liczne listy bestsellerów, między innymi „Los Angeles Timesa", „San Francisco Chronicle" i „Locusa".

Gwiezdny pył , powieść prozą w czterech częściach, zaczęła wychodzić w DC Comics w 1997. W 1999 Avon wydał wersję czysto prozatorską, która dotarła na listy bestsellerów, została uznana przez tygodnik „Publishers Weekly" za jedną z najlepszych książek roku i nagrodzona prestiżową nagrodą Mythopoeic Fantasy Award.

Amerykańscy bogowie, powieść dla dorosłych, ukazali się w roku 2001. Dotarli na listy bestsellerów, zostali bestsellerem „New York Timesa" zarówno w twardej, jak i w miękkiej oprawie oraz zdobyli nagrody Hugo, Nebula, SFX, Brama Stokera i Locusa.

Koralina (2002), pierwsza powieść Gaimana dla dzieci, zyskała status bestsellera międzynarodowego, nominację do nagrody Hugo i Prix Tam Tam, a także zdobyła nagrody BSFA, Brama Stokera i Elizabeth Bur/Worzalla Award.

W roku 2003 w księgarniach pojawiły się *Wilki w ścianach*, książeczka dla dzieci, ilustrowana przez długoletniego współpracownika Gaimana, Dave'a McKeana. „New York Times" uznał *Wilki w ścianach* za jedną z najlepszych ilustrowanych książek roku. Także w 2003 roku wydano pierwszy po siedmiu latach komiks o Sandmanie, „Noce Nieskończonych".

W 2004 roku Gaiman opublikował pierwszą część zamówionej przez wydawnictwo Marvel serii *1602*, a w 2005, na festiwalu filmowym w Sundance, odbyła się premiera *Lustrzanej maski*, wyprodukowanego przez Jim Henson Company filmu według scenariusza Gaimana w reżyserii McKeana. Premierze towarzyszyła bogato ilustrowana książka zawierająca cały scenariusz, czarno-

białe story-boardy i kolorowe fotosy z filmu, a także ilustrowana książka dla młodszych czytelników, również autorstwa Gaimana i z kadrami z filmu.

Chłopaki Anansiego, najnowsza powieść Gaimana, ukazali się w roku 2005 i zostali entuzjastycznie przyjęci przez krytyków i czytelników. „New York Times” uznał książkę za bestseller roku, trafiła ona także na listy bestsellerów w całym kraju i została uhonorowana kilkunastoma tytułami książki roku.

Tori Amos śpiewa o Neilu na swych albumach „Little Earthquakes”, „Under the Pink”, „Boys for Pele” i „Scarlet's Walk”; sam Neil pisał piosenki dla zespołu z Minneapolis The Flash Girls („odkrycie roku, a może i coś więcej” – *Utne Reader*, dla Chrisa Ewena („Hidden Variable”) i dla zespołu One Ring Zero.

Oficjalną stronę Gaimana, www.neilgaiman.com, odwiedza obecnie ponad milion gości miesięcznie, a jego blog czytają codziennie tysiące internautów.

Neilowi Gaimanowi udało się w jakiś sposób przekroczyć czterdziestkę bez regularnych wizyt u fryzjera.

Urodzony i wychowany w Anglii, obecnie mieszka w pobliżu Minneapolis w stanie Minnesota.

[1] Przełożyła Irena Tuwim i Paulina Braiter (przyp. tłum.).

Spis treści

Okładka
Strona tytułowa
Strona redakcyjna
Dedykacja
Pieśń
Rozdział pierwszy w którym poznajemy wioskę Mur i dowiadujemy się o czymś niezmiernie ciekawym, co zdarza się tam każdego dziewiątego roku
Rozdział drugi w którym Tristran Thorn osiąga wiek męski i składa pochopną obietnicę
Rozdział trzeci w którym poznajemy kilka innych osób, część z nich żywych, głęboko zainteresowanych losem spadającej gwiazdy
Rozdział czwarty Czy można dojść tam w blasku świeczki?
Rozdział piąty w którym sporo walczy się o koronę
Rozdział szósty Co powiedziało drzewo
Rozdział siódmy Gospoda „Pod Rydwanem”
Rozdział ósmy traktujący o roszadach w powietrzu i innych sprawach
Rozdział dziewiąty traktujący głównie o wydarzeniach w Kanale Kopacza
Rozdział dziesiąty Gwiezdny pył
Epilog w którym można znaleźć kilka różnych zakończeń
Podziękowania
Post scriptum
    O książce. Przedmowa autora do rozdziału „Mur: Prolog”
    Mur: Prolog
O autorze. Poznajcie Neila Gaimana